www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 2 (1044)
7-12.01.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

AKOWCY W LUDOWYM WOJSKU POLSKIM

POLITYKA GŁUPIO RÓŻNI LUDZI

ANDRZEJ GRYŻEWSKI:
Mężczyźni nieuprawiający seksu to już plaga

KTO WIDZIAŁ PŁOMYKÓWKĘ ZŁOTAWĄ

POLACY ŻYJĄ KRÓCEJ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
02>
9 771509 311003

MFF W MONACHIUM

EUROPEJSKI FESTIWAL W SEWILLI

MFF W TORONTO

PALESTYŃSKI KANDYDAT DO OSCARA

CANNES

KONKURS GŁÓWNY
NAGRODA SPECJALNA JURY
NAGRODA FIPRESCI

Tam gdzieś musi być niebo

Autoironiczna opowieść o tożsamości, przynależności i poszukiwaniu domu

REŻYSERIA
ELIA SULEIMAN

W KINACH OD 10 STYCZNIA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kreatywna Europa"

AURORA

eprasa.pl e62bed3f48

CYTATY

ANTÓNIO LOBO ANTUNES,
prozaik portugalski
Żyjemy w czasach, w których wielbi się pisarzy, zamiast czytać ich książki.
„Forum"

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO,
były wicepremier
Chiny odchodzą od socjalizmu, natomiast nie przechodzą do kapitalizmu.
„Zdanie"

KINGA PREIS,
aktorka
Mam jeden plan na siebie: nie mieć żądnych planów.
„Swiat Kobiety"

ALEKSANDRA POPŁAWSKA,
aktorka
Jestem silną kobietą niezależnie od tego, czy trzymam w ręku spluwę, czy miotłę.
„Wysokie Obcasy"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kłamstwa, czyli polityka historyczna

Bolą kłamstwa na temat historii Polski. Bardzo bolą. To oczywiste. Ale paradoksalnie nieoczywiste jest to, że najgłośniej protestują i oburzają się ci, którzy o polskiej historii kłamią najbezczelniej jak można. To jak to jest? Kłamstwa o roli naszego kraju w wybuchu II wojny światowej i udziale Polaków w Holokauście zasługują na potępienie. I na ostrą reakcję. Bo fałszują historię. A polityka historyczna PiS i w dużej mierze PO, czyli paranoiczne wymazywanie PRL z map i pamięci paru pokoleń Polaków, to prawda? Czy wyrzucenie na śmietnik milionów ludzi i wieloletnie dowodzenie, że w latach 1945-1989 nie było polskiego państwa, to nie jest ideologiczna obsesja? A powtarzanie, że PRL była w naszej historii czarną dziurą, nie jest ideologiczną fałszywką? Albo, mówiąc wprost, kretynizmem w czystej postaci? A przecież głosiciele tych bredni z niedoszłego PO-PiS w dużej części nie są głupkami. Dlaczego więc tak postępują? Bo są cynikami, kunktatorami i kłamcami. Mogą w sprawach nieodległej przeszłości powiedzieć wszystko. Nawet to, że Polska odzyskała niepodległość dopiero w 2015 r.

Pisanie na nowo historii przez Putina jest oczywiście nie do przyjęcia. Tyle że na użytek wewnętrzny rządząca prawica potraktowała politykę historyczną jako ważne narzędzie ogłupiania młodych pokoleń. Gdy głosi, że przyszedł czas mówienia prawdy, to zapowiada kolejną falę prymitywnych kłamstw. Nowi bohaterowie, nowe muzea i nowa wersja starych wydarzeń. Z Rydza-Śmigłego, który uciekł do Rumunii, zostawiając własną armię, zrobiono bohatera. Ma place, pomniki, ulice. A z żołnierzy ludowego Wojska Polskiego, którzy uratowali tysiące wyzwalanych Polaków i zdobyli Berlin – polskojęzycznych zdrajców. Jaką trzeba być kanalią, by coś takiego zrobić?

Rządzą krajem politycy, którym wszystko się kojarzy z komunizmem. I wszystko źle. Dobrzy są ci, którzy komunistów zabijali. A że zabijali cywilów, Polaków i Żydów, to trudno. Premier Morawiecki złożył wieniec na grobowcu członków Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Uczcił morderców i współpracowników gestapo. „Ogień", „Bury", „Łupaszka" – takich prawica ma bohaterów.

Pisanie na nowo naszej historii jest bardzo niebezpiecznym eksperymentem. Tylko mali ludzie depczą historię własnego kraju. Skłócają rodaków i poniewierają inaczej myślącymi.

Jest na nich rada. Mniej oportunizmu ze strony tych, którzy są przedmiotem niegodziwości. Brońcie swoich życiorysów. I własnych, często wielkich dokonań.

BĄKOWSKI

eprasa.pl e62bed3f48

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

8 **To był rok**
Publicyści oceniają
22 **Jakub Dymek**
Głupia polaryzacja

KRAJ

12 **Polacy żyją krócej**
Umieramy mimo lepszych warunków
18 **Ikona to Ewangelia w kolorach**
W szkole pisania ikon
34 **Seks przegrywa z Netflixem**
– rozmowa z Andrzejem Gryżewskim
38 **Skandal w 100-lecie powstań śląskich**

ZAGRANICA

25 **Łapiąc duchy Pinocheta**
Chile czeka na nową konstytucję
28 **„Słuszna sprawa" po amerykańsku**
30 lat po inwazji na Panamę
32 **Co ma Viktor Orbán w głowie**
Populista czy mąż opatrznościowy
48 **Zlikwidować Rohingów**
Bestialstwo w Birmie

HISTORIA

40 **Ochotnicy i zmobilizowani**
Akowcy w ludowym Wojsku Polskim

KULTURA

44 **12 gniewnych tytułów**
Ważne lektury minionego roku
46 **Qulturalia**
66 **Aukcja charytatywna w Desie UNICUM**

OBSERWACJE

52 **Brązowe krowy dają czekoladowe mleko**
Zaskakujące, w co wierzymy
54 **Kto widział płomykówkę złotawą?**
Nikt nie wie, gdzie jej szukać
58 **Indonezyjscy kanibale**

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Kłamstwo, czyli polityka historyczna
17 **Bronisław Łagowski**
Zepsute zegary
21 **Roman Kurkiewicz**
Zabecz, Zenek, hajs na stole
31 **Tomasz Jastrun**
Dowody nie mają znaczenia
39 **Ludwik Stomma**
Opłatek
43 **Edward Mikołajczyk**
Francuz, a się nadał

18
KRAJ

IKONA TO EWANGELIA W KOLORACH
W szkole pisania ikon

48
ZAGRANICA

ZLIKWIDOWAĆ ROHINGÓW
Bestialstwo w Birmie

58
OBSERWACJE

INDONEZYJSCY KANIBALE

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK (3), EAST NEWS (2)

eprasa.pl e62bed3f48

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Stanisław Obirek
Kto chroni pedofilów w polskim Kościele

Daria Gosek-Popiołek
Powrót solidarności społecznej

Historia symbolu trzech strzał

20 lat z PRZEGLĄDEM

Ze światopoglądem lewicowym zetknąłem się, kiedy dziadek śpiewał z kolegami „Czerwony sztandar". Wzruszały mnie „ludu gorzkie łzy" i „krew, którą leją katy". Zaakceptowałem ten światopogląd, gdy dorastając, zacząłem poznawać mechanizmy rozwoju społecznego. Nie zmieniłem poglądów, kiedy do praktyki socjalizmu wdarły się działania odbiegające od jego założeń ideologicznych. Tym bardziej, gdy w kraju zaczęto odsądzać od czci i wiary wszystko, co było związane z socjalizmem. Zrozumiałe, że towarzyszę PRZEGLĄDOWI od pierwszego numeru. Jako w zasadzie jedyne na polskim rynku wydawniczym czasopismo reprezentuje nurt lewicowy w szerokim znaczeniu tego słowa. Świetnym przykładem są cotygodniowe felietony różnych autorów.

W szerokim spektrum problematyki poczesne miejsce zajmuje krytyka błądzenia po manowcach naszej polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz ujawnianie fałszerstw historycznych (*vide* prof. Bronisław Łagowski i prof. Jan Widacki). Autorzy PRZEGLĄDU pokazują miałkość w kulturze i instytucjach kształtujących świadomość, spychających społeczeństwo do poziomu nawet nie zaścianka Europy, ale ciemnogrodu, jak w 51. numerze napisał prof. Widacki. Dlatego w dniach jubileuszu 20-lecia życzę całemu zespołowi rozwoju tygodnika, nie tylko utrzymania dotychczasowego poziomu, ale i poszerzenia problematyki godnej podjęcia przez PRZEGLĄD.

Prof. Ryszard Turski, Lublin

Mafia VAT-owska wiecznie żywa

Mafia VAT-owska wiecznie żywa

Jakub Dymek pisze o mafii VAT-owskiej. Słusznie. Ale prawdziwa mafia to międzynarodowy gang CIT-owski, który korzystając z wpływów na najwyższych szczeblach władzy, spokojnie przygotowuje sobie schematy podatkowe. A jeden z organizatorów tego procederu jeszcze niedawno stał na czele Komisji Europejskiej.

Zdzisław Nowak

Nowa cena

Szanowni Czytelnicy, wiemy, że to nie była dobra wiadomość.

Niestety, od 1 stycznia podnieśliśmy cenę tygodnika z 6,80 na 7,50 zł.

Takie są skutki rządów PiS, które tak trzymają za gardło rynek reklamowy, że strumień ogłoszeń płynie do mediów rządowych.

Po cichu podnoszone są też ceny usług. A za cenami Poczty Polskiej trudno nadążyć.

Prosimy o zrozumienie i mamy nadzieję, że mimo tej podwyżki zostaną Państwo z nami. My zaś deklarujemy, że będziemy konsekwentnie podążać drogą, którą idziemy już od 20 lat.

ZDJĘCIA TYGODNIA

Na dwóch blokach przy ul. Grzegorzewskiej na warszawskim Ursynowie, gdzie kręcono sceny do kultowego serialu Stanisława Barei, pojawiły murale przedstawiające bohaterów „Alternatywy 4".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e62bed3f48

Elżbieta Podleśna, Zofia Marcinek i 12 kobiet, które w 2017 r. siedziały na trasie Marszu Niepodległości, były kopane i lżone przez narodowców, nie doczekały się ścigania sprawców z urzędu przez prokuraturę. **Wspierając dzielne kobiety, liczymy, że doczekają się prawdziwej sprawiedliwości.**

Klub Parlamentarny Lewicy złożył projekt nowelizacji pisowskiej ustawy obniżającej mundurowe świadczenia nawet za jeden dzień pracy w organach bezpieczeństwa PRL. Wielką aktywnością w tej sprawie wykazuje się od lat poseł Andrzej Rozenek.

Sędzia Agnieszka Rafałko z Sądu Okręgowego w Warszawie wydała wyrok, w którym zasądziła od Stanisława Piotrowicza przeprosiny prof. Małgorzaty Gersdorf, I prezes Sądu Najwyższego, i sędziego SN **Krzysztofa Rączki oraz wpłatę 20 tys. zł na cel społeczny**. Wyrok nie jest prawomocny.

Jagna Marczułajtis-Walczak, posłanka PO, zaprotestowała przeciwko działaniom Kancelarii Sejmu, która umożliwiła wysyłkę na kalendarze służbowe posłów zaproszeń na Pokutny Marsz Różańcowy za Ojczyznę.

Na lotnisku w Katowicach-Pyrzowicach uruchomiono najnowocześniejszą i najwyższą wieżę kontroli ruchu lotniczego w Polsce.

Magdalena Kołodziej, prokurator z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, **po raz drugi wydała postanowienie o umorzeniu śledztwa przeciwko narodowcom, którzy w 2017 r. bili i wyzywali kobiety siedzące na trasie Marszu Niepodległości.**

Prawie 160 tys. razy interweniowała policja w 2018 r. w sprawach związanych z przemocą w rodzinie.

Adam Chodziński, nowy dyrektor szpitala w Białej Podlaskiej, powołany z klucza partyjnego PiS, odwołał ze stanowiska ordynatora Riada Haidara, założyciela oddziału noworodkowego, a od października posła KO. Szpital stracił wybitnego lekarza, a kogo zyskał?

Kierowcy ukarani mandatami traktują je dość wybiórczo. W 2018 r. nie zapłacili ponad 6,7 mln mandatów, na kwotę 757 mln zł.

Inspekcja Handlowa sprawdziła oznakowanie warzyw i owoców w sklepach 18 sieci handlowych i wykryła nieprawidłowości w 32%. **Jako produkty polskie sprzedawano czosnek z Egiptu, seler z Holandii oraz cebulę z Francji.**

Szacuje się, że w 2019 r. Polacy wydali na wyroby tytoniowe aż 28 mld zł. Według CBOS pali 26% dorosłych Polaków.

Aż 400 foliowych reklamówek zużywa Polak w ciągu roku.

PRZEBŁYSKI

Morawiecki i Czukcza

Co ma wspólnego premier Morawiecki z Czukczą? Oj, dużo. Zwłaszcza od czasu, gdy powiedział, że przeczytał w życiu 4-5 tys. książek. Odwrotnie niż Czukcza, który dawno temu postanowił wstąpić do wiadomego związku pisarzy. Stanął więc Czukcza przed komisją. A ta zapytała go, co ostatnio czytał. Oburzony Czukcza skrzywił się i oświadczył: *Czukcza pisatiel, nie czytatiel.* Odwrotnie niż Morawiecki. Od siódmego roku życia co trzy dni nowa książka. To by wiele wyjaśniało. Nie miał zbyt dużo czasu na pracę. Szybko odwalał robotę i pędził po nową książkę.

Karczewski, chciwy oszust

Patrzy człowiek na byłego marszałka Senatu Karczewskiego i co widzi? Nieetycznego chytrusa, chciwego człowieka popełniającego przestępstwa skarbowe. Tak opisało go 27 osób z Dolnośląskiej Izby Lekarskiej. W piśmie do Karczewskiego stoi jak byk: „Jest nam bardzo wstyd za Ciebie i Twoją chciwość. Poza nielegalnym zarobkiem zapłaciłeś tylko 50%, bo płacili Ci honorarium od umowy o dzieło. Oszukałeś państwo na podatku, co jest przestępstwem skarbowym. Jeśli jesteś człowiekiem honoru, to zwrócisz te pieniądze na fundację dla lekarzy w Naczelnej Izbie Lekarskiej lub na hospicjum. Składamy do prokuratury doniesienie o dwóch przestępstwach. Jest nam za Ciebie wstyd”.
Karczewski nie wygląda na zawstydzonego. A kasy będzie bronił jak willi, w której mieszkał na koszt podatników.

Bielan ze stajni

Z jakiej stajni jest Adam Bielan? Takie pytanie byłoby chamskie, gdyby nie ojciec tego określenia. Czyli eurodeputowany Bielan we własnej osobie. W pisowskim programie „Kwadrans polityczny” (TVP 1) Bielan, z typowym dla swojego środowiska taktem, oświadczył, że „Jourová pochodzi ze stajni Timmermansa”. I dlatego to, co robi, nie zasługuje na uwagę. W ten sposób Bielan, w swoim przekonaniu równy Talleyrandowi, potraktował z buta Věrę Jourovą, wiceprzewodniczącą Komisji Europejskiej odpowiedzialną za wartości i przejrzystość. I Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego KE. Na jego punkcie pisowcy z otoczeniem mają hyzia wielkiego jak stodoła. Albo stajnia, z której wylazł Bielan.

Rodzina milion plus

Są rodziny, które dostają 500+. I bardzo się z tego cieszą. A jak musi się cieszyć rodzina, która dostała milion plus! To nie pomyłka. Jest instytucja, która według własnego kaprysu potrafi wydać na jedną rodzinę milion złotych. Ta instytucja to Polska Fundacja Narodowa. A rodzina? To Chodakiewiczowie: polonijny historyk Marek Chodakiewicz, jego żona i siostra. Amerykańska firma lobbingowa White House Writers Group zatrudniła siostrę Chodakiewicza za 120 tys. dol. A sama dostała od Polskiej Fundacji Narodowej 5,5 mln dol. Jakieś efekty? Szczęście rodziny Ch.

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl e62bed3f48

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak Jurek Owsiak i WOŚP zmieniają Polskę?

PROF. HENRYK DOMAŃSKI,
PAN

WOŚP ujawniła, że w swoich zachowaniach ludzie kierują się wartościami, do których jesteśmy socjalizowani i które uznajemy za pryncypialne, nawet jeśli nie realizujemy ich na co dzień. Są to np. odrzucanie pełnej koncentracji na własnych potrzebach i chęć dbania o bliźniego. Myślę też, choć tego nie udowodniono, że Orkiestra przekonała Polaków, że warto demonstrować swoje wartości i przekonania moralne. Za taką interpretacją przemawiają wyniki badań opinii społecznej, w których pozytywny stosunek do inicjatywy Jurka Owsiaka nie maleje, ale nawet lekko wzrasta. Uważam, że WOŚP zainicjowała, a następnie utrwaliła w społeczeństwie świadomość, że świat jest jakoś uporządkowany, i to w sposób korzystny dla nas wszystkich.

DR HAB. MAŁGORZATA JACYNO,
Instytut Socjologii UW

Mam sceptyczny stosunek do tego rodzaju działań, przede wszystkim z powodu znaczenia, jakie im się nadaje. Od lat można odnieść wrażenie, że inicjatywy charytatywne, takie jak WOŚP, mogą zastąpić państwo w organizowaniu solidarności społecznej, podczas gdy mogą one jedynie uzupełniać polityki publiczne. Tylko państwo może rzetelnie rozpoznać i zaspokoić potrzeby w takich sferach jak opieka zdrowotna, a zbiórki publiczne zawsze będą miały doraźny charakter. WOŚP w społecznym odbiorze często zastępuje niestety inne, utrwalone formy solidarności.

PROF. EWA LEŚ,
Instytut Polityki Społecznej UW

Moim zdaniem przede wszystkim zachęca zwykłych obywateli, którzy na co dzień nie są może zbyt mocno zaangażowani w sprawy innych, by świadczyli pomoc: czy to wspierając WOŚP finansowo, czy to włączając się w formie wolontariatu w jej kwesty. Umiejętność Orkiestry zmobilizowania ogromnej rzeszy ludzi, przede wszystkim młodych, którym prawdopodobnie w inny sposób trudno byłoby zaszczepić ideę angażowania się w pomaganie, jest społecznym fenomenem. Mobilizowanie społeczeństwa do aktywności na rzecz rodaków jest nadal bardzo potrzebne i WOŚP odgrywa tu dużą rolę. Jednocześnie państwo powinno monitorować działalność wszelkich organizacji pozarządowych, gdyż tylko tak można zapobiegać nadużyciom, podważającym społeczne zaufanie do takich inicjatyw i zniechęcającym do aktywności obywatelskiej.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
RAFAEL GALLAND

W ogóle nie zmieniła polskiego społeczeństwa. Zawsze dominowała w nim popisowa akcyjność, sprzężona z pogardą dla systematycznej działalności, dyscypliny moralnej i systemowych rozwiązań. Olejemy własne państwo, doprowadzając je do upadku, ale zrobimy takie powstanie, że hej! Na ogół będziemy nieżyczliwi wobec innych, obcych, podejrzanych ze względu na wyznanie czy kolor skóry, ale tu, tego, śmego, rach, ciach, zrobimy szybką zbiórkę na irańskiego kierowcę. Na co dzień będziemy uprawiać sport narodowy, czyli robienie bliźniego w bambuko, będziemy kombinować, jak tu wyrąbać własne państwo na podatkach, choćby z uszczerbkiem dla służby zdrowia, za to damy parę groszy „na Owsiaka", bo tacy z nas fajni i szczodrzy goście!

MAREK LEWANDOWSKI

Jednych Orkiestra czyni lepszymi, drugich wprawia w religijno-pieniacki stan, którym żyją potem cały rok.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl e62bed3f48

TO BYŁ ROK – publicyści podsumowują rok 2019

Robert Walenciak

1. Jaki był 2019 r.?
2. Kto poszedł w górę, a kto w dół?
3. Kto okazał się rozczarowaniem? Kto nadzieją?

Te pytania zadaliśmy czołowym publicystom polskich mediów. Oto ich refleksje.

DANIEL PASSENT, „Polityka"

1. Z punktu widzenia długiego trwania rok 2019 był dobry. Po pierwsze, Polska była bezpieczna od zagrożeń zewnętrznych. Po drugie, gospodarka rozwijała się nadspodziewanie dobrze. Zapowiadany kryzys nie dotarł do Polski. Nastąpił wzrost dochodu narodowego. Pod względem wzrostu PKB Polska utrzymała się w czołówce, nie tylko europejskiej, ale i światowej.

Natomiast pogorszyła się nasza sytuacja międzynarodowa. Głos Polski na arenie międzynarodowej stał się słaby. Osłabła nasza pozycja w Unii Europejskiej.

Na arenie wewnętrznej mieliśmy pozytywne i negatywne skutki polityki socjalnej rządu. Nastąpiły dalsza degradacja wymiaru sprawiedliwości i osłabienie państwa. Bo państwo, które nie jest w stanie wyegzekwować ujawnienia list poparcia dla kandydatów do KRS albo w którym nocą, w pośpiechu, uchwalane są najważniejsze ustawy, staje się swoją karykaturą.

Następował też upadek obyczajów politycznych. Prezydent obraża pierwszą prezes Sądu Najwyższego. Trwał i trwa atak władzy wykonawczej i ustawodawczej na władzę sądowniczą.

2. W górę poszedł marszałek Tomasz Grodzki. Dzięki niewielkiej przewadze opozycji w Senacie z polityka nieznanego stał się jedną z pierwszoplanowych postaci. I od razu znalazł się w ogniu bezwzględnych ataków. Nagle stał się „skorumpowany"!

Do góry poszła też Małgorzata Kidawa-Błońska. Ale jej zdolności przywódcze nie zostały jeszcze potwierdzone. Nie jest pewne, czy będzie dobrą kandydatką w wyborach prezydenckich. Do góry poszła lewica. Odmłodzona, powróciła do parlamentu i pokazała swoją różnorodność.

Spadek odnotował Grzegorz Schetyna, mimo sukcesów, jakie odniósł. Był autorem Koalicji Europejskiej, potem Koalicji Obywatelskiej, a jednocześnie stał się kulą u nogi opozycji.

3. A nadzieje? Nadzieje mam tak małe, że nie warto o nich mówić.

HENRYK MARTENKA, „Angora"

1. Rok 2019 pogłębił zrośnięty z władzą PiS efekt prawa Kopernika-Greshama. Zły pieniądz definitywnie wyparł dobry i nikt pośród drewnianych pięciozłotówek nie jest w stanie ujrzeć błysku kruszcu. Wybory niewiele zmieniły w parlamencie, nie poprawiły też jakości uprawiania polityki, do której znów wdarli się ludzie bez właściwości, talentu i kultury. Nikt nie oczekiwał, że ktoś się wybije, błyśnie, wniesie coś nowego. Średniactwo stało się normą, a zachowanie przywilejów celem. Projekty polityczne (z lewa, centrum czy prawa) beznamiętnie mieliły się na poziomie wegetatywnym, a wschodzące gwiazdy rychło okazywały się lampami na kominie osiedlowej kotłowni. Tak było w minionym roku i zapewne będzie w 2020. Ten ponadpartyjny marny stan *nolens volens* uosabia Jarosław Kaczyński, który w sondzie Instytutu Badań Pollster, wykonanej właśnie dla „Super Expressu", został uznany jednocześnie za… najlepszego i najgorszego polskiego polityka. Idealny starosta całej naszej klasy. Politycznej.

JACEK ŻAKOWSKI, „Polityka", Radio TOK FM

1. To był rok dopełniających się kontynuacji. W Polsce – domykanie się ustroju autorytarnego z władzą decydującą o ważności wyroków sądowych i sprowadzeniem instytucji demokratycznych do atrapy. W Europie – postępująca dezintegracja z rosnącą rolą egoizmów wypierających postawy wspólnotowe. Na świecie – dalsze osłabienie amerykańskiego przywództwa wypieranego przez Chiny i Rosję oraz rewolucja ekologiczna w świadomości wielu społeczeństw.

2. W Polsce w górę poszła odrodzona lewica. Na świecie postpopulistyczne ruchy społeczne i idee zbliżające się do stworzenia politycznej platformy integralnej

eprasa.pl e62bed3f48

ekologii łączącej nowe podejście do gospodarki, polityki i ekologii.

A kto w dół? Środowiska liberalne, które są niezdolne do sformułowania platformy programowej innej niż dotychczasowa wizja neoliberalna, i Zachód wciąż w klinczu między populizmem a neoliberalizmem.

3. Rozczarowaniem okazał się Donald Tusk rezygnujący z kandydowania. I Emmanuel Macron odklejający się od odczuć społecznych. Nadzieją zaś w Polsce Adrian Zandberg. A na świecie Greta Thunberg i integralne ruchy ekologiczne młodego pokolenia.

PAWEŁ SĘKOWSKI, Kuźnica

1. Rok 2019 w Polsce był słodko-gorzki. Rozpoczął się od wstrząsającego zabójstwa Pawła Adamowicza w trakcie wspólnego święta społeczeństwa obywatelskiego – finału WOŚP. Dalej strajk nauczycieli – dowód ich determinacji i solidarności większości środowiska, ale mimo pewnych ustępstw to rząd postawił na swoim, a nauczyciele zostali upokorzeni, sam zaś strajk, im dłużej trwał, tym mniejszą, niestety, cieszył się aprobatą społeczną. Wreszcie PiS wygrało wybory i europejskie, i parlamentarne, uzyskując w tych ostatnich, wspólnie z koalicjantami, większość bezwzględną. W wyborach do PE partia rządząca również zdobyła ponad połowę mandatów. Rok zakończył się kolejnym pesymistycznym akcentem: Sejm uchwalił tzw. ustawę kagańcową, która stanowi realne zagrożenie dla niezależności całego wymiaru sprawiedliwości w Polsce (dotąd rząd „zdobył" jedynie Trybunał Konstytucyjny).

Na plus należy zaliczyć przedwyborcze porozumienie partii lewicowych i powrót lewicy do Sejmu i Senatu. W Sejmie znaleźli się współpracujący ze sobą politycy i polityczki SLD, Wiosny i Razem, a w Senacie przedstawicielka Wiosny i polityk PPS. Zjednoczona opozycja zdobyła większość w Senacie, co jest bardzo ważne z punktu widzenia oporu wobec całkowitej dominacji PiS i likwidowania przez tę partię zasad demokratycznego państwa prawa. Myśląc o pozytywach, nie zapominajmy również o Literackiej Nagrodzie Nobla dla Olgi Tokarczuk.

Mimo wszystko miejmy nadzieję, że m.in. dzięki obecności lewicy w Sejmie i przewadze opozycji w Senacie rok 2020 będzie lepszy.

2. W górę na pewno poszli liderzy partii lewicowych – Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń i Adrian Zandberg, którzy przezwyciężyli różnice, wzajemne dystanse, może niekiedy także uprzedzenia, i dla dobra polskiej lewicy i Polski połączyli siły. Było to zresztą od lat stałym postulatem Kuźnicy. Bez tego zjednoczenia być może ponownie zabrakłoby lewicy w parlamencie, a na pewno nierealny byłby wynik dwucyfrowy.

W dół poszedł, moim zdaniem na pierwszym miejscu, Andrzej Duda, który kolejnym rokiem swojej prezydentury nie tylko potwierdził, że jest w pełni dyspozycyjny wobec prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ale jeszcze poczynił postępy na drodze ku utracie autorytetu, który przecież dotąd wydawał się nierozerwalnie związany z godnością prezydenta RP (niezależnie od tego, kto tę godność sprawował). W końcu roku coraz ostrzejsze ataki na polskich sędziów, stawiających opór podporządkowaniu ich władzy wykonawczej, oraz zaprzysiężenie Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza na sędziów Trybunału Konstytucyjnego dopełniły ten smutny obraz. Wydaje się, że starając się o mocne poparcie twardego elektoratu PiS przed wyborami prezydenckimi, Andrzej Duda jest w stanie zrobić jeszcze wiele.

3. W 2019 r. rozczarowały dwie twarze Platformy Obywatelskiej: Donald Tusk, który *de facto* wycofał się z krajowej polityki (przynajmniej na pewien czas), mimo pokładanych w nim przez wielu Polaków nadziei, oraz Grzegorz Schetyna, który poniósł dwie kolejne porażki wyborcze, czym moim zdaniem ostatecznie potwierdził, że ta formacja już nie odniesie zwycięstwa i w obecnym kształcie będzie powoli schodzić ze sceny.

Nadzieją jest niewątpliwie parlamentarna lewica, z którą dzisiaj należy łączyć oczekiwania dużo większe niż z Platformą Obywatelską jako realną alternatywą polityczną i ideową dla PiS. Dla mnie nadzieją parlamentarną jest prof. Maciej Gdula, wytrawny intelektualista, ideowy człowiek lewicy, a także członek Kuźnicy. Liczę również na drugą krakowską twarz lewicy – Darię Gosek-Popiołek.

ZUZANNA DĄBROWSKA, „Rzeczpospolita"

3. W roku 2019 najbardziej rozczarował mnie Donald Tusk. Nie robi się takich falstartów! Postępowanie polityczne powinno się rządzić logiką. Jak się wydaje książkę, to startuje się w wyborach albo walczy o przywództwo w partii. Teraz nie wiadomo, o co Tusk walczy. Czy o przywództwo w PO, czy o budowę nowego ruchu, czy ma ochotę iść na emeryturę… Tym szumem, który wywołuje, więcej szkodzi. A centrum jest potrzebne w polskiej polityce, bo zabierając PiS umiarkowanych wyborców, może stanowić o równowadze.

Natomiast moją nadzieją jest poseł Maciej Konieczny z partii Razem. W czasie posiedzenia inauguracyjnego

eprasa.pl e62bed3f48

Sejmu, w trakcie zaprzysiężenia podniósł pięść w górę. To gest lewicy, znany na całym świecie. To wymagało odwagi cywilnej. I coś, co nie wzbudziłoby żadnego zdziwienia np. w hiszpańskich w Kortezach, w Polsce zaszokowało.

Moje obawy budzi 6% Konfederacji, chociaż uważam, że jest to mało spójne środowisko. Ale ono rośnie, nabiera pewności siebie. Świadczą o tym różne incydenty, choćby takie jak atak na wolontariuszy, którzy przy stacji warszawskiego metra rozdawali jedzenie bezdomnym. Z drugiej strony PiS po Banasiu lawinowo traci na prawicy autorytet i dla tych rozczarowanych otwarte są ramiona Konfederacji. Rosną więc jej wpływy i to mnie martwi.

WITOLD JURASZ, „Dziennik Gazeta Prawna", Onet

1. Rok 2019 był dobry, bo Zachód, którego jesteśmy częścią – mimo widocznych oznak słabości – przetrwał. Dobry, bo wbrew alarmistycznym doniesieniom o rosnącej potędze Chin Stany Zjednoczone pozostają jedynym supermocarstwem. Dobry, bo wbrew histerycznym ostrzeżeniom USA nie sprzymierzą się – w domyśle naszym kosztem – z Rosją przeciw Chinom. Zły, bo Donald Trump nadal nie rozumie, że prezydent USA jako lider powinien dbać też o kondycję Zachodu i nie traktować porządku światowego jak negocjacji w biznesie, gdzie wszystko i każdego można w dowolnej chwili sprzedać. Zły, bo jednak dojdzie do brexitu. Dobry, bo Władimir Putin po 20 latach rządów okazuje się jednak tylko pułkownikiem KGB bez żadnego pomysłu na Rosję i bez pomysłu, jak złamać jedność Zachodu. Zły, bo polski biznes nadal zamiast wejść do polityki, przygląda się temu, jak nieodpowiedzialni politycy niszczą Polskę.

2. W Polsce w górę poszła lewica (na szczęście poza nową ideową jest też ta stara cyniczna, co daje szansę, że lewica nie będzie zbyt ideowa, bo nadmiar ideowości w polityce szkodzi równie mocno jak jej kompletny brak). Na świecie – Boris Johnson, ale to akurat nie jest dobra wiadomość. I Wołodymyr Zełenski, bo wygrał.

W dół polecieli w Polsce liberałowie, którzy nadal nie rozumieją, dlaczego PiS wygrało wybory (nie tylko ostatnie, ale również te sprzed czterech lat). I PiS, które wygrało już tylko dlatego, że liberałowie „niczego się nie nauczyli, niczego nie zrozumieli".

3. Rozczarowania: Donald Tusk, bo miał być mesjaszem, a okazał się politycznym kunktatorem. Andrzej Duda, bo kolejny rok okazuje się politykiem PiS, a nie prezydentem. Jarosław Kaczyński, bo udowodnił, że nie jest prawdą, że „car dobry, tylko bojarzy źli". Emmanuel Macron, bo nie można pouczać wszystkich o demokracji i marzyć o romansie z Władimirem Putinem. Greta Thunberg, bo fanatyzmem nie naprawia się świata, można za to ośmieszyć nawet najsłuszniejszą ideę.

Nadzieją jest Szymon Hołownia, bo mówiąc, że najlepszym Trybunałem Stanu dla Andrzeja Dudy będzie przegrana w wyborach, przypomniał ducha Okrągłego Stołu. I Angela Merkel, bo chociaż ona jedna jest przewidywalna.

PIOTR GADZINOWSKI, „Trybuna"

1. To był pierwszy rok końca politycznego duopolu PO-PiS. I pierwszy rok końca politycznych wpływów pokolenia Okrągłego Stołu oraz jego beneficjentów.

2. Na warszawskiej giełdzie politycznej udanie zadebiutowała zjednoczona lewica. Jej akcje zapewne pójdą jeszcze w górę, ale pułapu 20% szybko nie przebiją.

PiS weszło w tendencję boczną. Jednak jego akcje dalej warto trzymać. Podobnie jak zrewitalizowanego PSL.

W fazę spadków i możliwych splitów weszła Koalicja Obywatelska, czyli Platforma. Ale to jeszcze nie powód do rekomendacji „sprzedaj".

3. Największym rozczarowaniem dla kultury polskiej i promocji Polski okazał się wicepremier minister kultury Piotr Gliński. Urzędnik świadomy litanii swoich porażek, ale zupełnie niepojmujący powodów klęsk. Wietrzący wszędzie i chyba naprawdę wierzący we wszechobecne spiski wrogich mu, podstępnych artystów. Kto sczeźnie pierwszy, oni czy on – oto jest, fundamentalne dla polskiej, narodowo-katolickiej kultury, pytanie.

A personalna nadzieja? Poczekajmy do drugiej tury wyborów. Kiedy poznamy kontrkandydatkę pana prezydenta Dudy. Czekajmy cierpliwie. Nadzieja zwykle umiera ostatnia.

JAN ORDYŃSKI, „Przegląd"

1. Dla Polski był to generalnie zły rok. Jeszcze bardziej pogorszyła się pozycja międzynarodowa naszego kraju. „Polska jest największym rozczarowaniem UE", napisała niedawno jedna z poważnych europejskich gazet. Sytuację wewnętrzną negatywnie naznaczyły natomiast kolejne antykonstytucyjne akcje PiS, łamanie innych ustaw ustrojowych oraz dewastacja organów wymiaru sprawiedliwości.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (2), PAP/MACIEJ CHMIEL, AGNIESZKA ŚNIEŻKO/EAST NEWS

eprasa.pl e62bed3f48

2. W górę – Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich. Konsekwentny i odważny realizator swoich ustrojowych obowiązków. Reagujący na coraz częstsze łamanie praworządności i wolności obywatelskich.

W dół – Andrzej Duda. Przez kolejny rok potwierdzał, że nigdy nie powinien być prezydentem RP. Nie stał na straży podstawowych zapisów konstytucji. Autoryzował wszystkie pisowskie działania wymierzone w sądy i sędziów. W polityce zagranicznej kompletnie się nie liczy. Jego największą wpadką było podpisanie opracowanej przez Patryka Jakiego nowelizacji ustawy o IPN. Potępionej m.in. przez USA, Izrael, Ukrainę i opiniotwórcze koła w Polsce.

3. Rozczarowanie – Donald Tusk. Będąc jednym z bardzo niewielu polskich polityków, którzy mogą przywrócić autorytet prezydenturze RP, postanowił nie startować w najbliższych wyborach na ten urząd.

Nadzieja – Olga Tokarczuk. Przywróciła wiarę, że Polki i Polacy mogą zdobywać najwyższe światowe laury.

RAFAŁ WOŚ, „Tygodnik Powszechny"

2. Na minus: Biedroń. Rok temu wydawało się, że ma wszystko – pomysł, energię i rozpoznawalność – by zbudować nową wiarygodną siłę na lewicy. Ostatecznie pomysł okazał się niespójny i mało istotny dla większości obywateli. Energia ludzi tworzących Wiosnę się wyczerpała. A rozpoznawalność Biedronia okazała się przekleństwem, skutkującym graniem lidera ruchu tylko na siebie i zauszników.

Na plus: Jan Śpiewak. Toczy samotną i słuszną walkę o ważną sprawę. Nie pozwólmy go zniszczyć.

JACEK RAKOWIECKI, portal Obywatele News

1. Rok 2019 był gorszy, niż sądziłem, bo PiS nadal nie osiągnęło masy krytycznej kompromitacji, która przełożyłaby się na jego wyniki wyborcze (ale co się odwlecze, to nie uciecze). Lepszy, niż krakano, bo lewica się odrodziła jako Lewica (a to dopiero początek!).

2. W górę poszli zdecydowanie Adrian Zandberg i Razem, bo zrozumieli, że bez kompromisu nie da się robić skutecznej polityki.

W dół – Platforma Obywatelska, bo choć ma nóż na gardle, nadal jej jedynym programem jest bycie anty-PiS i nic więcej, żadnej wizji cywilizacyjnej, ekonomicznej, kulturowej. Tak, wiem, co mówił o wizjach Tusk. Tylko że właśnie w tej jego cynicznej konstatacji tkwi przyczyna klęski PO.

3. Rozczarowaniem okazał się – niestety – Robert Biedroń. Polityk może robić błędy, a nawet głupoty. Ale nie może wyjść na oszusta. No, przynajmniej po lewej stronie sceny politycznej.

Nadzieją jest Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. Ale tylko jeśli będzie przyciągał coraz więcej ideowych ludzi z kolejnych roczników, a nie skończy się słomianym zapałem. Palenie słomy pogarsza klimat!

Robert Walenciak

Drogi Czytelniku,

- **jeśli nie uważasz Polski Ludowej za czarną dziurę i nie masz powodów, by wstydzić się swojej przeszłości,**
- **jeśli chcesz, by dzieci i wnuki rozumiały twoje wybory życiowe,**
- **jeśli chcesz, by poznały historię bez zakłamań i wiedziały więcej niż to, co głosi IPN, zrób im noworoczny prezent.**

ZAPRENUMERUJ PRZEGLĄD W WERSJI ELEKTRONICZNEJ

Teraz za cały rok tylko

~~119,90 zł~~ **99,99 zł**

Skontaktuj się z nami:
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
sklep@tygodnikprzeglad.pl
22 635 84 10 wew. 107

eprasa.pl e62bed3f48

Polacy żyją krócej

Mimo postępu medycyny i lepszych warunków bytowych życie Polaków przestało się wydłużać. Jest krótsze nawet o półtora miesiąca

Anna Brzeska

Przyzwyczailiśmy się przez lata do krzepiącej myśli, że raczej pożyjemy długo. Mamy skuteczne leki na nadciśnienie, stenty i wiele nowoczesnych metod, dzięki którym lekarze w razie czego wyciągną nas z zawałów i różnych innych chorób.

Poza postępem medycyny mamy też lepsze niż rodzice warunki bytowe i od lat cieszymy się pokojem. To wszystko sprawia, że przeciętny polski mężczyzna żyje dziś grubo powyżej 70 lat, a przeciętna kobieta przekracza osiemdziesiątkę. To duży postęp, zważywszy, że w roku 1950 statystyczny Kowalski mógł mieć nadzieję na dotrwanie do mniej więcej 56. roku życia, a jego żona przeżywała go o jakieś pięć lat. Współcześnie w tym wieku dopiero planujemy emeryturę.

Ale od 2017 r. coś zaczęło się psuć. Rok wcześniej, w 2016, przeciętną długość życia mężczyzn szacowano na 73,9 roku, natomiast kobiet na 81,9. Tymczasem rok 2017 przyniósł wprawdzie nieznaczną poprawę, jeśli chodzi o panów – o 0,1 roku, jednak w przypadku kobiet o tyle samo wynik się pogorszył. W 2018 r. odnotowano już pogorszenie dla obu płci. Przeciętne dalsze trwanie życia noworodków płci męskiej szacowane było wtedy na 73,8 roku, a płci żeńskiej – na 81,7.

Ile lat życia ma więc statystycznie przed sobą ktoś, kto dobił do trzydziestki? Według danych GUS – 48,5, o 1,5 miesiąca mniej, niż prognozowano rok wcześniej. 40-latek stracił w prognozach 1,3 miesiąca, 50-latek – miesiąc, 60-latek – 1,5 miesiąca.

Czy powinniśmy się martwić?

Prof. Piotr Szukalski, demograf i gerontolog z Uniwersytetu Łódzkiego, twierdzi, że na razie nie możemy mówić o odwróceniu trendu, ale czyni istotne zastrzeżenie: – Jest za wcześnie, byśmy uznali, że nasze życie od tej pory już tylko będzie się skracać. Problem jednak polega na tym, że nie jest to jeden przypadkowy rok. W poprzednich latach mieliśmy bowiem do czynienia ze skróceniem się czasu trwania życia raz u mężczyzn (nastąpiło to w roku 2015, gdy średnia długość ich życia zmalała do 73,6, z 73,8 w 2014 r.), raz u kobiet (we wspomnianym już 2017 r.). W zeszłym roku obniżka wystąpiła natomiast i u mężczyzn, i u kobiet. Poza tym – nie jesteśmy wyjątkiem. W Stanach Zjednoczonych obserwujemy to zjawisko już od 10 lat, a we Francji od dwóch-trzech lat. W innych krajach europejskich również dostrzegane jest wyraźne obniżenie tempa wzrostu długości życia – albo nawet notuje się niewielkie spadki.

Jeśli chodzi o sugerowanie się sytuacją w Stanach Zjednoczonych, dr Paweł Strzelecki, demograf z SGH, ma nieco odmienne zdanie: – To specyficzny kraj, gdzie nie ma powszechnej bezpłatnej opieki zdrowotnej. To, że Amerykanie myślą w zupełnie innych kategoriach, widać na przykładzie dyskusji o sensie wprowadzenia programu *Obamacare*. Dlatego nie można wnioskować, że skoro w Stanach trend się odwrócił, będzie tak i w Europie. Drugą kwestią jest epidemia otyłości i chorób cywilizacyjnych, która wciąż najbardziej dotyka Amerykę.

Z kolei w przypadku Polski, jak zaznacza dr Strzelecki, przyczyną obecnego spadku nie jest np. osiągnięcie jakiejś granicy w rozwoju medycyny: – Wciąż mamy zaległości do nadrobienia. Jeśli porównamy się z Europą Zachodnią czy Japonią, widzimy, że moglibyśmy żyć dłużej. Przykładowo w Niemczech w 2017 r. mężczyźni

W 2016 r. przeciętną długość życia mężczyzn szacowano na 73,9 roku, kobiet – na 81,9 roku. W 2018 r. – na 73,8 oraz 81,7.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e62bed3f48

żyli przeciętnie 78,7 roku, a kobiety 83,4. W tej chwili jesteśmy więc jakieś 10-15 lat za Niemcami, co oznacza, że w tym miejscu, gdzie jesteśmy teraz, Niemcy byli na początku XXI w.

Światowymi rekordzistami są mieszkańcy Monako. U kobiet średnia przewidywana długość życia w 2015 r. wynosiła aż 93,6 roku, u mężczyzn zaś 85,3.

To nie pierwsze wahnięcia

Aby ocenić, jakie znaczenie ma obserwowane obecnie zjawisko, warto sprawdzić, czy już wcześniej zdarzały się tego rodzaju sytuacje i jaki miały finał.

Dr Strzelecki: – Do XVIII-XIX w. długość życia szczególnie nie rosła, stało się to dopiero później, w niektórych krajach szybciej, w innych wolniej. Jednak w nowożytnej historii nie było takiego okresu, żeby przez kilka lat długość życia malała. Oczywiście wyraźnie widać odwrócenie tego wzrostowego trendu podczas wojen, kiedy ginęło wiele młodych osób. Ale po II wojnie światowej trend wydłużania się życia był kontynuowany, można mówić wręcz o jego przyśpieszeniu. Tak było niemal do końca lat 60., potem nastąpiła pewna stagnacja, zwłaszcza jeśli chodzi o długość życia mężczyzn. Można to tłumaczyć częściowo dietą, konkretnie – zwiększonym spożyciem wódki i tłustego jedzenia, co powodowało nadumieralność mężczyzn. Taka stagnacja trwała jeszcze w pierwszych trzech latach po transformacji ustrojowej, ale potem długość życia zarówno mężczyzn, jak i kobiet znów zaczęła rosnąć.

Czy jeśli chodzi o XXI w., teraz zatrzymaliśmy się po raz pierwszy? Prof. Szukalski: – W ciągu ostatnich 26 lat, odkąd długość życia w Polsce trwale rośnie, dwukrotnie obserwowaliśmy „wpadki". Z reguły jednak te małe obniżki wynikały z takich czynników jak długa, surowa zima z licznymi zmianami frontów atmosferycznych albo wyjątkowo upalne lato. Osoby mające np. problemy z układem krążenia są w takich warunkach bardziej podatne na zgony. Te spadki były tylko jednorazowymi wahnięciami. Co więcej, po takim gorszym roku zawsze nadrabialiśmy i szliśmy do przodu jeszcze szybciej. Teraz mamy jednak trzy lata, gdy nie widać poprawy.

Trudna diagnoza

Jak uprzedza prof. Szukalski, sugerowane przez niego przyczyny spadków należy uznać najwyżej za możliwe. Dlaczego? – Zacznijmy od tego, że GUS z dużym opóźnieniem podaje statystyki dotyczące przyczyn zgonów. Najaktualniejsze dane pochodzą z 2017 r. – wyjaśnia. – Co gorsza, te statystyki są mało wiarygodne i mocno odbiegają od rzeczywistości, WHO od jakichś sześciu-siedmiu lat już nawet nie publikuje polskich danych na ten temat. Nie mamy koronerów, toteż niewielka część zgonów w Polsce kończy się sekcją zwłok. Lekarze, nie mając wyjścia, wpisują w dokumentach przyczynę zgonu zgodnie z tym, co im się wydaje. Stąd wielka dyskusja w Polsce o finansowaniu koronerów przez Ministerstwo Zdrowia, by pozyskać wiarygodne dane o przyczynach śmierci. Teraz wnioskujemy na podstawie przeszłości, i to nie do końca pewnej. Co więcej, w statystykach podawana jest z reguły ostateczna przyczyna zgonu. Jeśli jednak mamy 60-latka, który umarł na grypę, to trzeba sobie zadać pytanie, czy rzeczywiście tak było. Najczęściej przecież osoby starsze mają już np. chorobę serca lub cierpią na inne schorzenia, które obniżyły ich odporność.

Swoją listę braków i zaniedbań w polskim systemie, jeśli chodzi o diagnozy, dorzuca prof. Piotr Jankowski, kardiolog: – Wielka szkoda, że nie realizowaliśmy dotąd regularnie ogólnopolskich badań oceniających występowanie najczęstszych chorób. Nie mamy także systemu regularnego monitorowania skuteczności ich leczenia. W konsekwencji zagrożenia zdrowotne ze strony poszczególnych chorób możemy jedynie szacować. Na przykład liczba udarów mózgu według różnych źródeł wynosi od 60 tys. do nawet 100 tys., a liczba zawałów serca 70-90 tys. rocznie. Nie możemy też

Pod względem długości życia jesteśmy 10-15 lat za Niemcami.

Hipotezy, nie prognozy

Aby się zorientować, jakie rzeczywiste znaczenie mają dla nas dane o przeciętnym dalszym trwaniu życia, warto się dowiedzieć, czym tak naprawdę są te prognozy, często okraszane w mediach komentarzami w rodzaju „nasze dzieci pożyją dłużej" (lub – od niedawna – krócej). Okazuje się przy tym, że owe dane wcale nie są prognozami, choć GUS nazywa je „przeciętnym dalszym trwaniem życia", a wspomniane wartości odnosi do dzisiejszych noworodków.

Jak są liczone? – To, co obserwujemy jako przewidywaną długość trwania życia, jest wskaźnikiem wynikającym z tego, co zostało zaobserwowane u poprzednich generacji – wyjaśnia dr Paweł Strzelecki, demograf z SGH. – I mimo że interpretuje się te dane jako przewidywaną długość życia osób, które właśnie się rodzą, tak naprawdę wcale nią nie są. To raczej przewidywanie, co by było, gdyby rodzące się teraz osoby zachowywały się tak jak ich poprzednicy. Przestrzegałbym więc przed nazywaniem tego prognozą.

Czy zatem przy przewidywaniu długości życia przyszłych pokoleń nie bierze się pod uwagę czynników środowiskowych, zmian klimatycznych, postępu medycyny i podobnych okoliczności? Odpowiedź brzmi: i tak, i nie.

– Hipotezy te jedynie pośrednio uwzględniają zmiany środowiskowe – wyjaśnia prof. Piotr Szukalski, demograf i gerontolog z Uniwersytetu Łódzkiego. – Nie wiemy bowiem, w jakim stopniu oddziałują one na liczbę zgonów w danej grupie wiekowej. Nie uwzględnia się również zdarzeń, o których nie możemy wiedzieć, czy w ogóle wystąpią, tzw. czarnych łabędzi, np. wynalezienia bardzo skutecznego lekarstwa na raka – a przypomnijmy, że na raka umiera obecnie 28% osób w Polsce.

eprasa.pl e62bed3f48

wiarygodnie oceniać trendów w epidemiologii poszczególnych chorób. Pewnym wyjątkiem, choć niedoskonałym, są choroby nowotworowe. Dopiero teraz NFZ wdraża mechanizmy, które może pozwolą w przyszłości stwierdzić, czy zwiększa się częstotliwość zachorowań na daną jednostkę chorobową. Dodatkowo na liczbę zgonów spowodowanych przez daną chorobę, np. przez nadciśnienie tętnicze, wpływa nie tylko skuteczność leczenia, ale również jej rozpowszechnienie, a to z kolei zależy przede wszystkim od stylu życia społeczeństwa, w mniejszym zaś stopniu od czynników środowiskowych (np. jakości powietrza, którym oddychamy, bądź promieniowania) i genetycznych. Wpływ ma też stopniowe starzenie się społeczeństwa.

Jest jednak jeszcze coś, co może być dobrą wiadomością, jeśli chodzi o przewidywania dotyczące długości życia. Niewykluczone bowiem, że demografowie w pewnym sensie się mylą. Jak to możliwe? Wyjaśnia dr Paweł Strzelecki: – Na dane GUS wpływa również skala migracji. Jeśli chodzi o liczbę zgonów, tu nie ma mowy o nieścisłościach. Ale by obliczyć prawdopodobieństwo zgonu i przewidywaną długość życia, trzeba wiedzieć, jak duża jest populacja. Ta informacja natomiast już nie jest dokładna. Nie ma bowiem danych rejestrowanych, które pozwalałyby na to pytanie łatwo odpowiedzieć – poza tymi pochodzącymi ze spisów powszechnych. Ostatnie spisy w Polsce były zaś w 2002 i 2011 r. Kolejny będzie dopiero w 2021. Im dalej od spisu, tym trudniej oszacować, ile nas jest. Może być więc tak, że obecne wahnięcia wynikają z niedokładności danych. Tymczasem w ostatniej dekadzie, a nawet dłużej, mamy do czynienia z licznymi wędrówkami migracyjnymi. Najpierw obserwowaliśmy migracje po wejściu Polski do UE, teraz mamy brexit.

Co skraca nasze życie?

Mimo że brakuje nam dostatecznych danych jakościowych, prof. Szukalski wymienia kilka zjawisk, które są wskazywane jako wywierające wpływ na długość życia poszczególnych pokoleń: – We Francji i w Stanach Zjednoczonych mówi się np. o odroczonej konsekwencji wzmożonej konsumpcji tytoniu. W latach 50. i 60. pojawiła się wielka moda na palenie. Ówczesne 20-latki czy nastolatki rzuciły się na papierosy i przez wiele dekad intensywnie paliły. Dziś ci ludzie mają już ponad 70 lat i zamiast żyć równie długo jak urodzeni np. 10 lat wcześniej, zaczynają się borykać z bezpośrednimi konsekwencjami palenia.

W Stanach Zjednoczonych przeciętna długość życia skraca się już od 10 lat, we Francji – od dwóch-trzech lat.

Ekspert przypomina, że jeśli chodzi o Polskę, możemy też się zastanawiać, jakie są długotrwałe konsekwencje kryzysu lat 80. i późniejszej transformacji ustrojowej. – Chodzi tu głównie o ograniczony dostęp do dobrej jakości pożywienia – tłumaczy. – Deficyty w tym zakresie są szczególnie ważne w kilku kluczowych okresach życia człowieka. Pierwszy taki moment występuje już w czasie rozwoju płodowego, w II trymestrze ciąży. Jeśli pożywienie matki jest słabej jakości, jego składniki są przez organizm płodu „inwestowane" w układ nerwowy czy krwionośny, ale inne narządy czy układy słabiej się rozwijają. Wiemy z badań, że dzieci niedożywione w tym okresie płodowym zdecydowanie częściej chorują na choroby różnych narządów traktowanych przez organizm jako „mniej ważne". Organizm bowiem tak się buduje, by przede wszystkim zdążyć spłodzić dzieci i je odchować, wystarczy mu zatem, że dożyje pięćdziesiątki czy sześćdziesiątki. Następną grupą szczególnie narażoną na konsekwencje deficytów w dostępie do jakościowego pożywienia są chłopcy w wieku 13-14 lat, czyli wtedy, gdy dorastają i zmieniają się w mężczyzn. W przypadku kobiet takim krytycznym okresem jest ciąża. Brak dostępu do dobrej żywności wywołuje u nich poważne problemy zdrowotne, np. z zębami – zbyt mało wapnia w diecie powoduje, że jest on wypłukiwany z kości matki, by trafić do dziecka. Możemy więc się spodziewać gorszego stanu zdrowia – niż moglibyśmy tego oczekiwać – u osób, które urodziły się w latach 80., u mężczyzn, którzy byli wtedy nastolatkami, i u kobiet, które rodziły wtedy dzieci.

Prof. Szukalski zwraca też uwagę na te możliwe przyczyny skracania się długości życia, które pojawiają się współcześnie: – W ostatnich latach staliśmy się społeczeństwem nadmiaru aspiracji. Często wydajemy pieniądze tylko po to, by się popisać przed innymi. Co gorsza, jesteśmy niezwykle leniwi, jeśli chodzi o wysiłek fizyczny, tylko dlatego, że nas na to stać. Patrząc na dzieci na elektrycznych hulajnogach, zastanawiam się, jaki będzie ich stan zdrowia za 20-30 lat. Zamiast się poruszać, naciskają guziczek, a potem badania sprawności, siły i wytrzymałości u dzieci, przeprowadzane co 10 lat przez warszawską AWF, pokazują, że dzisiejsze nastolatki są znacznie słabsze niż ich rówieśnicy sprzed 10 czy 20 lat. Taka zemsta pomyślności. I jeszcze jedno: dzień w dzień jesteśmy faszerowani chemią, cukrem i mikroelementami plastiku, które są obecne choćby w mięsie czy rybach. Nasze organizmy mogą już tego nie wytrzymywać. Do tego dochodzą zmiany klimatyczne. Zamiast mroźnych zim

PRZECIĘTNE DALSZE TRWANIE ŻYCIA W POLSCE

Rok	Mężczyźni (dla wieku 0 lat)	Kobiety (dla wieku 0 lat)
1950	56,1	61,7
1960	64,9	70,6
1970	66,6	73,3
1980	66,0	74,4
1990	66,2	75,2
2000	69,7	78,0
2010	72,1	80,6
2011	72,4	80,9
2012	72,7	81,0
2013	73,1	81,1
2014	73,8	81,6
2015	73,6	81,6
2016	73,9	81,9
2017	74,0	81,8
2018	73,8	81,7

Źródło: GUS

eprasa.pl e62bed3f48

ŚREDNIA DŁUGOŚĆ ŻYCIA W POLSCE

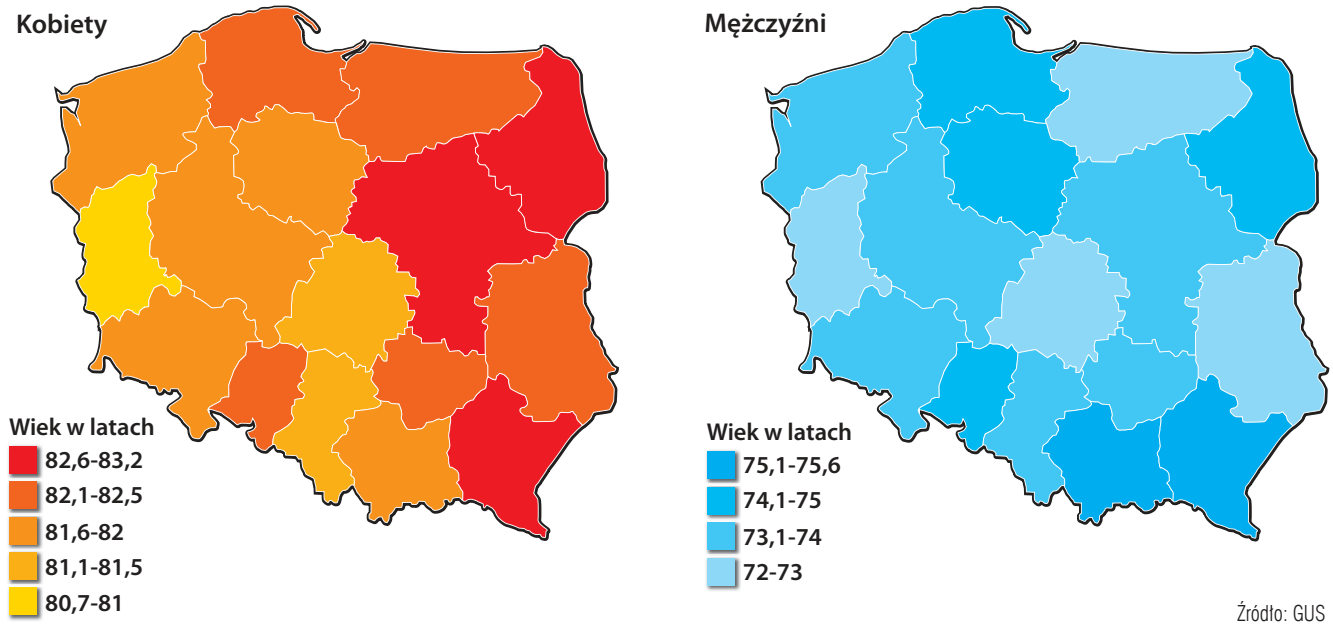

Źródło: GUS

mamy długi okres utrzymywania się temperatury około zera, kiedy niemal wszyscy kaszlemy i kichamy. To samo dzieje się latem, gdy przedłużają się upały. Trudno powiedzieć, jakie to może mieć długofalowe następstwa dla naszego stanu zdrowia.

Dobrobyt mimo wszystko lepszy

Jeśli jednak spojrzymy na listę państw świata, które w ogóle udostępniły statystyki średniej długości życia, widzimy, że owa pomyślność wychodzi nam na dobre. Światowe zestawienie zamykają bowiem biedne kraje afrykańskie: Czad (przeciętny mężczyzna żyje tam zaledwie 51 lat, kobieta tylko 48,6) i Gwinea Bissau (52,3 oraz 48,2). Trzeci od końca jest Afganistan.

Prof. Jankowski: – Na pewno długość życia jest związana z wielkością dochodów. Osoby o większych dochodach średnio żyją dłużej. Podobną korelację obserwuje się, analizując wielkość krajowego produktu brutto – jako wskaźnika „bogactwa" danego kraju – a szczególnie nakładów na ochronę zdrowia.

Kardiolog potwierdza jednak to, co mówił prof. Szukalski – pieniądze to nie wszystko. Pokazuje to przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie mimo ogromnych nakładów finansowych na służbę zdrowia ludzie żyją krócej niż w Skandynawii czy kilku innych krajach europejskich.

Dlaczego umieramy

Odchodząc nieco od tematu skracania się długości życia, przypomnijmy sobie, co nas, Polaków, zabija najczęściej. Prof. Jankowski: – Przyczyną ok. 43% wszystkich zgonów są choroby układu krążenia, takie jak zawał serca, udar mózgu, niewydolność serca, zaburzenia jego rytmu czy tętniaki aorty. Na drugim miejscu są nowotwory, powodujące prawie o połowę mniej zgonów, choć wielu z nas ma wrażenie, że jest inaczej – być może dlatego, że nowotwory częściej niż choroby układu krążenia atakują ludzi młodych. Jednak wśród osób po 60. roku życia zdecydowanie choroby układu krążenia stanowią największe zagrożenie.

Wydawać by się mogło, że w związku z tym organizatorzy systemu opieki zdrowotnej powinni się skupić na tym zagrożeniu, jeśli chcą, by nasze życie znów tylko się wydłużało. Prof. Jankowski pozbawia nas złudzeń: – W porównaniu z zagrożeniem, jakie dla zdrowia społeczeństwa niosą choroby układu krążenia, nakłady na profilaktykę i leczenie chorób serca i naczyń nie są duże, a w dodatku w ostatnich latach zostały uszczuplone.

Na szczęście nadrabiamy trochę zaległości dzięki postępowi medycyny: – W ostatnich latach był on bardzo duży, rozwijają się nowe metody leczenia, więc odsetek zgonów spowodowanych chorobami układu krążenia od 30 lat maleje. W 1990 r. były one przyczyną 52% zgonów, a teraz jest to 43% – wyjaśnia kardiolog. Dodaje, że możemy być dumni z wyników leczenia pacjentów z ostrym zawałem serca. – W tym przypadku śmiertelność wewnątrzszpitalna jest jedną z najmniejszych w Europie. Dzięki wprowadzonemu niedawno systemowi opieki nad pacjentami po zawale serca, nazwanemu KOS-Zawał, poprawiła się opieka medyczna po wypisie ze szpitala.

Co jeszcze może sprawić, że nasze życie nie będzie się skracać? – Na horyzoncie pojawiają się nowe leki, które mogą zapobiec występowaniu lub zahamować postęp wielu

Polska jest jednym z niewielu krajów europejskich, w których rośnie spożycie alkoholu.

eprasa.pl e62bed3f48

chorób kardiologicznych – mówi prof. Jankowski. – Do tych leków można zaliczyć nowe leki przeciwcukrzycowe i obniżające stężenie cholesterolu, ale także niedawno opracowane nowe molekuły, których działanie przeciwzapalne hamuje rozwój miażdżycy. Nadzieje budzą też badania nad szczepionką przeciwko białkom odpowiedzialnym za podwyższenie stężenia cholesterolu. Wstępne badania wykazały zahamowanie rozwoju miażdżycy dzięki zastosowaniu tej nowatorskiej metody. Śmiało można ją nazwać szczepionką przeciwko miażdżycy.

W ciągu ostatnich 20 lat sposób żywienia Polaków nie zmienił się na bardziej prozdrowotny, a poziom aktywności fizycznej spada.

I wreszcie inna ważna kwestia: nasz styl życia. Tu kardiolog nie ma dobrych wieści. Nie mamy z czego się cieszyć i jeśli chcemy, by wahania długości życia okazały się krótkotrwałym spadkiem, musimy bardziej się postarać.

– W części społeczeństwa udało się wykreować modę na zdrowy styl życia. Niestety, nie jest to duża grupa – mówi prof. Jankowski. – Na poziomie populacji nie obserwujemy korzystnych zmian, poza zmniejszeniem się powszechności palenia tytoniu (choć wzrasta z kolei zagrożenie płynące z e-papierosów, do których dodawane są różne substancje; co więcej, badania pokazują, że młode osoby używające papierosów elektronicznych trzykrotnie częściej rozpoczynają w przyszłości palenie tradycyjnych papierosów). W ciągu ostatnich 20 lat sposób żywienia Polaków nie zmienił się na bardziej prozdrowotny, a poziom aktywności fizycznej przeciętnego Polaka zmniejsza się. W efekcie przybywa osób z otyłością i cukrzycą. Częstość występowania otyłości wśród polskich nastolatków zwiększa się szybciej niż gdziekolwiek w Europie. Jedną z przyczyn jest szum informacyjny dotyczący prozdrowotnego stylu życia, wzmacniany m.in. przez reklamy suplementów, które często sugerują, że po zastosowaniu „cudownej" tabletki można się odżywiać niezdrowo.

Do tej smutnej wyliczanki kardiolog dorzuca problemy z alkoholem: – Polska jest jednym z niewielu krajów europejskich, w których spożycie alkoholu rośnie i według ostatnich danych wynosi 11 litrów etanolu rocznie na jedną osobę w wieku powyżej 15 lat. Codziennie sprzedaje się w Polsce 3 mln tzw. małpek, czyli małych, zwykle stugramowych, buteleczek wódki.

Ostrzeżenie dla rządzących

Prof. Szukalski: – Być może obecnie rządzący nie potrafią zorganizować nam systemu opieki zdrowotnej. Rosną kolejki i borykamy się z coraz trudniejszym dostępem do różnych procedur medycznych. Wzrasta też gwałtownie zadłużenie szpitali. Skracanie się długości życia może więc być wynikiem pogarszającego się dostępu do opieki zdrowotnej.

Prof. Jankowski: – To oczywiste, że kolejki do kardiologa powinny być krótsze. Jedną z przyczyn długich kolejek do specjalistów jest naturalnie niewystarczająca liczba lekarzy. Inną jest przekonanie wielu rodaków, że każde schorzenie powinno być diagnozowane i leczone przez specjalistę. To nieprawda. Przykład: większość osób z nadciśnieniem tętniczym może i powinna być leczona przez lekarzy POZ. Jednak w Polsce prawie każdy chce być leczony przez specjalistę. Na pewno sytuacji nie da się poprawić bez podjęcia poważnej reformy lecznictwa otwartego w tym zakresie.

Demograf z Uniwersytetu Łódzkiego podsuwa tu jeszcze jedną ważną uwagę: – Jeśli ktoś był niedożywiony kilka dekad temu, jesteśmy w stanie pomóc mu jedynie w niewielkim stopniu. Ale już na niedostateczny dostęp do lekarzy możemy wpłynąć, dokładając środków finansowych albo reorganizując system opieki zdrowotnej. Powinniśmy robić to, co zrobić możemy. To czysty pragmatyzm.

Zakładając, że mamy do czynienia nie z jednorazowym zakłóceniem, lecz z odwróceniem tendencji, trzeba podkreślić kolejną kwestię: rządzący muszą działać szybko. Za chwilę pierwszy rocznik powojennego baby boomu dojdzie do wieku 75 lat, czyli momentu, w którym częste wizyty lekarskie czy pobyty w szpitalu stają się normą. Zbliża się fala, która sama w sobie będzie bardzo wyraźnie obciążać system opieki zdrowotnej. A jeśli już dziś stwierdzamy, że jest on niewydolny, co przyczynia się do pogorszenia stanu zdrowia populacji, mamy wskazówkę, co musi być dla nas priorytetowe. Powinno się zwrócić uwagę choćby na konieczność zmiany wymogów co do standardów zawodowych personelu medycznego. Przykładem są pielęgniarki z Ukrainy, które u siebie w kraju skończyły trzyletnie szkoły pielęgniarskie. U nas pracują zaledwie jako pomoce szpitalne, ponieważ zgodnie z prawodawstwem unijnym pielęgniarka musi mieć wyższe wykształcenie. Europa w tej kwestii idzie w ewidentnie złym kierunku.

Gen długowieczności?

A co z genami? Każdy z nas słyszał, że np. Japończycy żyją wyjątkowo długo. Zajmują pod tym względem drugie miejsce na świecie. Może to dzięki jakimś genom długowieczności, więc i tak nie mamy szans w tym wyścigu?

– Nikt nie udowodnił, że istnieje jakaś nacja, która miałaby gen długowieczności – mówi dr Strzelecki. – Wydaje się, że zbiorowości ludzkie w poszczególnych krajach są zbyt zróżnicowane, byśmy mogli formułować takie poglądy w odniesieniu do całego narodu. Kluczowe znaczenie ma tu raczej styl życia danej nacji. Warto też wspomnieć o wioskach na Sardynii, gdzie żyją ludzie, których przeciętny wiek to prawie 100 lat. Są tam osoby, które mają po 100-110 lat i więcej i czują się zupełnie dobrze. Do tej pory nie wiadomo, co jest tego przyczyną – czy rzeczywiście ma to podłoże genetyczne, czy zależy od diety albo stylu życia danego regionu.

Przyczyną około 43% wszystkich zgonów są choroby układu krążenia.

Anna Brzeska
Współpraca Krystyna Rożnowska

eprasa.pl e62bed3f48

Bez uprzedzeń

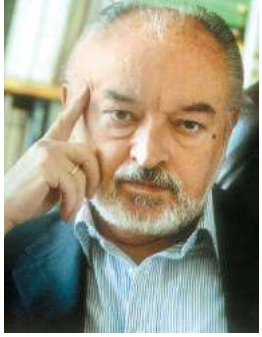

Bronisław Łagowski

Zepsute zegary

Pisowski działacz bardzo kulturalny wypędził z estrady zespół artystyczny za odśpiewanie piosenki „Tiomnaja nocz" znanej z czasów wojennych. Śpiewali ją kiedyś radzieccy żołnierze i szeroko przyjęła się później w polskim tłumaczeniu. Działacz wyjaśnił, dlaczego jest zabroniona w bardzo wolnej Polsce: może ona wzbudzić przyjazne uczucia do Armii Radzieckiej z czasów wojny, co podpada pod IPN-owski paragraf szerzenia komunistycznego totalitaryzmu.

Zastanawialiśmy się, czy papież Jan Paweł II mógłby przyjąć w Watykanie chór sojuszniczej Bundeswehry, i doszliśmy do wniosku, że nie mógłby tego zrobić, ponieważ naruszałoby to może już niepotrzebne, ale jednak istniejące tabu. Nie miał Jan Paweł II tego dylematu, gdy chodziło o chór Aleksandrowa, który śpiewał przed nim swoje sławne pieśni, w tym także „Czerwone maki". I nie został rozpędzony przez straż watykańską.

Włodzimierz Czarzasty powiedział przy jakiejś okazji, że Polska została wyzwolona w 1945 r. przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie. Ściągnął tym na siebie straszliwe gniewy wszystkich partii posolidarnościowych, a nawet naganę Wiosny, z którą moim zdaniem SLD powinien się łagodnie i bez podnoszenia głosu rozłączyć, bo są po temu inne, nienaprawialne powody. Poseł PiS uznał wypowiedź Włodzimierza Czarzastego za przestępstwo i skierował sprawę do prokuratora.

Znowu odwołam się do najwyższych autorytetów. Kto miał okazję słyszeć wypowiedzi prymasa Wyszyńskiego do większego lub niewielkiego grona na tematy tak zwane publiczne, może zapamiętał, że czyniąc rozróżnienia czasów, wyrażał się „za okupacji" i „po wyzwoleniu", co nie było wyrazem jakiejś opcji, lecz stwierdzeniem oczywistego faktu. Tak samo wyrażały się, jeśli o tych materiach czyniły jakąś wzmiankę, siostrzyczki nazaretanki z Komańczy, u których prymas był internowany. Spędzaliśmy tam dużo później wakacje ze dwa lub trzy razy i dopiero gdy pojawił się tam prałat Mączyński z Watykanu, wyczuwało się, że jemu kolokwialna polszczyzna była raczej obca.

Inteligentny i klarowny artykuł na temat, kogo Armia Radziecka wyzwoliła, a kogo nie wyzwoliła, napisał Stanisław Lewicki w czasopiśmie „Myśl Polska". Oczywistością jest przecież, że nie wszystkich wyzwoliła. Ci, których sytuacja się pogorszyła, ani się nie czuli wyzwoleni, ani obiektywnie nimi nie byli. „To przebywający jeszcze na tych terenach w ilości ok. 3 mln Niemcy oraz jeszcze liczniejsza liczba folksdojczów, byłych obywateli polskich, którzy odstąpili od polskiego obywatelstwa i wpisali się na niemiecką listę narodową". Były też inne grupy narodowościowe uprzywilejowane w stosunku do ludności polskiej. „Dla tych trzech grup ludności wkroczenie Armii Czerwonej wyzwoleniem nie było. Ja jednak – pisze Stanisław Lewicki – jakkolwiek staram się zrozumieć wszystkich, to nie zamierzam patrzeć na Armię Czerwoną oczami Niemców, folksdojczów czy kolaborantów". A właśnie punkt widzenia tych grup w dzisiejszej, pisowskiej i platformerskiej Polsce jest propagandowo i bodajże prawnie obowiązujący.

Kogo jeszcze Armia Radziecka nie wyzwoliła? Hrabia Alfred Potocki z Łańcuta wyzwolony być nie mógł. Należał do kategorii kolaborantów, był blisko, jeszcze sprzed wojny zaprzyjaźniony z Ribbentropem, tym od paktu, który w Norymberdze został powieszony. Niemcy stworzyli Potockiemu wszystkie niezbędne ułatwienia, by mógł uciec w porę na Zachód, wywożąc najcenniejsze dobra ruchome. W środowisku arystokracji był wyjątkiem, mogę wymienić wielu utytułowanych ziemian, którzy działali w konspiracji, byli za to rozstrzeliwani lub cierpieli w obozach koncentracyjnych, jak na przykład Radziwiłłowie, Żółtowscy, Czetwertyńscy i inni. Czy ktoś myśli, że Krzysztof Radziwiłł, który wycieńczony do kresu sił usiłował w Mauthausen popełnić samobójstwo, nie przyjął z wdzięcznością przyjścia Armii Czerwonej? Czy nie była to dla niego armia wyzwolicielska? Zawsze interesował mnie przypadek ordynata Zamoyskiego. We wrześniu 1939 r. Sowieci bardzo fachowo obrabowali jego pałac w Klemensowie, więc niczego dobrego dla swoich dóbr po drugim przyjściu się nie spodziewał. Jednak lipiec 1944 r. to był dla niego czas wyzwolenia. Przez całą wojnę każdego dnia mógł spodziewać się rozstrzelania, bo obok jawnej ordynacji stworzył on coś w rodzaju ordynacji podziemnej, gdzie w swoich folwarkach i leśnictwach przechowywał paręset osób zagrożonych natychmiastową śmiercią. Czy ci ludzie „podziemia" nie wiedzieli, czy Armia Radziecka ich wyzwoliła, czy ujarzmiła? Zamoyski ustosunkowany w kraju i za granicą mógł z „ujarzmionej" Polski nie uciec, ale wyjechać, gdy nastał nowy ustrój. Jego postępowanie świadczy, że ustrój taki czy inny, demokracja czy socjalizm, to są rzeczy może dobre, może złe, a może bardzo złe, ale różne od takiej realności jak Polska z jej historią, polami i lasami i tym wszystkim, co ludzie dobrego w niej i dla niej potrafią stworzyć.

Czym jest Polska dla tych, co teraz w niej rządzą? Antykomunizmem i ciągle jeszcze komunizmem, i postkomunizmem, „pamięcią", która nic nie pamięta, „patriotyzmem", który jest kultem patriotyzmu, pustką znaczeniową. Ich hiper-Polska wcieliła się była w „żołnierzy wyklętych", ludzi zagubionych i nieszczęśliwych. To oni powinni byli nas prawdziwie wyzwolić

Co pozostało z myśli Wyszyńskiego, z natchnień Wojtyły, z politologii Brzezińskiego? Gdzie jesteśmy, w jakiej Polsce, w jakim czasie?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e62bed3f48

i zrobiliby to, gdyby nie totalitaryzm. My cofniemy się do tamtych czasów i weźmiemy odwet.

Osobą, która jako jednostka zrobiła może najwięcej dla zmiany ustroju w Polsce, był Zbigniew Brzeziński, dla którego niepodległa Polska była prawie obsesją. Pisał on w „Gazecie Wyborczej" 15 lat temu: „Marzeniem nas wszystkich przez wiele lat było, by Polska była Polską (…). Ale jak i kiedy marzenie mogło się spełnić? Czy wtedy, kiedy Ameryka miała broń atomową, a Rosja jej nie miała? Czy kiedy Stalin umarł i wkrótce Berlin wybuchł? Czy też podczas powstania węgierskiego… kryzysu berlińskiego i wkrótce też kubańskiego w latach 60.? No i proszę sobie wyobrazić, że to nastąpiło. Imperium pęka. Sowiety w odwrocie. No i co dalej? Na Zachodzie głównym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych były wtedy Niemcy Zachodnie. I ani Ameryka, ani Niemcy Zachodnie nie uznawały wtedy granicy na Odrze i Nysie. Czyli atmosfera niepewności. Może rozpoczyna się chaotyczna ucieczka ludności z ziem zachodnich i spontaniczny powrót przynajmniej pewnej części Niemców. A co wtedy na Wschodzie? Może początek nowych walk o Lwów? Może marsz na Wilno? A co wtedy w samej Polsce? Skąd demokracja, prawdziwa demokracja? (…) Pierwszy wniosek. Wyzwolenie 1989 r. nastąpiło w optymalnych warunkach historycznych". Drugi wniosek ja dopisuję: wszelkie wcześniejsze próby wyzwolenia byłyby gorzej niż bezskuteczne, bo katastrofalne, jak lata 1830, 1863, jak lato 1944 w Warszawie.

Zewnętrzne geopolityczne warunki sprzyjają demokracji, zapewnia Brzeziński. Ale czy one wystarczą? W czasie gdy to mówił, Brzeziński wierzył, że Polska ma elitę zdolną do utrzymania demokracji. Ale czy długo wierzył? W internecie wisi jego wypowiedź o kilka lat późniejsza o tej elicie: niszczy demokrację, osoby rządzące „są warte pogardy", osoby te „są chore" i „wstrętne", głoszą „nieodpowiedzialne bzdury", to, co czynią, jest „wredną robotą", polityczna gra „nieodpowiedzialna", „język brutalny". Słowa nadziei, że opozycja się temu przeciwstawi, okazały się bez pokrycia, bo opozycja za mało się różni od rządzących.

Wymieniłem trzy wielkie osobistości, które przewodziły zapowiedziom zmian i samym zmianom ustrojowym. Co pozostało z myśli Wyszyńskiego, z natchnień Wojtyły, a w końcu z precyzyjnej politologii Zbigniewa Brzezińskiego? Gdzie jesteśmy, w jakiej Polsce, w jakim czasie?

Bronisław Łagowski

Ikona to Ewangelia w kolorach

Aby być dobrym ikonografem, trzeba zabić w sobie artystę

Helena Leman

W drodze z Białegostoku do Bielska Podlaskiego wszystko tonie w słońcu, jakby to nie była połowa grudnia. Złocą się kopuły mijanych cerkwi, soczyście zieleni ozimina, lśnią skiby zaoranej ziemi. Policealne Studium Ikonograficzne im. św. Andrzeja Rublowa, ruskiego mnicha, ikonografa, twórcy m.in. ikony Trójcy Świętej, to jedyna w Polsce szkoła, w której pisze się ikony według kanonu niezmiennego od wczesnego średniowiecza. Szkoła mieści się w niewielkim kompleksie starych zabudowań połączonych z malutką, białą cerkiewką studyjną pod wezwaniem św. Trójcy.

– Ikona ukazuje prawdę dogmatyczną, jest nosicielem objawienia bożego jak Pismo Święte i Dzieła Ojców. To malarski sposób pokazania prawd teologicznych prawosławia, dlatego ikony nie maluje się, lecz pisze – mówi ks. Leoncjusz Tofiluk, dyrektor studium i proboszcz parafii św. Michała. – Jej korzenie sięgają starożytności i początków średniowiecza. Ikony pisał już w I w. św. Łukasz Ewangelista. W VIII w. pojawił się ruch przeciwników kultu ikon, nazywany ikonoklazmem. Zakończył go siódmy sobór powszechny w IX w., który ustanowił, że ikona jest częścią żywej tradycji Kościoła. Do postanowień tego soboru stosowano się długo, właściwie do czasów odrodzenia ikona była obecna także w kościołach Zachodu. Potem drogi się rozeszły. Zachodnioeuropejskie malarstwo sakralne skupiło się na wyobrażeniach naturalistycznych, pojawiły się perspektywa i światłocień, które są obce ikonie. Na przestrzeni wieków sztuka cerkiewna również nie uchroniła się od tych wpływów, przez co wypaczone zostało pojęcie ikony, nastąpiło jakby zatarcie jej tożsamości. Dlatego od 1983 r. organizuję obozy ikonograficzne, wzięło w nich udział 150 osób. Nasza szkoła, powstała na bazie tych obozów 17 maja 1991 r., powołana została dekretem metropolity warszawskiego i całej Polski Bazylego.

W 1995 r. studium zostało wpisane do ewidencji szkół niepublicznych przez Kuratorium Oświaty w Białymstoku, a w 1996 r. trafiło na listę niepublicznych szkół artystycznych ministra kultury i sztuki. Organem prowadzącym szkołę jest parafia św. Michała w Bielsku Podlaskim. Nauka trwa cztery lata, przyjmowane są osoby po maturze. Zajęcia mają charakter teoretyczny i praktyczny, a osoba po skończeniu szkoły otrzymuje dyplom technika plastyka o specjalności ikonograf.

– Mamy 57 absolwentów, część założyła już własną działalność – mówi ojciec dyrektor. – Zdarzały się lata, że w szkole było nawet 40 uczniów, w tym roku mamy ośmioro. Dzisiaj mało młodzieży interesuje się życiem duchowym. Wiele osób rezygnuje, bo to zajęcie wymaga cierpliwości, skupienia, pokory, ciszy. Pisanie ikony to przeżycie religijne. Choć obowiązuje jeden wzór, ikona nigdy nie jest tylko kopią. Odbija się w niej osobowość i ręka piszącego. Ikonograf modli się do Boga, by prowadził jego rękę.

Wąskie usta, nieruchome oczy

W pracowni spotykam Rafała i Pawła. Paweł ma 19 lat, w studium jest zaledwie od kilku miesięcy. 25-letni Rafał jest jego nauczycielem, ikony pisze od siedmiu lat. Przyjechał do Bielska spod Lublina. – Przełomem w moim życiu była lekcja plastyki jeszcze w gimnazjum, na której nauczycielka pokazała nam ikonę przywiezioną z Rosji – wspomina. – Zrobiła na mnie takie wrażenie, że już wtedy zdecydowałem, czym chcę się w życiu zajmować.

Rafał od wielu dni pracuje nad ikoną Chrystusa w Mocy, dziś cieniutkim pędzelkiem nakłada rzadką farbę z ochrą na twarz Jezusa.

Dla symboliki ikony ogromne znaczenie ma kolor. – Ikona to Ewangelia

eprasa.pl e62bed3f48

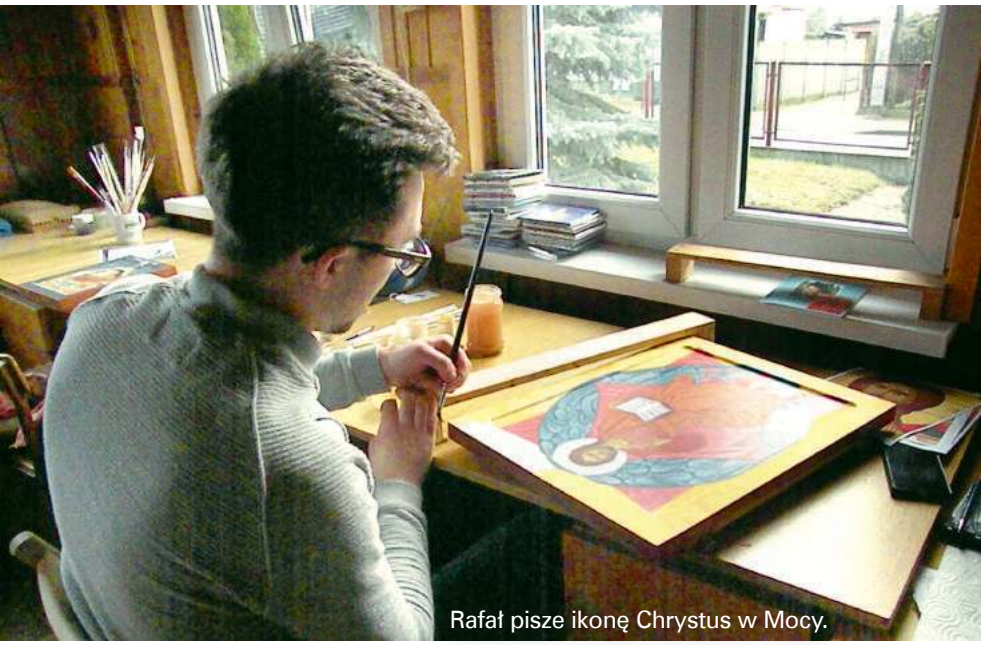
Rafał pisze ikonę Chrystus w Mocy.

w kolorach – podkreśla Rafał. – Mój Chrystus w Mocy ma czerwoną szatę. Czerwień symbolizuje jego człowieczeństwo i męczeństwo, błękit wokół postaci oznacza boską nieskończoność. W błękitach i czerwieniach przedstawiana jest też Matka Boża, jej szaty często są niebieskie, tylko spod spodu gdzieś wygląda czerwień, nawiązując do jej człowieczeństwa. Brąz tak jak czerwień symbolizuje wszystko, co ziemskie, a zieleń to kolor Ducha Świętego. W przedstawieniach ikonowych ucieka się od wszelkiej zmysłowości, usta są wąskie, powiększone oczy patrzą nieruchomo.

Rafał pokazuje mi na ikonie kowczeg, zagłębienie znajdujące się kilka centymetrów od brzegów deski, symbolizujące Arkę Przymierza. – Sylwetka Chrystusa, którą napisałem, przekracza jego linię, jakby wychodzi z obrazu ku nam. Tak jest na każdej ikonie, dlatego mówi się, że ikona jest oknem, które otwiera się na nas, wprowadzając nas w świat ducha – tłumaczy.

Wewnętrzne światło

„W ikonie występuje odwrócona perspektywa. Ma ona swój punkt wyjścia w sercu tego, kto ją kontempluje", czytam w książce „Prawosławie w Polsce" pod redakcją Anny Radziukiewicz, a w wywiadzie „Kontemplując Trójcę Rublowa" na Cerkiew.pl znajduję rozwinięcie tej myśli: „Ikona św. Trójcy Rublowa włącza do siebie tego, kto ją kontempluje. Na tej ikonie przy okazji najłatwiej zademonstrować znaną ikonograficzną zasadę odwróconej perspektywy. Jeśli przedłużyć linie podnóża stołu, to one zbiegają się tam, gdzie stoi człowiek. A wewnątrz samej ikony te linie rozchodzą się, otwierając przed nami wieczność".

Rafał odwróconą perspektywę pokazuje mi na przykładzie ikony Chrystusa w Mocy. Podnóżek pod jego stopami powinien się zwężać do głębi obrazu, a jest odwrotnie. Zakłócone są też proporcje, np. mała głowa w stosunku do całej sylwetki.

– Na ikonach często pojawia się to, czego normalnie nie widać – zwraca uwagę. – Na przykład fasada budowli i dwie boczne ściany czy księga z trzema obrzeżami. Poza tym krawędzie, płaszczyzny podkreśla się mocnymi kolorami, np. cynobrem, a według zasad klasycznej perspektywy te powinny być ukryte. I jest to wyraz nie naiwności sztuki, lecz doskonałego przemyślenia, żeby przedstawić świat jak najbardziej odrealniony. W ikonie nie ma też czasoprzestrzeni, chronologia nie istnieje, gdyż opisuje ona ponadczasową, boską rzeczywistość – na dowód Rafał stawia przede mną ikonę Bożego Narodzenia, na której zostały przedstawione dwie sceny: narodziny Chrystusa i kąpiel kilkuletniego Jezusa.

„Ikony, które pod względem artystycznym wywołują największe wrażenie, zawsze mają jakąś perspektywiczną skazę. Naruszenie zasad perspektywy linearnej jest pozytywną stroną tego malarstwa, jego siłą", pisze Paweł Floreński w książce „Ikonostas i inne szkice", dodając, że „ikonę pisze się w świetle, gdyż cień jest odpowiednikiem niebytu – ciemność to brak Boga". „W świecie ikon nigdy nie zachodzi słońce, dzień nie ma zmroku i niepodzielnie panuje jasne południe Wcielenia, bez cieni i ciemności (…). Źródło światła jest nieobecne, gdyż światło jest wewnątrz ikony", podkreśla Paul Evdokimov w „Prawosławiu w Polsce".

„Ikona wyłania się od mroku – kolorów ciemniejszych – do jasności – kolorów najjaśniejszych", pisze Anna Wyparło w artykule „Rozważania wokół teologii ikony".

– Najpierw części osobowe na ikonie pokrywa się podkładem, zielonkawym sankirem, który jest ciemny – tłumaczy Rafał. – Potem nakłada się kilka coraz jaśniejszych warstw rzadkiej farby w kolorze ciała wymieszanej z ochrą. Światło wyciąga się też przez nakładanie trzech warstw farby z bielą. Każda następna warstwa musi być jaśniejsza i węższa od poprzedniej, robi się też tzw. bliki – cieniutkie białe przecinki np. na czole, dłoniach. Ostatecznego blasku dodają złocenia, złote tło, nimby. Pisanie od ciemnego do jasnego ma wymiar symboliczny, przedstawiane wyobrażenie przechodzi jakby z ziemskiej ciemności w boską światłość.

Paweł, który jeszcze prawdziwej ikony nie pisze, a dopiero się wprawia, ćwicząc na małych deseczkach rysunek architektury, szat, rąk, też boryka się ze światłem. Dziś pracuje nad twarzą świętego, która wyszła mu trochę za ciemna. Choć poprawiał wiele razy, Rafał nie jest zadowolony. – Będziesz to drapał – poleca – dodaj bieli do sankiru i rozjaśnienia nakładaj na środku, one się źle rozkładają, musisz się napatrzeć.

Żółtko na lipowej desce

Ikona powstaje w trzech etapach. Pierwszy to gruntowanie deski, czyli przekształcanie jej w lico. Drugi to pisanie, trzeci – złocenie i nadanie jej imienia. Ikonę zabezpiecza się, czyli werniksuje, olejem lnianym z dodatkiem octanu kobaltu.

– Deski zawsze przygotowujemy sobie na zapas, żeby potem nie odry-

eprasa.pl e62bed3f48

wać się od pisania – wyjaśnia Paweł. – Pokrywamy je klejem ze skóry królika, podgrzewanym w kąpieli wodnej. Potem za pomocą tego samego kleju, który kupujemy w granulacie, przyklejamy gazę i znów pokrywamy klejem, a następnie bielidłem, czyli mieszaniną kredy i kleju. Na koniec nakładamy lewaks sporządzany z bielidła i gorącej wody z olifą, czyli gotowanego oleju lnianego z domieszką kredy. Lewaks nanosimy kilka razy, po każdym naniesieniu deska musi przeschnąć. Potem jeszcze kilkakrotnie szlifuje się lico.

Pisanie ikony rozpoczyna nanoszenie kopii wyobrażenia zatwierdzonego przez tradycję kościelną. Nazywa się to znamionowaniem deski. – Rysunek przenosimy z kartki, której lewą stronę pokrywamy pigmentem, np. ochrą z dodatkiem czerwieni – tłumaczy Rafał. – Przykładamy do deski i jeździmy po nim ołówkiem, odbija się jak przez kalkę. Trzeba być bardzo uważnym, gdyż każde odchylenie np. w grubości linii może nadać inną strukturę duchową. Czy rysunek jest równy, sprawdzamy za pomocą luster. Ikonę pisze się od elementów najprostszych (przyroda, architektura) do najtrudniejszych, jaką jest twarz, a zwłaszcza oczy. W naszych ikonach wszystko jest naturalne, poczynając od lipowej deski, a na farbach kończąc. Stosujemy technikę tempery jajecznej używaną w średniowieczu. Farby temperowe kupujemy w postaci sproszkowanych pigmentów, pigment łączymy z żółtkiem jajka.

Rafał sztuki złocenia ikony uczył się półtora roku. Do złocenia Chrystusa w Mocy zabierze się dopiero za kilka dni. Na razie susłem poprawia linie szat. Susło też jest naturalne, to po prostu wygotowany z piwa karmel.

Gdy ikona jest już gotowa, ikonografów z bielskiego studium czeka mały egzamin w gabinecie ojca dyrektora. – Ojciec w skupieniu przygląda się naszej ikonie i nagle mówi: „Nie tak patrzy, niemiłosierny wzrok ma, masz tak zrobić, żeby był miłosierny”. I trzeba drapać – opowiada Rafał. – Dlatego tak ważna jest u piszącego kondycja serca, kondycja ducha. Jak masz gniew w sobie czy pychę, lepiej nie zabieraj się do pisania, zwłaszcza twarzy, bo przeniesiesz swoje emocje i twarz będzie miała gwałtowny lub wyniosły wyraz. To zajęcie uczy pokory, talent to nie wszystko. Ojciec zawsze powtarza, że aby być dobrym ikonografem, trzeba zabić w sobie artystę.

Gdy ikona zostanie zaakceptowana, można jej nadać imię, które umieszcza się w górnej jej części po obu stronach głowy. Napisanie imienia nadaje jej wymiar sakralny.

Łoś i niedźwiedź na Sądzie Ostatecznym

Rafał i Paweł pokazują mi obrazy znalezione na stronie internetowej jasielskapracowniaikon.pl. Mają one układ ikony. W centrum jednego z nich Chrystus w zielonej szacie z głową bobra, na innym obrazie Matka Boża z lisicą niczym „Dama z łasiczką”, z kolei na przedstawieniach Sądu Ostatecznego centralne miejsce, gdzie zwykle jest Chrystus, zajmuje postać z głową łosia i niedźwiedzia. Są jeszcze „Matka Boża i Wyklęty Dzik”, „Matka Boża Ptasznikowa” z ptakiem, „Matka Boska i Bażanty”. Strona ma logo nawiązujące do prawosławnego krzyża. Twórczyni tych prac pisze, że są to ikony z serii *Forest Path Art*, „która jest jej osobistą formą ekspresji, próbą budowania ciągłości między światem ludzi a światem zwierząt, (…) to mój prywatny aktywizm, który żywię nadzieję przyczyni się do powstrzymania zagłady zwierząt”.

Jedna z ikon wykonanych w studium w Bielsku Podlaskim.

Malarka proponuje poza tym ikony intencyjne: „Za pomocą pędzla niczym za pomocą magicznej różdżki mogę wyrazić czyjeś potrzeby, fantazje, aspiracje i tęsknoty, które w przyszłości się zmaterializują. Nigdy nie namaluję ikony w złej intencji. Interesuje mnie tylko jasna strona mocy!”.

Na stronie można też zobaczyć ikony, które autorka nazywa klasycznymi. „Staram się – wyjaśnia – aby ikony klasyczne były najwierniejszą kopią pierwowzoru. Bywa, że dodaję w nich coś od siebie lub na wyraźne życzenie klienta, zmieniam kolor, bądź rezygnuję z pewnych elementów obecnych w oryginale (...). Z racji prowegańskiego stylu życia odeszłam od stosowania techniki tempery jajecznej. Używam farb akrylowych i olejnych”. Dodaje, że jej ikony zdobią wnętrza domów na całym świecie od Europy po Australię.

– Napisałem do tej pani – mówi Rafał – ale odpowiedziała mi tak, że mi w pięty poszło. Przedstawianie Chrystusa z głową zwierzęcia i nazywanie tego przedstawienia ikoną to przekroczenie pewnych granic, których przekraczać się nie powinno. Ikoną zgodnie z tradycją może być tylko obraz, który przedstawia ludzkie oblicze, twarz przeobrażoną boskim światłem, nawet Duch Święty w postaci gołębicy ikoną być nie może, nie mówiąc już o dodawaniu elementów według własnego widzimisię lub na „wyraźne życzenie klienta”. W kraju ikony piszą różni ludzie, nie mamy nic przeciwko temu; jeśli mają taką potrzebę, niech to robią, ale elementarny szacunek dla kanonu powinien zostać zachowany.

84-letni ks. Leoncjusz Tofiluk, który uczył się pisania ikon przed laty u ojca Zenona w Pskowie, komentować sprawy nie chce, brakuje mu słów.

Przed wyjazdem zaglądam jeszcze do cerkwi przy studium. Na ikonostasie po prawej stronie ikona Andrzeja Rublowa. Mnich znalazł się również w gronie pięciu ikonografów widocznych na malowidłach ściennych wykonanych przez absolwentów, przykuwają one uwagę niezwykłością przedstawień i soczystością kolorów, zwłaszcza czerwieni. Cynobrowe piekło na długo zostaje mi w głowie.

Helena Leman

FOT. HELENA LEMAN

eprasa.pl e62bed3f48

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Zabecz, Zenek, hajs na stole

Mam kłopot z pisaniem napastliwie o Zenku Martyniuku (to osoba wydająca z siebie dźwięki muzykonaśladowcze przy wykorzystaniu zestawu słów udających tekst), ale równocześnie nie mogę znieść tej swojej bezradności i wstrzemięźliwości. Zastanawiam się, czy można, nie korzystając z retoryki wyższościowej, skrytykować coś, czego słuchają, przy czym się bawią, zakochują, odpoczywają, zatracają miliony Polaków i Polek. Ba, nucą pod nosem, znają na pamięć. Jeśli uznać, że to, co wydaje z siebie Zenek Martyniuk, jest muzyką (do czego nie jestem stuprocentowo przekonany), muzyką taneczną, rozrywkową, ludową, zwykłą, akceptowaną przez miliony odbiorców, to chyba jednak można spróbować. Mam wrażenie, że dziesiątki tysięcy ludzi, którzy lata spędzili na edukacji muzycznej, ucząc, ucząc siebie, grając, tworząc, występując, zostały zagnane do jakiegoś wyciszonego pomieszczenia, skąd ich głosu nie słychać. Zostały uciszone fenomenem wielkich liczb stojących za zjawiskiem akceptacji i popularności disco polo.

Chciałbym tu się zająć nie samym Zenkiem Martyniukiem (chyba że pojawiające się dość przekonujące analizy, że spora część tego, co sobie przypisuje i na czym zarabia potężne pieniądze, jest splagiatowaniem podobnych twórców zza wschodniej granicy: Litwy i Rosji) ani nie jego słuchaczami, wielbicielkami, milionami roztańczonych Polaków. Interesująca jest w tej sytuacji rola państwa – w tym wypadku instytucji całkowicie bezpodstawnie nazywanej telewizją publiczną, która ten rodzaj aktywności promuje, propaguje, nagłaśnia i dofinansowuje. Należy na ten akt patrzeć z perspektywy politycznej. To stosowanie przez obecną władzę przemocy symbolicznej wobec grup określanych mianem elit, które należy Martyniukiem (niech mu *harmonia mundi* lekką będzie) zmasakrować, którym należy przyłożyć tym, „co miliony Polaków" cenią i z czym się identyfikują, przy czym się bawią. Problem w tym, że discopolową deską wyrwaną z przysłowiowego płota (z całym umiłowaniem dla wiejskich płotków) nasze państwo wali się samo we własny łeb. Aż głupio przypominać, że elementem cywilizacyjnego rozwoju jest system państwowej, publicznej edukacji muzycznej realizowanej kilkustopniowym systemem kształcenia, aż do poziomu akademickiego. Umiejętność uprawiania muzyki można było wyrwać z zaklętego kręgu klas uprzywilejowanych. Każde dziecko mające chęć i inklinacje mogło i może się kształcić muzycznie. Jednak tak skrajnie afirmatywne podejście polskiego państwa do Martyniuka pokazuje, że jest to założenie błędne. To tak, jakby powiedzieć, że pokażemy chirurgom, jak fałszywie się wywyższają, operując skalpelem, kiedy wystarczy zauważyć rzesze krojących chleb (w końcu to nóż i to nóż) – miliony ludzi nie muszą przez kilkanaście lat się uczyć, jak kroić nożem chleb.

Właściwie racjonalną konsekwencją martyniukomanii powinna być likwidacja szkół i edukacji muzycznej w całym kraju. Jeśli wzorcem uprawiania czegoś na kształt muzyki są Zenek, Sławomir i pozostali, to znaczy, że edukacja nie ma żadnego sensu. Jedynym argumentem za propagowaniem disco polo jest jego policzalna popularność. Po co więc propagować coś, co i tak cieszy się masowym wsparciem czy uwielbieniem? Po to, żeby władza mogła udawać, że rozumie miliony, że wspiera, że oczekuje tylko wdzięczności przy urnie. Że jest swojska. Że podrygami prezesa Kurskiego uda, że jest taka jak lud. Równocześnie, co nawet bardziej istotne, utrze nosa, maltretując ucho, tym „elytom".

Śpiew, muzyka może być potęgą, śpiew jest ważny i społecznie, i rozwojowo, co dziś wiemy już nieporównanie lepiej niż kiedykolwiek wcześniej, badając ludzki mózg, w szczególności mózg dziecięcy w fazie rozwoju.

Tym samym państwo, serwując ten rodzaj pseudoludowej muzyki, dokonuje powszechnej lobotomii. Aplikuje wstrząsy elektromagnetyczne. Pozbawia nas dostępu do niedostępnych przez stulecia form rozwoju i edukacji. Tak jest prościej. Ma być prosto, bo tak chce demokracja, ta rozumiana jako niepoddana żadnym ograniczeniom bezwzględna dominacja większości. Operacja disco polo jest operacją wojenną, sprzeciw wobec niej nie jest obroną klasowych, kulturowych przywilejów, to samoobrona naszych mózgów. To głos w obronie tego, co wartościowe w twórczości ludowej, co może być żywe i atrakcyjne, a jest wycinane w pień „oczami zielonymi" Zenka Martyniuka. Chopina czasów „dobrej zmiany".

eprasa.pl e62bed3f48

Jakub Dymek

Głupia polaryzacja

W polityce różnimy się w sposób coraz głupszy i bardziej szkodliwy społecznie

Jeżeli jesteście państwo po świętach, to najpewniej także po rodzinnych i towarzyskich końcoworocznych spotkaniach. Jeśli przy tej okazji od pewnego czasu zauważacie, że polityka – a konkretnie partyjne sympatie – coraz częściej są w stanie poróżnić nawet najbliższych, jest to niestety słuszna intuicja.

Stwierdzenie, że polityka dzieli, to oczywiście truizm, ale w czasach szczególnie toksycznej polityki i wyjątkowo ordynarnej propagandy te podziały nabierają nowej jakości. Coraz częściej nie chodzi w nich już o nic poza tym, że sympatycy partii, jak stadionowi bandyci i fanatycy drużyn sportowych albo religijni sekciarze i ekstremiści, po prostu nie mogą znieść faktu, że ktoś ma inne poglądy.

To zagadnienie i problem bezmyślnej partyjnej wojny, w której już dawno nie chodzi o konflikt etosów, idei, a nawet interesów, doczekały się niedawno całkiem ciekawej analizy. I nazwy: głupia polaryzacja. Bo różnica poglądów i stanowisk, nawet spolaryzowana, czyli biegunowa, to jeszcze nic złego – problem, i to dotkliwy, zaczyna się wtedy, kiedy różnice istnieją, dzielą i prowadzą do wojny, ale niczego konkretnego już nie dotyczą. Tylko tego, że „my lubimy tych, a wy tamtych". Gdy plemienność bierze górę.

Obywatele RP zorganizowali przed MSWiA manifestację solidarnościową z Elżbietą Podleśną oskarżoną o rozklejenie w Płocku wizerunku Maryi i Dzieciątka z aureolami w kolorach tęczy. Warszawa, 8 maja 2019 r.

Ludzie nie tyle bardziej kochają własne partie, ile silniej nienawidzą partii przeciwnych i wszystkiego, co z nimi związane.

Ten fenomen wcale nie jest nieuchwytny – da się go zmierzyć, pokazać w wynikach badań i wyborów i dobrze opisać. A wszystko wskazuje, że wręcz trzeba, bo z biegiem czasu tylko będzie narastał.

Podział dla podziału

W świeżym eseju dla magazynu „National Affairs" Jonathan Rauch przekonuje, że polaryzację należy przemyśleć na nowo – nawet jeśli może się wydawać, że problem został przedyskutowany i opisany w ostatnich latach do znudzenia. Co więcej, jak zauważa sam Rauch, zjawisko upartyjnienia społeczeństwa – zblokowania się partii i zamykania debaty publicznej w dwóch zwalczających się obozach – amerykańscy politolodzy opisują od połowy lat 70. Co nowego można o nim powiedzieć dzisiaj?

Trzeba zacząć od zjawiska, które pokazują zarówno wyniki badań, jak i pobieżna nawet obserwacja – od skurczenia się politycznego centrum. Pew Research Center, jeden z najbardziej uznanych amerykańskich ośrodków badawczych, od wielu lat pyta Amerykanki i Amerykanów o to, czy mają pogląd spójny ze stanowiskiem jednej partii, czy raczej zgadzają się i z częścią stanowisk republikanów, i z częścią stanowisk demokratów. Takich rozsądnych, umiarkowanych bądź centrowych wyborców Pew Research Center przez dziesięciolecia notował bardzo wielu – jeszcze w 1994 i 2004 r. mniej więcej połowa społeczeństwa nie miała jednoznacznie partyjnych poglądów. Ostatnio zaś – te informacje przynosi badanie z 2017 r. – wyborców, którzy nie zgadzają się z tą czy inną linią partii, jest według badań już tylko 32%.

Według Raucha w rzeczywistości może być jeszcze gorzej. Bo jego zdaniem w i tak malejącym odsetku tych, którzy dawniej stanowili niepartyjny, umiarkowany elektorat, dziś zawiera się także liczna grupa osób wcale nie umiarkowanych, lecz – przeciwnie – radykałów, którzy nie mieszczą się w żadnej partii właśnie dlatego, że w różnych sprawach mają poglądy ostrzejsze niż którekolwiek ugrupowanie. Wykres pokazuje to zresztą wprost, krzywa poglądów z biegiem lat coraz bardziej spłaszcza się w środku, w górę idą skrajności.

A jednak, jak zauważa Rauch, społeczeństwo widziane przez soczewkę socjologa aż tak bardzo nie zmieniło poglądów. Przekonania czarnoskórych obywateli nie są dalej od przekonań białych obywateli, niż były 25 lat temu; głęboko wierzący i ateiści deklarują mniej więcej to samo co wówczas; kobiety i mężczyźni różnią się w wyborach, ale wcale nie znacznie ostrzej niż kiedyś. W jednej tylko kategorii polaryzacja pogłębia się dramatycznie – po linii partyjnej. Ludzie deklarujący się jako wyborcy jednej partii coraz bardziej nie zgadzają się z ludźmi deklarującymi się jako wyborcy przeciwnej. I ich

eprasa.pl e62bed3f48

poglądy są wobec tego podziału… bez znaczenia. Mamy do czynienia z podziałem dla podziału. Obserwujemy – i to termin rzeczywiście prowokujący i ciekawy – bezsensowną, niespójną, głupią polaryzację. Różnimy się nawet nie tyle bardziej – ile bardziej niemądrze.

Byle dalej od sąsiada

Ludzie, jak wynika z obserwacji Raucha i cytowanych przez niego badań, nie tyle bardziej kochają własne partie, ile silniej nienawidzą partii przeciwnych i wszystkiego, co z nimi związane. Dotychczasowi wyborcy partii A nie uwierzyli mocniej w jej obietnice i ideały, ale zapałali jeszcze większym wstrętem do partii B. Wzrosły wskaźniki niechęci, deklarowany poziom lęku przed wyborcami przeciwnej partii, skłonność do przypisywania adwersarzom najgorszych intencji. Niezależnie od faktów w badaniach respondenci uważają swoich przeciwników za bardziej radykalnych i odmiennych. Im gorsza wydaje się druga strona, tym bardziej skłonni jesteśmy usprawiedliwiać i znosić naszych – podziały i wzajemna niechęć w społeczeństwie rosną, nawet jeśli postawy polityczne (a to i tak optymistyczne założenie) pozostają niezmienne.

„Gorączkowe reakcje na prezydenta Obamę ocierają się o absurd, ale posłużyły do tego, by na zasadzie kontrastu lepszy wydawał się każdy przywódca partii republikańskiej – pisze Rauch – a z kolei jeśli Donald Trump jest diabłem wcielonym, to lepiej poprzeć dowolnego demokratycznego przeciętniaka, jakiego tam mają". Tak, w skrócie rzecz ujmując, autor tekstu w „National Affairs" pokazuje logikę i skutki głupiej polaryzacji.

Jasne jest chyba, że tak zdefiniowana głupia polaryzacja nie stanowi problemu wyłącznie amerykańskiej sceny politycznej. Podatne na nią są wszystkie społeczeństwa i kraje, gdzie nie ma dobrze ugruntowanego systemu wielopartyjnego, a debata publiczna zwykła dzielić na pół. Wypisz wymaluj przykład Polski – i polski problem. Ostatnie dziesięć lat z okładem przyniosło aż nadmiar dowodów na to, jak mocno w nasz kraj uderzyło zjawisko, które Rauch diagnozuje w Ameryce.

Bo choć między polskim i amerykańskim systemem politycznym jest bardzo wiele różnic, to w kluczowej sprawie niepokojąco się do siebie zbliżają. Polska po 2005 r. przeszła rewolucję zmierzającą do dwupartyjności. Bo mimo że w Sejmie zawsze znajdują się przynajmniej cztery partie, a w wyborach startuje ich więcej, władzą wymieniają się dwa ugrupowania, a wszystko, co jest obok, dostosowuje się do ich świętej wojny. To warunki stworzone do podzielenia społeczeństwa wzdłuż linii partyjnego konfliktu. Doskonałe laboratorium głupiej polaryzacji.

Dla PO PiS, dla PiS PO – największe zło

Głupia polaryzacja objawia się tym, że osoby o dość stałych, a niekiedy nawet podobnych poglądach z czasem widzą siebie nawzajem jako coraz większych przeciwników ideologicznych. Na przykładzie wojny PO i PiS można to doskonale pokazać. Wszak te partie miały iść do władzy w 2005 r. jako przyszli koalicjanci. Obydwie widziały swoje prawicowe rodowody i ideologie jako nie konkurencyjne, ale komplementarne – Kaczyńscy i Tusk mieli się uzupełniać, a nie zwalczać. Poglądy na lustrację, stosunek do III RP, wizja polityki zagranicznej oraz integracji europejskiej, program gospodarczy – wszystko to było raczej zbieżne. Dopiero gdy się okazało, że partie nie będą rządzić wspólnie, wyciągnięto na wierzch rzekomo niemożliwe do zatarcia różnice, a do ich eksponowania zaangażowano cały dostępny aparat medialny i propagandowy.

Efekty znamy i widzimy gołym okiem: zwolennicy dwóch obozów rzeczywiście postrzegają teraz siebie nawzajem jako najgorszych wrogów, nie znajdują punktów wspólnych i mają o drugiej stronie jak najgorsze zdanie. Dziś obie te partie rzeczywiście są mocno podzielone także w kwestiach programowych – ale to przyszło później. Podział polityczny (co pokazał na przykładzie Ameryki Rauch) okazuje się wtórny wobec podziału emocjonalnego. Inaczej mówiąc, głupia polaryzacja prowadzi do tego, że ludzie widzą radykalne różnice nawet tam, gdzie ich nie ma. Można iść o zakład, że wielu wyborców i PO, i PiS byłoby w szoku na wieść o licznych wspólnych głosowaniach obu partii. Nawet w ostatniej kadencji, gdy jedni drugich wyzywali od najgorszych i uznawali za fundamentalne zagrożenie dla suwerenności i niepodległości Polski.

By taka sytuacja była możliwa, potrzebne jest coś, co socjolodzy nazywają negatywną identyfikacją czy tożsamością – przekonanie, że „przynajmniej nie jestem taki jak oni". To oznacza, że dumę, poczucie przynależności czy świadomość swojego miejsca w świecie czerpiemy z faktu, że nie jesteśmy tacy jak ktoś, kogo nie lubimy. Kto ty jesteś – nieważne. Ważne, kim nie jesteś! Gdy ten mechanizm psychologiczny zaczyna rządzić światem polityki, coraz mniej osób opowiada się za czymś, coraz więcej wyłącznie przeciwko czemuś. Do tego przestają być potrzebne spójne programy.

Kaczyńscy i Tusk mieli się uzupełniać, a nie zwalczać.

Rauch pokazuje, że wyborcy Trumpa głosowali na niego, choć miał poglądy i opinie sprzeczne z tymi, które deklarują sympatycy republikanów – ci sami, którzy go wybrali. Ludzie głosowali pomimo własnych poglądów lub wręcz przeciw nim, byleby nie dopuścić do wygranej „tamtych". Niechęć do przeciwnika pozwala wytłumaczyć własną niekonsekwencję i niespójność poglądów. Coś podobnego zachodzi w Polsce. To zjawisko pozwala przecież lepiej zrozumieć, dlaczego wyborcy PO głosują na tę partię i pozostają jej wierni mimo

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/FORUM

eprasa.pl e62bed3f48

kalejdoskopu poglądów i stanowisk: jesteśmy za 500+, a potem przeciw, za złagodzeniem prawa aborcyjnego i za jego zaostrzeniem, za związkami partnerskimi i przeciw nim itd. Analogicznie wyborcy PiS pozostają przy partii Kaczyńskiego, gdy chowa ona lidera na czas wyborów i prezentuje swoją umiarkowaną twarz, ale są też przy niej, gdy z powrotem pierwsze skrzypce grają Macierewicz z Ziobrą. Ten rodzaj lojalności czy uporu czasami wymyka się racjonalnym ocenom właśnie dlatego, że jego fundamentem są emocje i lęki, a nie logiczna ocena programów i wyborczych zobowiązań.

Wielu wyborców i PO, i PiS byłoby w szoku na wieść o licznych wspólnych głosowaniach obu partii.

Chociaż więc analitycy i komentatorzy próbują pouczać polityków, że jest inaczej, anty-PiS wciąż jest programem największej partii opozycyjnej i – lepiej lub gorzej – działa. Dlatego też próżno szukać spójnego programu i tożsamości ideologicznej PiS – bo wystarczy radykalne odrzucenie wszystkiego, co reprezentowały III RP i nadwiślański liberalizm. Taki rodzaj polaryzacji prowadzi również do tego, że musimy wybaczać sobie i swoim reprezentantom coraz więcej niekonsekwencji i kluczenia – dzięki tej specyficznej tolerancji w polityce jest więcej tlenu dla szarlatanów i krętaczy. Byleby stanowili czytelny punkt odniesienia i byli przeciwnikami tych, których nie lubimy.

Znane ziarno niezgody

Oczywiście sami politycy nie byliby zdolni do wywołania tak daleko idącej społecznej zmiany. Na pogłębiający się w Polsce podział wielki wpływ miały dobrowolne zaangażowanie się mediów i dziennikarzy w wojnę tożsamościową i ich olbrzymia inwestycja w obrzydzenie jednej strony drugiej. Podobną rolę odegrały Facebook i inne platformy społecznościowe. Pole do wyrażania różnic i wzniecania agresji, często pod zupełnie fałszywym pretekstem, zwiększyło się tysiąckrotnie. Dziedzictwo dwubiegunowego podziału – przechowane po 1989 r. – również zostało umiejętnie spożytkowane w kampanii pogłębiania podziałów i dołożyło się do późniejszych wydarzeń. Gotowy był już rezerwuar wyobrażeń o „zdrajcach", „zaprzańcach", „wrogach ojczyzny" itd. Słabość systemu politycznego i konstrukcja polskiego parlamentaryzmu (z mało znaczącą rolą opozycji i symboliczną głową państwa) przyczyniły się do tego, że głupia polaryzacja odgrywa dziś tak wielką rolę.

Bo o to, że jest ona w Polsce faktem, trudno się sprzeczać. Tezy Raucha, że wyborcy idą za swoim plemieniem, a nie za swoim poglądem, że niechęć do przeciwnika jest silniejsza niż przekonanie o słuszności własnych racji i że partyjny konflikt zastępuje faktyczny spór ideowy, znajdują potwierdzenie na naszym gruncie.

Jak temu zaradzić, to osobny i obszerny temat. Nie ma jednak żadnych złudzeń co do przyczyny – olbrzymią większość opisanych negatywnych zjawisk i mechanizmów zapoczątkował fałszywy, pseudodwupartyjny system, który zawładnął Polską po 2005 r. I choć nikt jeszcze nie wynalazł genialnego sposobu na zaradzenie podziałom w XXI w., my przynajmniej, przy wszystkich naszych problemach, wiedzielibyśmy, od czego zacząć.

Jakub Dymek

TEZY DO POLITYKI HISTORYCZNEJ POLSKO-ROSYJSKIEJ

1. Związek Radziecki miał decydujący udział w pokonaniu Niemiec hitlerowskich i to jego armia rozerwała druty obozów śmierci, ale odniósł także to zwycięstwo jako państwo, które wtedy nie rozliczyło się jeszcze ze swoich nieprawości w stosunku do własnych obywateli i do Polaków. Choć miało to i ma wpływ na wzajemne relacje, późniejsze akty ekspiacji ze strony Rosji nie powinny pójść w zapomnienie.

2. Przed wojną we wszystkich niemal państwach niefaszystowskich i demokratycznych, we Francji, w Anglii, w państwach bałkańskich, skandynawskich i nadbałtyckich, także w Polsce, istniały ugrupowania i osoby, które pod jakimiś względami sympatyzowały z działaniami Hitlera. W pokonanych państwach powstawały rządy kolaboracyjne, jednak w Polsce – mimo prób – to się nie udało. Postawa większości była jednoznacznie niepodległościowa, co nie znaczy, że jakaś część polskiego społeczeństwa nie współdziałała w ten czy inny sposób z Niemcami lub nie tworzyła takich pozorów w imię innych celów. Jeśli takie przypadki się przemilcza albo nawet heroizuje, daje się innym powód do ich przypomnienia. W Związku Radzieckim po pakcie Ribbentrop-Mołotow z sierpnia 1939 r. (z zaprojektowanym podziałem ziem Rzeczypospolitej) z dnia na dzień zakazano krytyki Niemiec hitlerowskich, a na jego okupowanych potem terytoriach, nie tylko na Ukrainie, chętnych do współdziałania z Niemcami nie zabrakło. Polskich oficerów rozstrzelali Sowieci w Katyniu, profesorów – Niemcy we Lwowie.

3. Rola Związku Sowieckiego w powstaniu powojennego państwa polskiego nie oznacza, że było ono „pod okupacją sowiecką", w dodatku określaną jako „przedłużenie okupacji niemieckiej". Te dwa położenia są nieporównywalne. W budowę nowego państwa włączyło się zbyt wielu Polaków, w tym wybitnych i reprezentatywnych, aby nie uznać go za realne, także jako podmiot międzynarodowy. Uważali je w tamtych okolicznościach za państwo własne, choć zależne. Jego granice, z czasem uznane też przez zjednoczone Niemcy, są granicami aktualnymi. Dzięki buntom społecznym, ale również działaniom sił patriotycznych we władzy, to państwo zdołało wywalczyć suwerenność na wielu polach ważnych dla zachowania ciągłości dziejów narodowych. Mimo popełnionych w nim wówczas i rozliczonych potem nieprawości ta ciągłość istnieje też w pokojowym przejściu od PRL do Rzeczypospolitej Polskiej.

4. Nic nie zwalnia Polski i Polaków od myślenia o prawdziwej historii i o perspektywie pokojowych stosunków z Rosją i z Rosjanami.

Andrzej Lam

eprasa.pl e62bed3f48

Mateusz Mazzini

Łapiąc duchy Pinocheta

Po 40 latach od uchwalenia chilijska konstytucja, napisana jeszcze przez dyktatora, może przejść do historii

Gdyby rozpisać wśród chilijskiego społeczeństwa plebiscyt na symbol zmian politycznych w ostatnich dekadach, niemal na pewno zwyciężyłaby tęcza. Użyta w 1988 r. jako logo opozycyjnej kampanii za odrzuceniem władzy Augusta Pinocheta, na stałe zapisała się jako znak zwycięstwa ponad podziałami. Spin doktorzy i spece od marketingu politycznego skupieni wokół późniejszego pierwszego demokratycznego prezydenta kraju Patricia Aylwina użyli jej jako metafory ówczesnych sił antyrządowych. Przeciwko Pinochetowi razem stanęli socjaliści, chadecy, liberałowie i kilkanaście mniejszych ugrupowań. Wygrali, choć nie mieli wygodnej pozycji startowej. Nie dość, że musieli zmobilizować do rejestracji w komisjach (Pinochet spalił wcześniej wszystkie spisy wyborców) i oddania głosu społeczeństwo ogarnięte marazmem politycznym i sterroryzowane przez reżim, to jeszcze przekonywali je do hasła negatywnego. Opozycja bowiem zachęcała do głosowania na „nie", gdyż pytanie referendalne dotyczyło poparcia dla przedłużenia władzy Pinocheta na kolejne osiem lat.

Tamtejsza transformacja ustrojowa długo uchodziła za modelowe przejście do demokracji, zwłaszcza na tle niestabilności innych dawnych dyktatur Ameryki Południowej. Guillermo O'Donnell i Philippe C. Schmitter, bodaj najbardziej znani politolodzy zajmujący się tzw. tranzytologią, czyli nauką o zmianach ustrojów politycznych, chilijską drogę do demokracji wychwalali pod niebiosa jeszcze pod koniec lat 90. Doceniali nie tylko jej pokojowy charakter, brak rozlewu krwi i uznanie przez przegranego w plebiscycie Pinocheta wyników głosowania, ale też fakt, że niedawni przeciwnicy polityczni potrafili funkcjonować już w warunkach demokratycznej rywalizacji. Z niemal nienaruszoną strukturą ekonomiczną opartą na zasadach neoliberalizmu Chile miało wszystko, by stać się ideologicznym pupilem Zachodu i po latach wykluczenia na nowo wejść w międzynarodowy obieg polityki i gospodarki.

Jednak to przejście do wolności było podróżą w nową rzeczywistość tylko dla części społeczeństwa. Rodząca się demokracja dawała wiele szans na papierze, ale skorzystać z nich mogli nieliczni. Dawni opozycjoniści szybko rozpoczęli współpracę z byłymi zwolennikami generała, tworząc razem z bogatymi przedsiębiorcami nową klasę posiadającą, której siła wynikała z wpływów politycznych i zaplecza finansowego przejętego za bezcen w pierwszych dniach dyktatury. Choć Pinochet ani jego akolici oficjalnie nigdy nie wrócili do władzy po 1989 r., szybko się okazało, że nie musieli. W praktyce tej władzy, rozumianej jako moc sprawcza i realna decyzyjność, tak naprawdę nigdy nie stracili.

Protesty w największych miastach wymusiły na prezydencie Piñerze decyzję o rozpisaniu referendum konstytucyjnego.

Stało się tak również dlatego, że choć po upadku dyktatury w Chile wiele się zmieniło, nie zmienił się najważniejszy akt prawny – konstytucja. Trudno w to uwierzyć, ale przez trzy dekady demokracji obowiązywała tam, z drobnymi modyfikacjami, ustawa zasadnicza napisana jeszcze rękami dyktatury i przez nią ustanowiona w 1980 r. Z konstytucji usunięto oczywiście zapisy dotyczące reżimu, wprowadzono czteroletnią kadencję i demokratyczny mandat dla głowy państwa, ale poza aspektami ustrojowymi i symbolicznymi (takimi jak wpisanie gwarancji pluralizmu politycznego, przestrzegania praw człowieka i ograniczenia roli wojska do obrony kraju, bez możliwości sprawowania władzy wykonawczej) niewiele w jej treści się zmieniło. Pod względem określania relacji między obywatelem a państwem to nadal sztandarowy projekt prawicowej dyktatury, sankcjonujący istnienie nierówności w chilijskim społeczeństwie.

Wprawdzie ustawa zasadnicza była od 1980 r. modyfikowana aż 19-krotnie, jednak tylko raz – w 1989 r., przy okazji transformacji ustrojowej i wspomnianych symbolicznych zmian – działo się to za zgodą elektoratu, który na temat reformy wypowiedział się w referendum. Geneza obecnego dokumentu jest kompletnie niedemokratyczna. Napisało go zgromadzenie wybrane

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e62bed3f48

przez Pinocheta, w którym nie było żadnego reprezentanta ówczesnej opozycji. Przyjęcie konstytucji wymagało referendalnej większości – i tu też dopuszczono się gwałtu na procedurze wyborczej, bo wyniki plebiscytu z 1980 r. dyktatura musiała fałszować. Podsumowując zatem historię sporów o chilijską ustawę zasadniczą, widać, że choć społeczeństwo przeszło przez ostatnie 40 lat ogromną ewolucję polityczną i mogło w końcu wybierać przywódców, to w praktyce nie miało szans na uczestniczenie w budowaniu kraju na nowo po 17 latach rządów reżimu.

W tym roku może to się zmienić. Trwające od ponad dwóch miesięcy protesty na ulicach Santiago i innych największych miast wymusiły na prezydencie Piñerze decyzję o rozpisaniu referendum konstytucyjnego. Poprzedzić ma je nie tylko debata polityczna na temat reformy ustawy zasadniczej, będą też konsultacje społeczne związane z najbardziej kontrowersyjnymi tematami regulowanymi przez ten dokument. Tym razem liderzy społeczni nie chcą dopuścić do sytuacji, w której, tak jak trzy dekady temu, szefowie największych partii podzielą łupy, zostawiając obywateli bez gwarancji, że w chwili kryzysu państwo weźmie ich pod opiekę.

Pod rządami Pinocheta Chile było bowiem spełnioną utopią neoliberalizmu. W żadnym kraju na świecie pryncypia ekonomiczne Miltona Friedmana i jego podopiecznych z Uniwersytetu w Chicago oraz paru innych amerykańskich szkół nie zostały wprowadzone w życie na taką skalę i w tak zabójczym tempie. Po zamachu stanu z 11 września 1973 r. prywatyzowane było wszystko – od największych przedsiębiorstw przemysłu ciężkiego aż po usługi obejmujące zasięgiem ogromne części populacji: wodociągi, transport publiczny czy edukację. Co więcej, ponieważ przedsiębiorstwa te trzeba było jak najszybciej przejąć z rąk państwa i wyrzucić z nich związki zawodowe – w opinii Pinocheta przygotowujące komunistyczną rewolucję i planujące „drugą Kubę w Chile" – wiele z tych firm zostało przekazanych prywatnym właścicielom za bezcen. Przez 30 lat demokracji zrobiono tam wiele, by zidentyfikować sprawców prawicowego terroru i osądzić ich, natomiast w warstwie ekonomicznej sprawiedliwość czasu przejścia nigdy nie miała miejsca. Po części z braku instrumentów prawnych, ale też z powodu braku inicjatywy politycznej. Gdy w Chile zmieniał się ustrój, wokół przyszłości tego kraju pozostawało wiele znaków zapytania. W ramach transformacyjnego kompromisu Pinochet pozostał dowódcą sił zbrojnych, zasiadał później również w Senacie. Inni jego przyboczni albo pozostali w polityce, albo wycofali się do biznesu, pomnażając prywatne fortuny.

Nowa ustawa zasadnicza będzie zmuszała państwo do wzięcia odpowiedzialności za emerytury Chilijczyków.

Oba światy łączy rodzina Piñerów. Obecny prezydent, Sebastián, pełniący urząd już po raz drugi, prywatnie zgromadził majątek wart ponad 2,9 mld dol. Absolwent Uniwersytetu Harvarda dorobił się, a jakże, w czasach dyktatury. Najpierw wprowadzał na chilijski rynek pierwsze karty kredytowe, potem inwestował w prywatnych operatorów telefonicznych i krajowe linie lotnicze. I choć trudno w to uwierzyć, i tak pozostaje w historii chilijskiej polityki postacią mniej wpływową niż starszy brat. José Piñera, kształcony na tej samej uczelni, jest głównym architektem chilijskiego neoliberalizmu. Na początku lat 80. wszedł do rządu Pinocheta, przygotowując pionierski wówczas projekt reformy emerytalnej. Proponowane przez niego rozwiązanie było w założeniu banalnie proste i przejrzyste. Od teraz Chilijczycy mieli na emerytury oszczędzać sami, powierzając pieniądze prywatnym funduszom reinwestującym ich oszczędności. Państwo w tym modelu nie odgrywało żadnej roli. Było tylko gwarantem wypłaty kwoty równej wkładowi początkowemu, gdyby jeden z funduszy zbankrutował. W praktyce oznacza to, że Chilijczycy nie mają żadnej gwarancji, że ich emerytura będzie na tyle wysoka, by byli w stanie się utrzymać. Dlatego wielu przestało odkładać pieniądze w funduszach i zaczęło pracować na czarno. Dostawali więcej do ręki, a prywatnym instytucjom finansowym i tak nie ufali. Wszystko odbywało się bez udziału państwa, co dla starszego Piñery i Pinocheta było warunkiem najważniejszym.

Choć po 1989 r. zmienił się ustrój, nie zmieniły się zasady gry – w Chile nadal rządził rynek, a własność prywatna była wartością najwyższą. Spośród 19 zmian konstytucyjnych żadna nie dotyczyła gwarancji ochrony obywatela przez państwo po odejściu na emeryturę. Mało tego, wynalazek José Piñery zbierał pochlebne recenzje na całym świecie. Na chilijskiej reformie emerytalnej wzorowane były również zmiany w polskich emeryturach przeprowadzone przez rząd Jerzego Buzka w 1998 r. Mijały lata, a liczba Chilijczyków bez emerytury rosła lawinowo. Według szacunków tamtejszego Instytutu Praw Człowieka nawet 50-55% osób aktywnych na rynku pracy może nie mieć żadnych oszczędności emerytalnych. W ostatnich latach wprowadzono co prawda świadczenia minimalne wypłacane przez państwo, jednak ustalono je na tak niskim poziomie, że nazwanie ich głodowymi byłoby nadużyciem.

To właśnie nagromadzenie systemowych nierówności spowodowało, że ponad dwa miesiące temu Chilijczycy wyszli na ulicę. Rząd młodszego Piñery długo nie chciał ulec presji społecznej, wysyłając przeciwko demonstrantom wojsko i przygotowując nawet ustawę zezwalającą armii interweniować na ulicach miast poza okresami stanu wyjątkowego. Dziś jednak wydaje się, że bliżsi zwycięstwa są obywatele. Prezydenta, którego według grudniowego sondażu przeprowadzonego przez instytut Cadem pozytywnie ocenia tylko 11% wyborców, nie uratowała wymiana połowy ministrów – przez ulice Santiago nadal przetaczały się milionowe demonstracje. Wreszcie

Chilijczycy zdecydują nie tylko o tym, czy chcą nowej konstytucji, ale też kto miałby ją napisać.

eprasa.pl e62bed3f48

15 listopada Piñera ugiął się i zapowiedział referendum konstytucyjne. Data: 26 kwietnia 2020 r.

Pod wieloma względami głosowanie będzie wyjątkowe. Chilijczycy zdecydują nie tylko o tym, czy chcą nowej konstytucji, ale też kto miałby ją napisać. Do wyboru będą dwie opcje: zgromadzenie konstytucyjne, złożone z urzędujących polityków i ekspertów, albo zgromadzenie mieszane, w skład którego w połowie wejść mają parlamentarzyści, a w połowie obywatele. Byłby to pierwszy raz w historii kraju, kiedy zwykli ludzie na równi z przedstawicielami władzy podjęliby zero-jedynkową decyzję o akceptacji bądź odrzuceniu proponowanej konstytucji i mieliby bezpośredni wpływ na to, co się w niej znajdzie.

A propozycji nowych zapisów jest wiele. Na fali ubiegłorocznych protestów jest niemal pewne, że nowa ustawa zasadnicza będzie zmuszała państwo do wzięcia odpowiedzialności za emerytury Chilijczyków. W innym sondażu instytutu Cadem, przeprowadzonym zaraz po ogłoszeniu decyzji o rozpisaniu referendum, aż 94% respondentów wskazało właśnie kwestię emerytur jako tę, która najbardziej potrzebuje nowych regulacji na poziomie konstytucji. Obywatele chcą też większego udziału państwa w oświacie i edukacji wyższej. W Chile bowiem uczniowie i studenci kształcą się według zasad czysto wolnorynkowych. Wprawdzie szkoły podstawowe i średnie są, przynajmniej na papierze, prowadzone przez państwo, ale funkcjonuje mnóstwo ukrytych opłat za mundurki czy nadprogramowe godziny zajęć. W dodatku różnica poziomów między szkołami publicznymi a prywatnymi jest tak duża, że rodzice z ambicjami posłania dzieci na uniwersytet prawie zawsze wybierają te drugie.

Prawdziwe schody zaczynają się jednak dopiero na uczelni. Czesne jest tak wysokie, że większość rodzin zadłuża się, by posłać dzieci na studia. Z kolei same uczelnie działają praktycznie jak banki – oferują komercyjne kredyty na pokrycie czesnego, a im wyższy wynik na egzaminach wstępnych, tym lepsze oprocentowanie pożyczki. Jeśli kandydat chce studiować drugi kierunek – nie ma sprawy, zaoferujemy kredyt konsolidacyjny. Nowa konstytucja ma położyć temu kres, regulując praktyki uczelni na rynku finansowym.

Sebastián Piñera robi wszystko, by referendum przekuć w swój sukces. Przedstawia się jako zbawca narodu, który jako pierwszy polityk po 1989 r. wyszedł naprzeciw potrzebom obywateli i zamknął w szafie ostatniego ducha dyktatury, jakim była konstytucja z czasów Pinocheta. Jeśli jednak w kwietniu wyborcy zdecydują, że konstytucję chcą napisać sami, jego decyzja może się obrócić przeciw niemu – i całej klasie politycznej, której wymiany domaga się społeczeństwo. Gdyby tak się stało, można by powiedzieć, że chilijska transformacja ustrojowa skończy się dopiero teraz.

Mateusz Mazzini

W NATO MAMY TRZECH WICHRZYCIELI

W NATO mamy trzech wichrzycieli

Jerzy Maria Nowak jest bardzo doświadczonym dyplomatą. Mówi wiele trafnych rzeczy, ocenia wiele spraw trzeźwym umysłem i celnie je komentuje. Są jednak stwierdzenia, które dziwią i z którymi nie bardzo można się zgodzić.

Prezydent Macron wyraził opinię, że NATO jest w stanie „śmierci mózgowej". Jerzy Maria Nowak uważa jednak, że „pogłoski o śmierci NATO są przedwczesne". Wyraził się w sposób wygładzony, ale ominął istotę problemu NATO i z NATO.

NATO było organizacją konfrontacji politycznej i militarnej z supermocarstwem – ZSRR i Układem Warszawskim. Oba supermocarstwa, USA i ZSRR, oraz oba bloki wojskowo-polityczne czerpały rację istnienia z wzajemnej konfrontacji i klinczu. Gdy upadł ZSRR i rozsypał się Układ Warszawski, NATO straciło globalnego przeciwnika. Zniknęła równowaga napiętych sił, a ciosy wymierzane wrogowi przez NATO przestały w cokolwiek trafiać, bo nie było już przeciwnika, została nędzna resztka – Rosja Jelcyna zmierzająca do całkowitego bankructwa.

NATO straciło rację bytu. Pozostał napęczniały od broni, interesowności i próżności blok, który nie miał na kim wyładować agresji. Zaczął więc szukać możliwości wyładowania się na kimś innym, czego skutkiem była napaść na Jugosławię, Irak, Afganistan, a w ostatnich latach też agresja w Syrii. Dla jasności: nie we wszystkich operacjach uczestniczyły wszystkie kraje NATO. Nie ma to znaczenia. NATO, z jego szefem – USA, było zaangażowane i nikt go nie powstrzymał.

NATO do dziś nie umie zdefiniować siebie i swojej roli w świecie. I nie będzie umiało. Widać wyraźnie, że jest zagubione. Działania, jakie wykonuje, oświadczenia, jakie składa, są dziwaczne, niespójne, a ruchy odśrodkowe są tego wyrazem i inaczej nie będzie, chyba że jeszcze gorzej. (…)

Nie ma powodów wątpić w to, że nie będzie jednomyślnej reakcji NATO, gdyby Rosja miała ochotę połknąć Estonię, czy Łotwę z Litwą. Po pierwsze, Rosja Putina roku 2019 jest zupełnie inną Rosją niż ta Jelcyna w roku 1996-1997, więc NATO mogłoby sobie ogłaszać kolejne sankcje, ale w żadną gorącą wojnę z Rosją się nie wda. To wykluczone, z zasadniczego powodu: państwa NATO – a każde przyjrzy się sobie, jak się wykrwawi i jaką klęskę gospodarczą swoim obywatelom zgotuje – miałyby przed sobą Rosję, a nie jakąś Syrię, Libię, Jemen, Somalię, Irak, Serbię czy cokolwiek innego. Ponadto Rosja nie ma żadnego interesu w napadaniu na inne państwa. Powtarzane u nas tezy, że Rosja ma ochotę napaść na Polskę, ba, że za chwilę wystrzeli rakiety, są idiotyzmami bądź cynizmem.

Dziwią też słowa Jerzego Marii Nowaka, że „zwiększamy niebezpieczeństwo wchłonięcia nas… przez Rosję". Tak? Na czym to niebezpieczeństwo polega? Jak się objawia? Jakie zjawiska, siły, argumenty miałyby spowodować, że Rosja wchłonie Polskę? (…)

Że idiotów, ludzi chorych psychicznie w Polsce jest nie tak mało i że siedzą zarówno w rządzie, jak i w opozycji, to jasne. Siedzą tu i tam od 1989 r. i nadal będą siedzieć, bo Polska jest chora na samą siebie, więc i na Rosję. Jednak przez te 30 lat nie została wasalem Kremla, więc?

Tanaka

Cały list na stronie internetowej PRZEGLĄDU.

eprasa.pl e62bed3f48

„Słuszna sprawa" po amerykańsku

30 lat temu USA dokonały inwazji na Panamę

Lech Miodek

W dopiero co odtajnionych i opublikowanych materiałach archiwalnych można wyczytać, że prezydent Stanów Zjednoczonych George H.W. Bush przez prawie godzinę przekonywał prezydentów Meksyku, Wenezueli i Argentyny, że nie miał wyjścia i musiał dokonać inwazji na Panamę, aby ująć dyktatora wojskowego gen. Manuela Antonia Noriegę, który jakoby wydał wojnę Stanom Zjednoczonym. Zdaniem Busha wojsko panamskie zabiło oficera amerykańskiej marynarki wojennej, poturbowało drugiego i zgwałciło jego żonę. – Nie możemy sobie pozwolić na taką brutalność Noriegi wobec Amerykanów – stwierdził.

W operacji „Słuszna sprawa", bo taki kryptonim otrzymała inwazja na Panamę, wzięło udział 27 tys. żołnierzy amerykańskich, wyposażonych w najnowocześniejsze technologicznie uzbrojenie. Wszystko to, aby ująć dyktatora, który jeszcze niedawno współpracował z CIA i był ważnym ogniwem wsparcia dla ruchów kontrrewolucyjnych w regionie. Noriega dowodził jednym z najmniejszych wojsk w strefie, Siłami Obrony Panamy, które zostały utworzone przy akceptacji USA i przez nie wyszkolone.

Kontakty USA z Manuelem Noriegą rozpoczęły się w 1959 r. i trwały do początku lat 80. Noriega współpracował z CIA, pomagając w tajnych operacjach przeciwko lewicy w Ameryce Łacińskiej. Jego zadaniem było wspomaganie amerykańskich interesów w Ameryce Środkowej, w szczególności sabotowanie działań socjalistycznego rządu sandinistów w Nikaragui oraz rewolucjonistów FMLN w Salwadorze. W latach 1971-1976 za tę współpracę otrzymywał od Amerykanów ok. 100 tys. dol. rocznie. Ale Noriega współdziałał też z handlarzami narkotyków. Doniesienia o tym dotarły do USA w 1971 r., jednak prezydent Richard Nixon powstrzymał śledztwo przeciwko niemu.

Współpraca z Amerykanami jeszcze się zacieśniła, gdy w 1981 r., po śmierci w wypadku lotniczym prezydenta Omara Torrijosa, Noriega wszedł w skład junty, a dwa lata później stał się formalnym przywódcą armii, co czyniło go faktycznym władcą kraju. Noriega zezwolił na obecność na terytorium Panamy amerykańskich stacji nasłuchowych.

Nocne telefony do prezydentów

Z opublikowanych dokumentów wynika, że przed telefonami do trzech prezydentów krajów latynoamerykańskich Bush skontaktował się z premierem Kanady Brianem Mulroneyem, który udzielił poparcia dla inwazji. Prezydent Meksyku Carlos Salinas po wysłuchaniu argumentów Busha miał mu odpowiedzieć, że interwencja USA w Panamie przeczy meksykańskiej zasadzie niemieszania się w sprawy wewnętrzne innych krajów, niemniej jednak Meksyk zastosuje wobec nowego rządu panamskiego doktrynę Estrady.

– O co chodzi w doktrynie Estrady? – miał spytać Bush.

– Według tej doktryny nie ma żadnego znaczenia, kto sprawuje władzę. My uznajemy każdą – odparł Salinas.

Kiedy Bush i Salinas wyjaśniali sobie zawiłości prawa międzynarodowego, siły wojskowe Stanów Zjednoczonych przygotowywały się do otoczenia bazy amerykańskiej w Río Hato, prawie 100 km od stolicy Panamy – miasta o tej samej nazwie.

Amerykańsko-panamski patrol w zniszczonej podczas inwazji dzielnicy El Chorrillo, 29 grudnia 1989 r.

Chodziło o niedopuszczenie do zaatakowania bazy przez wojska Noriegi, gdyż parę godzin wcześniej lądowały tu załadowane bombami samoloty F-117, a potem pojawili się spadochroniarze i helikoptery.

20 grudnia 1989 r. o godz. 3.26, po rozmowie z prezydentem Meksyku, Bush skontaktował się telefonicznie z prezydentem Wenezueli Carlosem Andrésem Pérezem, który powitał go słowami: – *Good morning, Mr. President*, jesteśmy bardzo zaniepokojeni powodem, dla którego pan dzwoni.

Bush zapewnił go, że USA także są zaniepokojone Noriegą, i wyliczył korzyści, jakie interwencja przyniesie Panamie. Zapewnił, że dokona zwrotu kanału Panamczykom, którzy ze swej strony szybko podejmą działania w celu przywrócenia demokracji w Panamie. – Stany Zjednoczone – mówił – zniosą też sankcje ekonomiczne nałożone na Panamę w 1988 r., które miały zadusić dyktaturę Noriegi.

O godz. 3.41, kiedy od amerykańskich bomb płonęła El Chorrillo – dzielnica Panamy, w której mieściło się dowództwo Noriegi, Bush wyjaśniał prezydentowi Argentyny Carlosowi Menemowi, że celem ataku USA na Panamę jest „zaopiekowanie się obywatelami Stanów Zjednoczonych

W operacji „Słuszna sprawa" wzięło udział 27 tys. żołnierzy amerykańskich.

eprasa.pl e62bed3f48

w tym kraju" i „pomoc Panamczykom w powrocie do demokracji".

– Musieliśmy podjąć działania – zapewniał Bush.

– Czy mógłby mi pan ponownie wyjaśnić sytuację Noriegi? – zapytał prezydent Argentyny.

– Nie wiemy, gdzie jest Noriega. Chyba w stolicy. Jeszcze nie został zatrzymany – odpowiedział Bush.

Menem zaoferował pomoc, ale nie powiedział, że Argentyna uzna nowy rząd. Na zakończenie życzył Bushowi i jego żonie szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia.

O godz. 4 samoloty amerykańskie zaczęły bombardować instalacje wojskowe w graniczącym ze stolicą dystrykcie San Miguelito, najbardziej zaludnionym regionie Panamy.

Ofiary bez odszkodowania

Treść rozmów Busha z prezydentami Meksyku, Argentyny i Wenezueli została ujawniona 17 grudnia 2019 r., w przeddzień 30. rocznicy inwazji wojsk amerykańskich na Panamę, przez dziennikarzy panamskiego czasopisma „Concolón" przy współpracy z Komisją 20 grudnia 1989 (instytucja rządowa powołana w 2016 r. do wyjaśnienia faktów związanych z inwazją, w szczególności do rejestracji ofiar; współpracuje z Biurem Wysokiego Komisarza ONZ ds. Praw Człowieka – przyp. aut.) i Ośrodkiem Praw Człowieka Uniwersytetu Waszyngtonu. Proces odtajniania jeszcze się nie zakończył. Do tej pory opublikowano ponad 600 dokumentów obejmujących okres od 1977 do 2011 r. Pochodzą one z Białego Domu, Departamentu Stanu i Departamentu Obrony, Dowództwa Południowego, Narodowej Rady Bezpieczeństwa i CIA.

W raportach wojskowych można prześledzić, jak starano się ująć Noriegę. Podczas inwazji dyktator ukrywał się przez kilka dni u kochanki, po czym schronił się w nuncjaturze apostolskiej wraz z osobami podejrzanymi o przynależność do baskijskiej organizacji terrorystycznej ETA (Panama była jednym z krajów, które pomagały ETA w zaopatrzeniu w broń i wyszkoleniu bojowym). Amerykanie dowiedzieli się o tym 23 grudnia i zastosowali nacisk psychologiczny, dzień i noc odtwarzając pod murami nuncjatury muzykę rockową. 3 stycznia 1990 r. Noriega oddał się w ręce Amerykanów.

Z opublikowanych dokumentów wynika, że jeszcze przed inwazją prezydent Bush odbył wiele rozmów z następcą Noriegi, Guillermem Endarą. W maju 1989 r., zaraz po wygranych przez niego, a sfałszowanych przez Noriegę wyborach, Bush zadzwonił do Endary i powiedział, że to Endara jest prawdziwym zwycięzcą. Miesiąc później zadzwonił powtórnie i przekazując kondolencje z powodu śmierci żony Endary, dodał, że nie wie, co zrobić z Noriegą, i jest otwarty na sugestie.

Parę tygodni po inwazji, kiedy żołnierze amerykańscy kontrolowali ulice, a Endara objął urząd prezydenta, Bush rozmawiał z nim wielokrotnie o pakiecie pomocowym dla Panamy, wzroście gospodarczym kraju, skazaniu Noriegi i przemycie narkotyków. Na ulice Panamy, a szczególnie dzielnicy El Chorrillo, gdzie w trakcie inwazji zniszczono ponad 300 domów, a 18 tys. osób zostało bez dachu nad głową, wychodzili mieszkańcy, domagając się od Amerykanów odszkodowań i pomocy w poszukiwaniu zaginionych oraz ciał zabitych. Z raportu sporządzonego przez Międzyamerykańską Komisję Praw Człowieka wynika, że owinięte w torby ciała grzebane były potajemnie, aby nikt nie znał miejsca pochówku zabitych.

Wielu Panamczyków przyjęło inwazję z aprobatą, traktując ją jako uwolnienie od Noriegi. Dyktatora oskarżano bowiem o nadużycia, fałszerstwa wyborcze, zaaranżowanie śmierci poprzedniego prezydenta, a także o zabójstwo człowieka, który ujawnił jego narkotykowe interesy.

Strach przed Wielkim Bratem

Manuel Noriega, oskarżany przez sądy USA, Francji i Panamy, odsiedział

W pierwszym w tym roku numerze tygodnika „NIE":
ilu rolników, tyle rzeźni,
czyli kto nas będzie truł
w 2020 roku.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl e62bed3f48

20 lat w więzieniu amerykańskim i rok w więzieniu francuskim, po czym został odesłany do Panamy, gdzie specjalna komisja oskarżyła go o 110 zabójstw. Miał odsiedzieć 60 lat, ale zmarł w szpitalu w Panamie 29 maja 2017 r.

W 1994 r., na mocy poprawki do konstytucji, zostało rozwiązane wojsko panamskie. Bezpieczeństwo zewnętrzne ma zapewniać traktat o neutralności kanału zawarty między Panamą a USA, które przejęły ochronę terytorialną. Kanał Panamski na mocy traktatu Carter-Torrijos z 1977 r. przeszedł w ręce panamskie w 1999 r.

Dla żadnego prezydenta Panamy od 1989 r. problem ofiar amerykańskiej inwazji nie istniał. Guillermo Endara uważał, że kwestia odszkodowań nie mieści się w kompetencjach państwa panamskiego. Ernesto Pérez Balladares, który objął urząd pięć lat później, odmawiał spotkań z rodzinami ofiar. W 1999 r. prezydentem została Mireya Moscoso, która skoncentrowała się na wyjaśnieniu naruszeń praw człowieka w czasie dyktatury Noriegi. Kiedy w 2004 r. prezydenturę objął Martín Torrijos, syn prezydenta, który odzyskał Kanał Panamski dla Panamczyków, poszkodowani poczuli jeszcze większe rozczarowanie. Zawetował on bowiem przyjęte przez Zgromadzenie Narodowe ustawy dotyczące rozpoczęcia śledztwa i corocznych obchodów upamiętniających inwazję. Sprawy ewentualnych odszkodowań nie rozwiązał także rząd prezydenta Ricarda Martinellego.

Dotąd nie została ustalona oficjalna lista ofiar inwazji.

Obojętność albo strach rządzących Panamą przed wystąpieniem przeciwko Stanom Zjednoczonym były tak duże, że dotąd nie została nawet ustalona oficjalna lista ofiar inwazji. Według danych kościelnych zginęło 341 cywilów, natomiast według panamskiego Instytutu Medycyny Sądowej – 255 osób. Instytucje praw człowieka oceniają liczbę zabitych na ponad 1000 osób. W odtajnionych dokumentach Amerykanie przyznali, że zginęło 202 cywilów i 314 żołnierzy panamskich.

W 2016 r. powstała Komisja 20 grudnia 1989, której rząd powierzył przeprowadzenie śledztw dotyczących naruszeń praw człowieka, ustalenie liczby i nazwisk zamordowanych. A w roku 2018, 29 lat po inwazji, mecenas Gilda Camargo i jej wspólnik przekonali Międzyamerykańską Komisję Praw Człowieka do potępienia Stanów Zjednoczonych, obarczenia ich odpowiedzialnością za naruszanie prawa do życia, wolności, bezpieczeństwa i sprawiedliwości. W raporcie Stany Zjednoczone zostały wezwane do bezzwłocznej wypłaty odszkodowań ofiarom lub ich spadkobiercom. Jak dotąd rząd Stanów Zjednoczonych milczy, bojkotując raport komisji.

Lech Miodek

DZIĘKUJEMY!
I PROSIMY!

Wszystkim darczyńcom, którzy ufundowali BIBLIOTEKOM prenumeratę PRZEGLĄDU!
W minionych latach, dzięki Waszej hojności, kilkadziesiąt bibliotek otrzymywało nasz tygodnik. Były to m.in. biblioteki w **Starachowicach, Pyrzycach, Sianowie, Jarocinie, Radziejowie, Słubicach, Wieruszowie** czy **Świątkach**. Od 1 stycznia 2020 r. prenumerata zaczyna docierać np. do **Kozienic, Rzeczniowa, Braniewa, Biskupca, Suchej Beskidzkiej, Krapkowic** i **Koronowa**. Dzięki Waszym wpłatom obdarowaliśmy w tym roku ponad 60 bibliotek i czytelni. Za tę życzliwość serdecznie dziękujemy! Apetyty jednak są większe. Biblioteki mają niewielkie środki. Dostajemy coraz więcej próśb od bibliotek z całego kraju, by wysyłać im tygodnik.

Jeżeli będą możliwości, chętnie poszerzymy grono prenumeratorów. Bo już zgłosiło się ponad 70 nowych placówek.

Wszystkich zainteresowanych tą akcją prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka".

Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl e62bed3f48

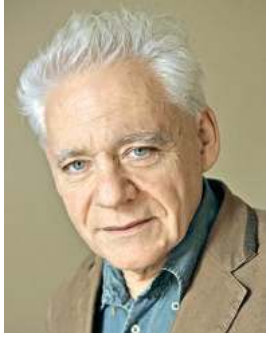

Oko w oko Tomasz Jastrun

Dowody nie mają znaczenia

Wigilia już oddala się jak udekorowany kolorowymi światełkami ostatni wagon pośpiesznego pociągu. Było u nas 17 osób, w tym piątka dzieci, najmłodsze dwa lata, szóste w brzuchu. Nic o polityce, wszyscy nią przejedzeni, czują mdłości i myślą tak samo, tylko ojciec żony, pisowiec, zapytał mnie, czy dużo piszę, i ostrzegał, by nie krytykować rządzących, bo to może być niebezpieczne. Kuzyn żony jest młodym klimatologiem, rok temu na wigilii snuł ciemne wizje zmian klimatycznych, teraz mówi, że jest gorzej, niż sądzono. Nie tylko potwierdziły się wszystkie pesymistyczne teorie, mamy już pewność, że przekroczyliśmy próg, za którym nie ma odwrotu, a zmiany będą następować szybciej, niż przewidywano. Upubliczniane dane nie mówią całej prawdy, są kompromisem zawieranym przez naukowców z politykami. Część środków planowanych na energię odnawialną trzeba będzie przeznaczyć na ratowanie całych obszarów Ziemi przed katastrofą. A to stworzy błędne koło – próbując ratować miliony ludzi, stracimy środki na ograniczanie emisji dwutlenku węgla. Zapewne dosyć szybko wynalezione zostaną nowe formy pozyskiwania czystej energii, problem w tym, że już jest za późno. Dobra wiadomość – jaka mała przy tej złej – miniony rok był przełomowy, już nie mniejszość, ale większość ludzi w bogatych krajach uświadomiła sobie, że grozi nam globalna katastrofa. W moim domu nie straszy się tym dzieci, ale o tym wiedzą, to jest w powietrzu. Na szkolną wigilię mojego Frania dzieci miały przynieść swoje kubki, by nie używać jednorazowych. A to szkoła publiczna, więc mało czuła na znaki nowego czasu. Nawet gruboskórni pisowcy czują na własnej skórze, że klimat nam się ociepla. Ale to naszej planecie nie zaszkodzi. Jak się nam ociepli, to będzie nawet miło i Polska stanie się wielkim producentem wina. Ten typ prawicowego umysłu mało jest wrażliwy na problemy, które dotyczą natury. I jest taktyka wyborcza, nie można podpaść Śląskowi. A środki na redukcję emisji dwutlenku węgla potrzebne są na prezenty dla ludu. Jest też powód ukryty. Lęk przed zmianami klimatycznymi szkodzi, bo może zjeść inne lęki, które są PiS potrzebne, by się utrzymać przy władzy. Nie oglądam, nie słucham reżimowych mediów, ale wiem od tych, którzy czasami wchodzą do strefy skażonej, że tam prawie nic nie ma o zmianach klimatycznych, a jeśli coś, to kpiny. Nie wolno ludu straszyć klimatem, bo lud może przestać się zamartwiać masturbacją dzieci, LGBT, spiskiem sędziów. A do kanonu lęków wchodzi nowy – ekologizm.

•

Wielką karierę robią słowa nieocenionego abp. Jędraszewskiego, ulubieńca PiS, wygłoszone w Telewizji Republika. Zacytuję mały fragment, reszta łatwa do zdobycia w internecie. „Ekologizm to zjawisko bardzo niebezpieczne, bo to nie jest tylko pod postacią nastolatki, to coś, co się narzuca, a ta aktywistka staje się wyrocznią dla wszystkich sił politycznych, społecznych". Metropolita krakowski stwierdził też, że ekologizm jest sprzeczny z nauką Kościoła katolickiego. Pojawiło się porównanie Grety Thunberg do Fryderyka Engelsa. „W Piśmie Świętym jest wyraźnie napisane »czyńcie sobie ziemię poddaną«. Adam jest kimś, kto nazywa zwierzęta, a więc nad nimi panuje…". Dalej był stary zestaw strachów, „deprawacja dzieci" i podobne banialuki. Piętnastu arcybiskupów i biskupów skierowało do abp. Marka Jędraszewskiego otwarty list poparcia i solidarności. Boże, chroń nasz klimat i nasze dzieci przed naszym Kościołem.

Do kanonu lęków wchodzi nowy – ekologizm.

•

Na filmie „Oficer i szpieg". Polański w wieku 85 lat znowu zrobił świetny film, uparcie jest młody jako reżyser i człowiek. Lubię go i podziwiam. I nie wierzę ofierze gwałtu, która zgłasza się do publicznej spowiedzi po niemal pół wieku. W ten sposób można załatwić każdego. Sprawa Dreyfusa odległa jest od katastrofy smoleńskiej, ale ten sam był mechanizm dzielenia społeczeństwa na dwa obozy. Tam był na dodatek jadowity antysemityzm, zapowiedź hitlerowskiego. Ta sprawa rozłamała Francję na pół na ćwierć wieku. Polska też podzielona jest na pokolenia. A nasi pisowcy, gdyby ich przenieść w czasie do Francji, byliby pewni, że Dreyfus jest zdrajcą. To ten sam typ osobowości, umysł zamknięty, często zakuty w dyby. Jak przy okazji nie pytać teraz: a co z zamachem smoleńskim, w którym śmiercią bohatera poległ prezydent? Tu również dowody nie miały żadnego znaczenia. Cisza zapadła nad tą trumną, ta cisza aż boli. Ale zamknięte umysły dobrze sobie z tym radzą. Jak nie ma dowodów, to dowód, jak wyrafinowany był spisek.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e62bed3f48

Co ma Viktor Orbán w głowie

Zdaniem byłego ministra edukacji Bálinta Magyara Orbán zbudował „państwo mafijne"

Amélie Poinssot

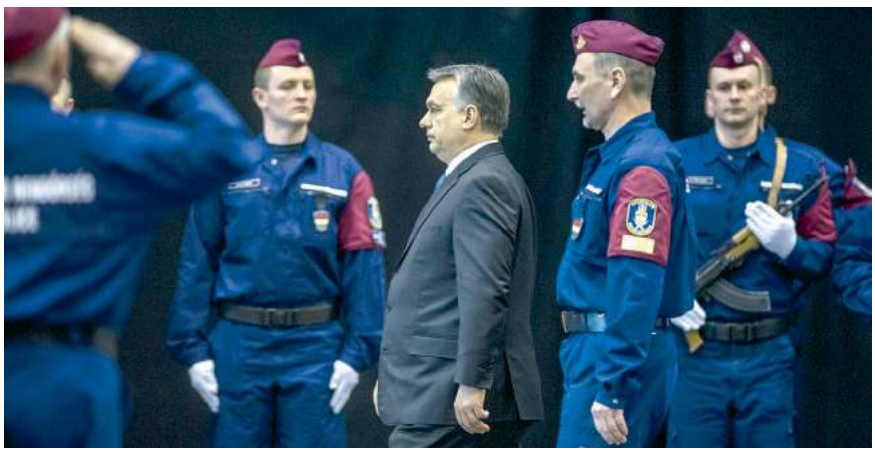

Skupionego na idei reunifikacji narodu Viktora Orbána niepokoi pewna poważna tendencja dotycząca kraju: spadek liczby ludności. Owszem, nie jest to zjawisko nowe, ale potwierdza się, odkąd Orbán powrócił do władzy w 2010 r., i krzyżuje jego plany i liczne inicjatywy z zakresu polityki rodzinnej.

Węgrów coraz mniej

Zagrożenie załamaniem demograficznym pojawiło się już podczas jego pierwszej kadencji jako premiera. „Młodzi boją się mieć więcej dzieci, a rząd koalicyjny nie może tego zaakceptować – mówił w lutym 1999 r. – Mam nadzieję, że rodziny czują, iż ten rząd jest ich szczerym sojusznikiem i że zrobimy wszystko, aby młodzi pomyśleli o powiększeniu rodziny". Szef rządu zapowiada uruchomienie zasiłku rodzinnego, większy nacisk na urlop macierzyński i korzystniejszy system podatkowy dla rodzin.

Podczas drugiej kadencji Orbána na czele rządu ta obawa staje się jednym z priorytetów jego polityki. (...) Rzeczywiście, cechą sytuacji demograficznej na Węgrzech jest stały spadek ludności od 1980 r. Według szacunków węgierskiego Narodowego Urzędu Statystycznego 1 stycznia 2018 r. kraj liczył 9,7 mln mieszkańców, podczas gdy w roku 1980 było ich 10,7 mln i od tego czasu nie zanotowano wzrostu liczby ludności. Wiąże się to z trzema zjawiskami: niewielką rozrodczością, emigracją i brakiem imigracji.

(…) Współczynnik dzietności spadł poniżej poziomu niezbędnego dla odnowy pokolenia, wynoszącego 2,1 dziecka na kobietę od końca lat 70. Po rekordowo niskim roku 2011 (1,23 dziecka na kobietę) od 2016 r. w kraju nastąpiła pewna stabilizacja wokół średniej 1,49 dziecka na kobietę – co plasuje Węgry na końcu peletonu w Europie, razem z Polską i z krajami Europy południowej (Grecja, Hiszpania, Portugalia, Włochy). Węgry nie miały w dodatku nigdy napływu cudzoziemców. Na odwrót: od 30 lat ma miejsce spora emigracja. (…)

Męskie rządy

Rząd Orbána próbował jednak temu zaradzić. Aby zmierzyć się z ucieczką młodych absolwentów, w 2013 r. proponuje zmuszenie posiadaczy stypendiów do pracy dla kraju przez przynajmniej pięć lat. Równocześnie mając na względzie reprodukcję ludu *magyar,* ówczesny minister zasobów ludzkich, pastor Zoltán Balog, proponuje zwolnienie z tego wymogu kobiet z dyplomem wyższych studiów, które urodziłyby „troje dzieci lub więcej". Podczas swej trzeciej kadencji Orbán występuje z nową inicjatywą: pary, które zobowiążą się do posiadania trójki dzieci, otrzymają pomoc w zakupie mieszkania. Z początkiem czwartej kadencji szeroko zakrojona kampania, której towarzyszy „konsultacja narodowa", promuje tradycyjny model rodziny.

Widać tu pewną zbieżność poczynań: w 2017 r. rząd węgierski jest w Budapeszcie gospodarzem World Congress of Families – amerykańskiej organizacji skupiającej działaczy *pro-life* i homofobów z całego świata. Podczas gdy za czasów komunizmu nastąpił znaczny postęp w zakresie praw kobiet, koncepcje Orbána potwierdzają ich odwrót. W jego świecie kobiety są sprowadzone do roli reproduktorek. (...) Ta archaiczna wizja ról męskich i kobiecych umacnia się z czasem: jesienią 2018 r. władza decyduje o pójściu na wojnę przeciwko studiom gender i wycofuje ten przedmiot z węgierskich uniwersytetów. Rządy Orbána są niemal wyłącznie męskie, podobnie jak grupa parlamentarna Fideszu. W rządzie sformowanym w czerwcu 2018 r. pojawiła się na początku tylko jedna kobieta: Andrea Bártfai-Mager (bez teki). Drugą można odnaleźć w poszerzonym gabinecie: Katalin Novák, sekretarz stanu do spraw rodziny, młodzieży i spraw zagranicznych, a w czerwcu 2019 r. Judit Varga została ministrą sprawiedliwości. Poprzednie rządy (2010-2014 i 2014-2018) nie miały w składzie żadnej kobiety. W parlamencie wybranym w kwietniu 2018 r. jest 10 kobiet na 107 mężczyzn z listy Fideszu.

Nikogo nie potrzebujemy

Promowanie tradycyjnego modelu rodziny i towarzyszące temu posunięcia na razie nie przyniosły skutków. Węgierska demografia pozostaje w zapaści, a pragnienie wyjazdu u młodych Węgrów nie słabnie. W czerwcu 2017 r. badanie przeprowadzone przez Irén Gödri, pracownicę Instytutu Badań Demograficznych, potwierdziło, że w przedziale wieku 18-40 lat

FOT. MATERIAŁ PRASOWE

eprasa.pl e62bed3f48

jedna osoba na trzy, a więc łącznie 680 tys., rozważało przeniesienie się za granicę.

Tylko napływ imigrantów pozwoliłby na zbilansowanie tej niekorzystnej tendencji demograficznej – ale tę opcję Viktor Orbán zdecydowanie odrzuca. W jego pojęciu ochrona węgierskiej populacji oznacza ochronę jednolitej, chrześcijańskiej, białej populacji węgierskiej. Oznacza to sprzeciw wobec kohabitacji różnych narodowości. (…)

W jednym z najzamożniejszych regionów kraju, w Csornie, małym mieście w zachodniej części, deputowany miejscowego okręgu wyborczego Alpár Gyopáros jest przekonany, że poprzez „system pomocy rodzinom i wzrost stopy rozrodczości" można będzie zapobiec brakowi siły roboczej na rynku pracy. „Nie będziemy potrzebowali imigrantów – zapewnia deputowany z zapałem. – System pomocy rodzinie zaczął być skuteczny w 2010 r. Przyniesie owoce i będziemy mieli więcej dzieci". W tej wizji świata imigrant nie tylko stanowi zagrożenie, (...) ale jawi się także jako człowiek zbyteczny: taki, którego nie będzie się „potrzebować".

W głowie Viktora Orbána króluje właśnie taka myśl: Węgrzy zawsze jakoś znajdują wyjście, bez pomocy kogokolwiek pochodzącego z zagranicy. Na kongresie Fideszu w grudniu 2015 r. szef partii oświadcza: „Jesteśmy ludem dumnym, pewnym siebie i niekiedy upartym, który zawsze chce wszystko wykonać w pełni niezależnie, na własnych warunkach; narodem, który nigdy nie żebrze, nigdy nie przyjmuje pieniędzy od nikogo; narodem, który nie chce być ani panem, ani niewolnikiem innych".

Takie słowa gloryfikujące Węgrów Orbán wypowiada wielokrotnie (...).

Niewierzący, ale praktykujący

Obraz byłby jednak niekompletny, gdybyśmy nie wskazali na związek, jaki tworzy między tożsamością węgierską i religią chrześcijańską. I znów wynika to z jego zwrotu w stronę wartości konserwatywnych, z dążenia do odróżnienia się od węgierskich socjaldemokratów (...). W chwili upadku komunizmu Orbán był przekonanym antyklerykałem. Jak sam przyznaje, nie jest wierzący, a większość ludności Węgier jest niepraktykująca. (...) A jednak Orbán zwraca się w stronę wartości chrześcijańskich z końcem lat 90. W roku 1997, 11 lat po ślubie cywilnym, on i jego żona Anikó Lévai poświadczają swój związek przed pastorem. On wywodzi się z rodziny z pochodzenia kalwińskiego – ale niewierzącej, ona jest praktykującą katoliczką. Troje z ich dzieci zostanie ochrzczonych w kościele protestanckim, zaś dwie ostatnie córki – w katolickim.

We wrześniu 1999 r. jedna z pierwszych podróży zagranicznych Orbána jako premiera będzie miała za cel Watykan. Spotkanie z Janem Pawłem II nie pozostawia żadnych wątpliwości w sprawie jego nowego wyboru: „Uważamy chrześcijaństwo nie za głos z przeszłości, ale za głos przyszłości" – mówi młody szef rządu. (...) Zasadniczy zwrot zostaje wykonany podczas wielkich obchodów roku 2000, kiedy korona św. Stefana zostanie wystawiona w budynku parlamentu i rządu węgierskiego. W tym samym roku – opowiada jego polski biograf Igor Janke – Orbán odbywa konfirmację w obrządku protestanckim (...). Oportunistyczne nawrócenie czy też szczere objawienie? Jak w wielu innych dziedzinach – u Orbána to mało ważne. „Viktor Orbán jest człowiekiem, który niemal automatycznie wierzy w prawdziwość wszystkiego, co uważa za politycznie korzystne dla siebie", pisze jego inny biograf, Węgier József Debreczeni.

(…) Orbán, odwołuje się coraz częściej do religijnego wymiaru życia. „Nasze ideały są chrześcijańskie i oparte na indywidualnej odpowiedzialności, dla nas poczucie narodowe jest ważne i pozytywne, a rodzina jest podstawą przyszłości" – mówi do eurodeputowanych w styczniu 2012 r. Łacińska formuła, pochodząca z Nowego Testamentu *Soli Deo Gloria* (Jedynemu Bogu chwała) podsumowuje regularnie jego przemówienia.

Z tej koncepcji płynie oczywiście chrześcijańska wizja Europy. „Należę do tych, którzy pragną zobaczyć Węgrów żyjących w Europie chrześcijańskiej przez następny tysiąc lat – mówi premier w grudniu 2015 r. – Według mnie wszyscy wierzymy, że nasze życie może być znaczące, pełne wartości i mieć wagę tylko wtedy, kiedy oddamy się służbie czegoś większego i ważniejszego niż nasze własne życie: na przykład naszym rodzinom, naszemu krajowi albo królestwu Bożemu. Albo temu wszystkiemu jednocześnie".

Ta mobilizacja tożsamości chrześcijańskiej okazuje się bardzo potrzebna w chwili „kryzysu uchodźczego". Od tego czasu we wszystkich przemówieniach Orbána pojawia się kwestia tożsamości narodowej i chrześcijańskiej, w przeciwieństwie do cudzoziemców, islamu i osób niebędących Europejczykami.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Fragment książki Amélie Poinssot
***Co ma Viktor Orbán w głowie*, przekład Andrzej Bilik, Fundacja Oratio Recta, Warszawa 2019**

Kim naprawdę jest Viktor Orbán? Populistą czy mężem opatrznościowym?

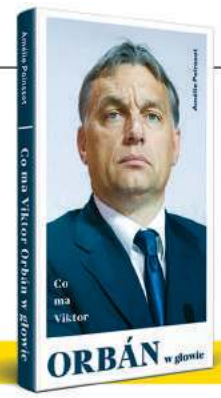

E-BOOK tylko 14,90 zł

PRZEGLĄD poleca!

Wpłat 35 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książkę można też zamówić na www.sklep.tygodnikprzeglad.pl. W cenę książki wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł lub dostawy kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl e62bed3f48

Seks przegrywa z Netflixem

Ludzie są dziś tak zabiegani, że seks stał się dobrem luksusowym, dostępnym jedynie dla tych, którzy mają więcej czasu

Rozmawia Anna Brzeska

Jaka jest teraz polska norma, jeśli chodzi o częstotliwość uprawiania seksu wśród osób w średnim wieku?

– Normą kulturową jest myślenie, że inne pary uprawiają seks co najmniej trzy razy w tygodniu. Jednak moje doświadczenia z gabinetu seksuologa mówią, że może raz w tygodniu pojawiają się w sypialni pocałunki, pieszczoty czy seks oralny. Seks z penetracją zdarza się Polakom raz na dwa tygodnie. Ludzie są dziś tak zabiegani i obciążeni obowiązkami, że seks stał się dobrem luksusowym, dostępnym jedynie dla tych, którzy mają więcej czasu. Największy problem ma kadra zarządzająca, ludzie w korporacjach, ogólnie ci, którzy nie wyrabiają się z obowiązkami, a których głowa pracuje non stop. Na seksualność nie mają już czasu. Na początku relacji, gdy mózg zalewa nam fenyloetyloamina – hormon podobny do amfetaminy, odpowiedzialny za zauroczenie i zafascynowanie – seks udaje się często. Potem jednak musimy dbać o związek jak o ogród. Ważne są więc uwodzenie, staranie się, sprawianie sobie prezentów, komplementy, gesty docenienia czy podziwu. Co więcej, po kilku czy kilkunastu latach związku, by doszło do udanego seksu, potrzeba znacznie więcej czasu – już nie kilka minut, ale raczej godzin. Dzieje się tak dlatego, że aby w ogóle cokolwiek zainicjować, musimy odłączyć mózg od pracy, przełączyć go na seksualność. To niezwykle trudne i hormony już tego za nas nie załatwią.

Wszyscy znamy te rady o budowaniu nastroju, seksownej bieliźnie czy gadżetach. Co jeszcze można by dorzucić, by ratować życie seksualne?

– Po pierwsze, trzeba sobie uświadomić, że to nie tylko kwestia ciała, by było ono zresetowane i wypoczęte. Wbrew temu, co się powszechnie uważa, nie jest to też raczej sprawa hormonów. Owszem, zdarza się, że mężczyźni mają za mało testosteronu, co obniża libido i powoduje problemy ze wzwodem. Jednak najczęstszym problemem okazuje się brak świadomości, że najważniejszym organem seksualnym jest mózg. To nim trzeba się zająć. Aby udało się stworzyć niezbędną do udanego seksu bliskość, musimy iść na randkę czy do kina, co będzie taką klamrą odłączającą nas intelektualnie i emocjonalnie od pracy. Widzę, że ludzie chcą się kochać, ale nie mogą – mężczyźni wciąż przerabiają w głowie jakieś nierozwiązane problemy w firmie, a kobiety mielą relacje rodzinne albo to, co powiedziała im szefowa. Wciąż doświadczają wywołanego wcześniej smutku, żalu czy gniewu i nie są w stanie się podniecić.

36% mężczyzn w stałych związkach odmawia seksu. Takiej plagi mężczyzn nieuprawiających seksu jeszcze nie mieliśmy.

Mówił pan, że najgorzej jest w kadrze zarządzającej czy w ogóle u ludzi pracujących w korporacjach. Czy to znaczy, że pracownicy fizyczni, którzy po prostu kończą zmianę i wychodzą, mają mniejsze problemy?

– Tak, ale to dotyczy raczej mężczyzn, i to pod warunkiem, że nie są przepracowani. Jeśli mężczyzna jest w pracy dziesięć godzin lub więcej, często nie ma już sił, by uprawiać seks. Jednak ten, który pracuje jakieś osiem godzin dziennie – już tak, zwłaszcza że dodatkowo jest zadbany fizycznie. Dobrze działa jego układ krwionośny, hormonalny również, bo podczas ruchu wydziela się testosteron. Z kobietami jest inaczej – te o niskich kwalifikacjach często doświadczają stresu i pędu związanego z domowymi obowiązkami, przez co są wyeksploatowane nie tylko fizycznie, ale także emocjonalnie. U nich ta seksualność może być osłabiona. Widzę też jednak inny problem. Bez względu na wiek czy zawód mężczyźni oglądają bardzo dużo pornografii i w ten sposób zaspokajają potrzeby seksualne. Bardzo często odmawiają kobietom seksu, bo czują się nasyceni. Mam klientów z tak zaawansowanym problemem, że oglądanie pornografii zajmuje im trzy-cztery godziny dziennie. Płynąca z niej masa bodźców i ich intensywność – bo to, co tam widzą, to są różne formy seksu – powoduje, że nudny seks z żoną po prostu przestaje być dla nich atrakcyjny. Szczególnie że aby go uprawiać, trzeba najpierw iść na randkę, powiedzieć żonie coś miłego, zrobić jakiś prezent – a i tak nie wiadomo, czy te wysiłki skończą się seksem. Pornografia nigdy zaś nie odmawia.

Jest jakiś bezpieczny limit pornografii?

– My, seksuolodzy, osobom dorosłym polecamy oglądanie pornografii wspólnie z partnerem czy partnerką, jeśli brakuje im inspiracji albo po prostu nie chce im się uprawiać seksu. Początki uzależnienia od pornografii zwykle są jednak takie, że mężczyźni zaczynają ją oglądać z ciekawości, z chęci zabicia czasu lub dlatego, że partnerka już ich za bardzo nie podnieca. Najpierw więc oglądają film przez pół godziny, a potem pędzą do sypialni, by współżyć z żoną, bo jeszcze są nakręceni. Niestety, po pewnym czasie zaczynają oglądać coraz dłużej – godzinę, potem dwie. Masturbują się przy tym, mają orgazmy i już tracą ochotę na seks z żoną.

Dlaczego to ma charakter postępujący? Czy dlatego, że żona odmawia seksu, więc mężom przestaje się opłacać biec do sypialni?

eprasa.pl e62bed3f48

ANDRZEJ GRYŻEWSKI

– seksuolog, psychoterapeuta i certyfikowany edukator seksualny, założyciel Gabinetu Psychoterapii Seksualnej CBTseksuolog. Autor bestsellerowej „Sztuki obsługi penisa", napisanej z Przemysławem Pilarskim książki „Jak facet z facetem, rozmowy o seksualności i związkach gejowskich", z Arturem Górskim – „Macho, instrukcja obsługi" oraz nowej, z Katarzyną Miller – „Być parą i nie zwariować".

– Nie. Najczęściej to nie jest decyzja mężczyzny, tylko skutek uzależnienia. Na początku karmimy ośrodek nagrody w mózgu czymś małym i osiągamy maksimum przyjemności. Z czasem jednak potrzebujemy coraz mocniejszych bodźców. To taki sam mechanizm jak w przypadku wszystkich innych nałogów. Po krótkim czasie można się uzależnić, bo potrzebujemy coraz większych dawek, by czuć się podobnie dobrze. Jeśli ktoś już koniecznie chce oglądać pornografię, na początku musi rozładować popęd seksualny z partnerem czy partnerką – i uprawiać tyle seksu, ile ta druga osoba potrzebuje. Dopiero nadwyżki popędu można realizować poprzez oglądanie pornografii. Niestety, na ogół jest odwrotnie. Mężczyźni zaczynają od pornografii, a jeśli wystarczy im sił, sprawdzają, czy jeszcze chce im się współżyć z żoną. Najczęściej dość szybko okazuje się, że nie.

Załóżmy, że mamy parę, która wraca z pracy. Są zmęczeni i nie mają ochoty podejmować wysiłku. Skarży się na to pewnie z połowa naszego pokolenia, szczególnie osoby mające dzieci. Po całodziennej orce wolimy leżeć z chipsami na kanapie przed telewizorem. Z seksem jest za dużo zachodu.

– O to chodzi. Serial nie wymaga od nas przygotowania się, a do wzbudzenia popędu seksualnego trzeba zaprząc intelekt, obudzić kreatywność. Naszym seksuologicznym pomysłem, jak ten problem rozwiązać, jest „dzień dla partnerstwa", na który para powinna przeznaczyć jeden dzień w tygodniu. Najlepiej, żeby to nie był weekend, bo w sobotę i niedzielę często wypadają nam różne rodzinne czy towarzyskie spotkania, więc z seksu nici. W taki dzień – czy raczej popołudnie, bo przecież wcześniej zwykle jesteśmy w pracy – wyłączamy Netflixa, HBO GO, a dzieci odstawiamy do teściów. Dbamy wtedy o to, by sobie poflirtować, pouwodzić drugą osobę, pójść na randkę, na spacer, porozmawiać bardziej intymnie. Występujemy wtedy nie w roli męża, żony, matki czy ojca, ale wyłącznie w roli kochanków. W ten sposób budujemy bliskość, którą zmieniamy potem w seksualność. Inaczej to się nie uda. Dwie spracowane osoby, których głowy wciąż są gdzie indziej, nie będą miały ochoty na seks. Warunkiem powodzenia tego projektu jest to, żeby taki dzień rzeczywiście organizować raz w tygodniu, a nie raz na dwa albo trzy tygodnie. Pacjenci, którzy wyznaczają go sobie zbyt rzadko, skarżą się, że tracą wprawę, że taki dzień niewiele pomaga, a tylko budzi niepotrzebną nadzieję i rozdrażnienie.

Czy jednak wyznaczenie sobie takiego dnia nie sprawia, że ludzie zaczynają traktować seks jak kolejny obowiązek, coś do odhaczenia w grafiku?

– Warto myśleć o tym nie w kategoriach obowiązku czy pańszczyzny, ale jako o fajnym elemencie budowania relacji czy bliskości. To nie może być też „małżeńska prostytucja", gdzie jedna osoba dba o zaspokajanie potrzeb drugiej, np. w zamian za inne korzyści. To ma być przyjemność dla obojga, a nie poświęcenie. Jeśli mężczyzna ma do wyboru seks ze swoją atrakcyjną kobietą, która mówi, że poświęci się dla niego – albo seks z przypadkową, nawet nieatrakcyjną, ale chętną panią, znalezioną na Tinderze, to wybierze tę drugą, bo takie zachowania jak poświęcenie się są dla mężczyzn zupełnie aseksualne.

Pełny seks zdarza się Polakom raz na dwa tygodnie.

Czy może nam w tym wszystkim jakoś pomóc farmakologia? Może ostatnio wynaleziono jakieś środki, które zwiększają libido?

– Niestety nie. Gdy ktoś takie środki wynajdzie, z pewnością dostanie Nobla. Jedynym znanym sposobem na libido jest dbanie o styl życia – tak by znalazło się w nim miejsce na bliskość, intymność czy erotyzm.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e62bed3f48

Ich brak to zabójca seksualności. Zabieganie o drugą osobę, uwodzenie jej, flirtowanie, pokazywanie, że jest dla nas ważna – to właśnie aktywizuje libido.

Jeśli ktoś nie umie tego robić, może to nadrobić na jakimś kursie czy terapii?

– Tak. Są kursy online, książki i oczywiście seksuolodzy, których można zapytać, jak się tego nauczyć. Niestety, gdy coś w seksie nie działa, wiele osób zaczyna zdradzać, mając poczucie bezsilności i beznadziei.

Problemy z seksem są bardzo demokratyczne, dotyczą wszystkich grup wiekowych, zawodów, płci i orientacji.

Jeśli jednak żadnemu z partnerów już się nie chce, muszą w to wszystko się bawić? Większość z nas czytała zapewne, że seks jest nam potrzebny dla zdrowia, fizycznego i psychicznego. Ale czy naprawdę tak jest? Może powinniśmy dać sobie spokój i relaksować się na inne sposoby?

– Warto uprawiać seks. Jeśli tego nie robimy, gorzej funkcjonuje nasz układ krwionośny, hormonalny czy oddechowy. Obniża się też nastrój. 15 lat temu badałem grupę 300 osób, które nie uprawiają seksu. Okazało się, że te osoby w porównaniu z grupą kontrolną, reprezentującą ogół populacji, są dużo bardziej sfrustrowane, napięte, zezłoszczone, mają gorszą pamięć, gorzej się wysypiają. Jest masa plusów z uprawiania seksu – osoby, które dbają o tę sferę, są bardziej zrelaksowane i dużo łatwiej im żyć. Nawet jeśli jest jesień czy zima, dominuje w nas wtedy pozytywny nastrój.

Czy kontrolowana zdrada albo trójkąt mogą być skutecznym sposobem na urozmaicenie życia seksualnego?

– Niektórzy potrzebują czuć oddech konkurencji na plecach. Znam wielu mężczyzn, którzy nie pożądają już partnerki, ale jeśli ona zaczyna z kimś się umawiać na mieście – i on wie z kim, na jak długo i jeszcze ona opowiada mu potem, co robili – to nagle w nim budzi się pożądanie i namiętność. Znów chce z nią uprawiać seks, bo ona została seksualnie nobilitowana, ktoś „na mieście" potwierdził jej seksualną wartość. Dla niektórych to odświeżające. Obraz kobiety jako wiernej Madonny, która będzie z nami na zawsze i nie trzeba jej uwodzić, to coś, co wygasza pożądanie u mężczyzn. Jeśli jednak dowiadujemy się, że ona miała romans – nawet wirtualny czy esemesowy – to znów zaczyna nam się jej chcieć, znów zaczynamy z nią flirtować. Dociera do nas, że nie ma nic na zawsze i jeśli nie zaspokoimy jej potrzeb seksualnych, zrobi to za nas ktoś inny.

Co z trójkątami?

– Mam klientów, którzy umawiają się na seks w trójkącie z osobami znalezionymi przez internet, ale podchodzą do tego bardzo przedmiotowo. Ta osoba wychodzi rano po seksie i znika z ich życia, zostają tylko miłe erotyczne wspomnienia. Najczęściej pary heteroseksualne do trójkątów zapraszają kobiety, ale bywa i tak, że jeśli mężczyzna w związku od dawna nie pożądał swojej partnerki, umawiają się z facetem. Młody kochanek, który uprawia seks z cudzą żoną, potrafi nakręcić jej męża.

Może to mieć pozytywne skutki?

– Tak, co nie znaczy, że my, seksuolodzy, polecamy trójkąty.

Funkcjonował taki stereotyp, że zwykle żona odmawia seksu, wykręca się bólem głowy. Dziś to już chyba nieaktualne.

– Kiedyś mężczyzna, który nie chciał uprawiać seksu, był kuriozum. Obecnie 36% mężczyzn w stałych związkach odmawia seksu. Partnerki nie wzbudzają już u nich emocji, więc panowie często wybierają pornografię, romans albo kompletnie wyłączają się z erotyki. Takiej plagi mężczyzn nieuprawiających seksu jeszcze nie mieliśmy. Mamy więc też bardzo dużo zrozpaczonych pacjentek, które pytają, co robić, „żeby jemu się chciało". Kupują erotyczną bieliznę, gadżety, puszczają pornografię – a on nadal nie jest zainteresowany seksem w związku.

Co się stało, że tyle się zmieniło w tej kwestii u mężczyzn?

– Dawniej mężczyzna pracował poza domem i przynosił pieniądze. Teraz musi również występować w innych rolach – przede wszystkim taty, który np. wychodzi z dziećmi na dodatkowe zajęcia. Często nie wystarcza mu już czasu ani ochoty na sport czy relaks. Seksualność jest więc przesuwana na kolejne dni.

Inne plagi, które pan zauważa?

– Na drugim miejscu – po mężczyznach odmawiających seksu – jest lęk zadaniowy. Mężczyźni boją się, że nie zaspokoją partnerki, że mają za krótki członek, że zbyt krótki jest czas stosunku, że nie doprowadzą partnerek do 50 orgazmów z rzędu. Trzecie miejsce – zaburzenia erekcji i impotencja. Czwarte miejsce – kobiece problemy, czyli głównie trudności z osiągnięciem orgazmu. Wiele kobiet tak kontroluje swoje życie, próbując pogodzić wszystko – pracę zawodową, dbanie o rodzinę czy pasję – że cały czas są w napięciu. Działają jak komandos, nie potrafią się rozluźnić, a do osiągnięcia orgazmu potrzebny jest luz. Ogólnie – coraz mniej osób uprawia seks. W Japonii odsetek nieuprawiających seksu sięga 49%. Coraz więcej mężczyzn ma problemy z erekcją, a kobiet z orgazmem. Wiele kobiet skarży się, że partner nie dba o erotyzm w związku, nie uwodzi ich, nie zabiega o nie, nie komplementuje.

Te problemy dotyczą też osób homoseksualnych czy ta grupa ma jakieś specyficzne?

– Zacznijmy od tego, że jeśli chodzi o libido, inaczej jest u gejów, inaczej u lesbijek. U tych drugich często bywa tak, że gdy pojawia się związek, seks szybko się w nim wycisza. Lesbijki tworzą tak dużą bliskość, że ich relacje szybko zaczynają być jakby siostrzane. Więcej tam czułości niż pożądania. Dzieje się to już po kilkunastu miesiącach, a więc znacznie szybciej niż u heteryków. U gejów jest odwrotnie – seks jest częsty nawet przez kilka czy kilkanaście lat. Z kolei geje znacznie częściej niż pary heteroseksualne otwierają związki. Łatwiej wchodzą w trójkąty, nie wiążąc się w ogóle z tą trzecią osobą. Oczywiście nie wszyscy to robią.

Badałem grupę 300 osób, które nie uprawiają seksu. Okazało się, że są napięte, zezłoszczone, mają gorszą pamięć, gorzej się wysypiają.

eprasa.pl e62bed3f48

Ogólnie jednak można powiedzieć, że u osób homoseksualnych występują podobne problemy z ochotą na seks. Są tak samo przepracowane, dla nich również seks stał się luksusem, tak jak u reszty rodaków. Żeby daleko nie szukać – nasz wywiad musieliśmy przeprowadzić na raty, bo zarówno pani, jak i ja musieliśmy poodbierać dzieci ze szkół i przedszkoli. Z kolei inni w trakcie seksu przerywają akcję, bo muszą odebrać służbowy telefon, odpisać na pilny mejl.

Ta plaga obejmuje więc całe społeczeństwo.

– Tak. Co więcej, trzeba wziąć pod uwagę, że zwiększył się nam zakres atrakcyjnych rozrywek. Za niewielkie pieniądze można sobie kupić karnet do kina i chodzić tam bez limitu. Mam klientów, którzy bywają na trzech-czterech seansach w tygodniu. Nie mają czasu na seks, bo muszą być na każdym nowym filmie. Do tego za ok. 30 zł możemy wykupić dostęp do Netflixa, HBO GO, gdzie dostajemy wszystko – seriale, filmy, koncerty. W dodatku jest to rozrywka dobrej jakości. Skończyły się czasy kablówki, w której trudno było znaleźć cokolwiek ciekawego. Rozwinął się rynek gier *online*. Widzę po klientach, że sporo osób siedzi w internecie i jeździ tam czołgiem lub rozwija farmy czy miasta. Ludzie kupują też konsole – zawalają noce, bo chcą przejść na kolejny *level*. Konkurencja dla seksu jest więc ogromna.

Najczęstszym problemem okazuje się brak świadomości, że najważniejszym organem seksualnym jest mózg.

Czy zanim pojawił się internet, częściej uprawialiśmy seks?

– Oczywiście. Z założenia siadamy do Facebooka na pięć minut, a spędzamy tam całe godziny. A potem robi się północ i trzeba iść spać, by jakoś funkcjonować następnego dnia.

Mamy w społeczeństwie coraz więcej ludzi otyłych. Takie osoby mogą mieć specyficzne problemy z seksem?

– Tak. Szczególnie widać to u mężczyzn. Otyłość brzuszna to fabryka hormonów kobiecych. Męski testosteron jest wtedy zamieniany na estrogeny, co powoduje, że otyli mężczyźni rzadziej współżyją. Po prostu brakuje im testosteronu.

Odwiedzają gabinety seksuologów czy raczej wstydzą się i rezygnują z tej sfery życia?

– Często przychodzą, bo zależy im na seksie, natomiast przyznam, że u nich niewiele da się zrobić, póki nie schudną – to kwestia bezlitosnej biochemii. Co gorsza, otyli ludzie zwykle nie mają wysokiej samooceny, w dodatku podczas seksu męczą się szybciej. Nie mogę jednak powiedzieć, że tych osób u seksuologa zjawia się więcej niż szczupłych. W gabinecie lądują bowiem wszyscy. Problemy z seksem są bardzo demokratyczne, dotyczą wszystkich grup wiekowych, zawodów, płci i orientacji.

Anna Brzeska

eprasa.pl e62bed3f48

Skandal w 100-lecie powstań śląskich

Bezczelna decyzja Moniki Ożóg. Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny zostało zamknięte

Jan Cofałka

13 grudnia 2019 r., pod koniec pierwszego roku obchodów 100-lecia powstań śląskich (1919-1920-1921), dr hab. Monika Ożóg, nowa dyrektorka Muzeum Śląska Opolskiego, którego oddziałem jest Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, zwolniła pracowników tego muzeum – z Witoldem Iwaszkiewiczem, cenionym kustoszem pracującym w nim od 11 lat, na czele. Tym samym bezterminowo została zamknięta placówka wielce zasłużona dla zachowania pamięci o powstaniach śląskich i mająca największe zbiory dotyczące tych wydarzeń.

Muzeum Śląska Opolskiego ma największe zbiory dotyczące powstań śląskich.

Wszystko wskazuje, że skandaliczna decyzja nowej dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego, która w ostatnich wyborach bez powodzenia kandydowała do Sejmu z list Koalicji Obywatelskiej, jest zgodna z oczekiwaniami władz województwa opolskiego. Już wcześniej zrezygnowały one z budowy na Górze św. Anny Centrum Edukacji Przyrodniczej, które byłoby też siedzibą parku krajobrazowego. Jego dyrekcja ma się znaleźć w budynku Muzeum Czynu Powstańczego, obok działającego tu już Działu Przyrody Muzeum Śląska Opolskiego. Tym samym Muzeum Czynu Powstańczego zostanie albo zmarginalizowane, albo całkowicie zlikwidowane.

Dodajmy, że mieści się ono w historycznym budynku, który był przed wojną Domem Polskim. Już kilkanaście lat temu mniejszość niemiecka chciała otworzyć w nim na parterze restaurację Pojednanie, w której Niemcy przy piwie ubarwialiby śpiewem realizowany na piętrze powstańczy program muzealny. Propozycja ta została oprotestowana i upadła.

Monika Ożóg nie widzi niczego niewłaściwego w tym, że zamknęła Muzeum Czynu Powstańczego w czasie obchodów 100-lecia powstań śląskich. Nie ujawniła nawet, dlaczego chciała zwolnić pracowników muzeum dyscyplinarnie, a w końcu zrobiła to za porozumieniem stron. Tym aktem pani dyrektor, za sprawą swoich mocodawców, wpisała się w nową politykę historyczną, wciskającą Polakom do głowy, że ważniejsi od powstań śląskich są powojenni „wyklęci", np. bracia Kowalczykowie, którzy w 1971 r. wysadzili aulę Wyższej Szkoły Pedagogicznej – pierwszej polskiej uczelni na Śląsku Opolskim. Poza tym dla dzisiejszych partii najważniejsze są stołki, na których mogą posadzić swoich ludzi. Mści się więc fakt, że muzeum to – jak proponował przed laty prof. Michał Lis, sekretarz zespołu, który w 1982 r. przygotował wydanie Encyklopedii Powstań Śląskich (do dziś nie może się doczekać wznowienia) – podlega nie Muzeum Narodowemu lub Muzeum Wojska Polskiego, lecz władzom województwa. Władze opolskie, zmuszone do lawirowania między coraz aktywniejszymi Kresowiakami, anemicznymi politycznie autochtonami i niewielką, lecz bogatą i zorganizowaną mniejszością niemiecką, skłonne są krzywdzić tych, którzy tu przez sześć wieków trwali w polskości i wreszcie postanowili o powrót do Polski wystąpić zbrojnie. A pani dyrektor – specjalistka od Bizancjum – w trakcie obchodów 100. rocznicy tego zbrojnego wystąpienia zamyka muzeum eksponujące w sposób nowoczesny ów dramatyczny zryw Ślązaków, który odradzającej się po 123 latach niewoli Polsce przynosi wiano w postaci części przemysłowego Śląska.

Kiedy po zamknięciu muzeum podniosła się zrozumiała wrzawa, pani dyrektor wydała infantylne oświadczenie, w którym napisała: „W związku z nieprawdziwymi informacjami dotyczącymi rzekomo bezpodstawnego zwolnienia przeze mnie pracowników Muzeum Czynu Powstańczego informuję, że strony podpisały porozumienie o rozwiązaniu stosunku pracy". Dlaczego postanowiła ich zwolnić, i to dyscyplinarnie, nie podaje. Dalej pisze: „Stanowczo zaprzeczam informacjom, że chcę zamknąć Muzeum". A przecież je zamknęła! Poinformowała też, że oddział jest w trakcie reorganizacji (jakiej i po co?), i zakończyła to kuriozalne oświadczenie zapowiedzią, że chce jak najszybciej wznowić jego działanie. Jeśli nawet przyjąć, że faktycznie chce tak zrobić, to nasuwają się pytania, w jakiej formie po tej reorganizacji muzeum będzie ponownie funkcjonowało i komu zostanie powierzone kierowanie nim. Nie wspominając o takiej błahostce jak inwentaryzacja i przekazanie bogatych zbiorów.

Spodziewać się nawet można nowej nazwy tej placówki: Park Krajobrazowy Góra św. Anny i gdzieś tam, na boku, malutkimi literkami, Muzeum Wojny Domowej. ■

FOT. MICHAŁ GROCHOLSKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl e62bed3f48

Sherry Brandy

Ludwik Stomma

Opłatek

Nie miałem dotąd specjalnej sympatii dla Włodzimierza Czarzastego. Ot, polityk – wprawdzie lewicowy i inteligentny, ale jak wszyscy unurzany w rozgryweczkach, kokieterii i półprawdach. Z wielką przyjemnością donoszę, że zmieniłem zdanie. W „Kawie na ławę" zapytany o sejmowe „opłatki", podczas których uczestnicy z prawa i lewa spijają sobie miód z dzióbków przy dźwiękach kolęd, bez względu na to, co który dzióbek świergotał godzinę wcześniej, odpowiedział rzeczowo, że nie ma zwyczaju brać udziału w takich festiwalach obłudy i zakłamania w pseudokatolickim sosie. Brawo, panie Włodzimierzu! Nareszcie rzetelne słowa prawdy. Pisał Andrzej Bursa:

Dzieci są milsze od dorosłych
zwierzęta są milsze od dzieci
mówisz że rozumując w ten sposób
muszę dojść do twierdzenia
że najmilszy jest pierwotniak pantofelek

no to co

milszy mi jest pantofelek
od ciebie ty skurwysynie

Oczywiście słowo skurwysyn jest obraźliwe, w szczególności względem uczciwie zarabiających na życie panienek tzw. lekkich obyczajów. Słowa skurwysyn nie należy używać nawet wtedy, kiedy wyrażałoby najpełniej nasze do kogoś uczucia. Pisał wprawdzie klasyk Jan Andrzej Morsztyn (1621-1693): „Sameś skurwysyn, kurwa twoja żona", ale w ramach postępu brzydkie to słowo wypadło z dykcjonarzy. Nie zmienia to jednak faktu, że pantofelek (*Paramecium caudatum*) jest nam rzeczywiście milszy od niejednego homo sapiensa. Pomijam już fakt, że pantofelek jako stworzenie niewielkie (przeciętny wzrost 0,2 mm) nie założy ci niedźwiedzia, nie będzie cię moczył przytulającą się nachalnie zaślinioną mordą ani zmuszał do przeżuwania ubrudzonego swoimi łapami wypieku ze skrobi pszennej i wody. Znacznie ważniejszy jest fakt, że pantofelek (bo z rybami do końca nie wiadomo, są dzisiaj różne teorie) naprawdę nie ma głosu. Nie musimy więc od niego wysłuchiwać, że rzekomo życzy nam zdrowia, a tym bardziej powodzenia w życiu prywatnym i zawodowym, chociaż owo zawodowe powodzenie polegałoby właśnie na popędzeniu ciebie gdzie pieprz rośnie i postawieniu przed Trybunałem Stanu.

Nie, nie wzruszają mnie ani trochę przekazywane przez telewizję zdjęcia, jak to podczas sejmowego opłatka marszałek Senatu Tomasz Grodzki i jego poprzednik Stanisław Karczewski szepcą coś sobie do uszek, obdarzają się serdecznymi uśmiechami i jeszcze poklepują po plecach. Za dobrze pamiętam, co przed chwilą Karczewski wygadywał o Grodzkim, i za dobrze wiem, co będzie o nim wygadywał za chwilę. Wolę pantofelka.

Albo wyobraźmy sobie, że na jakimś opłatku spotyka się nasz pan prezydent Andrzej Duda z panią sędzią profesor Małgorzatą Gersdorf. Już widzę oczyma duszy ten fryzjerski uśmiech na wygolonym obliczu pana prezydenta, ten powabny głos, jakim opowiada zazwyczaj dowcipy o ludożercach i profesorach AGH albo inne równie udane. I rozpływa się Duda, i wypiek serwuje, i wszystkiego najlepszego życzy, życzy i życzy. Powodzenia w pracy zawodowej (no, długo już, babo, pierwszą przewodniczącą Sądu Najwyższego nie będziesz), zdrowia (a żeby tak walnęło babsko kopytami w kalendarz, to by było nie najbrzydsze), wesołych świąt (już my ci je umilimy). I ślini się z serdeczności pan prezydent i sam się nadziwić nie może, że tak mu się pięknie i łaskawie powiedziało. A skądeś słychać zwierzęta ludzkim gadające głosem, pastuszków pohukiwanie i słowa kolędy dolatują:

Lulajże, przyjemna oczom gwiazdeczko,
Lulaj, najśliczniejsze świata słoneczko.
Lulajże, Jezuniu...

I pięknie jest, i czule (jak by chciała Olga Tokarczuk), rzewnie, rodzinnie i jak Polak z Polakiem. „Oj dana, dana, nie ma szatana". Nikt oczywiście nie bierze tego na serio. Pani marszałek Sejmu pędzi z opłatka na opłatek, ściska się z kim popadnie, ale to, by wyjąć wiadome listy z szuflady, jak jej sąd nakazuje, już jej nie przyjdzie do głowy, choć dla ściskanych może być ważne. Pan minister Ziobro (też nie pantofelek) może i poklepie jakiegoś uczciwego sędziego, ale wie przecież, że święta szybko mijają i odklepawszy na cudzych plecach chrześcijańską urzędówkę, będzie mógł sędziów lżyć od nowa. I tak dalej, i tak dalej. Zaiste, wolę już codzienną pyskówkę, od której nóż się w kieszeni nie otworzy, bo już przywykł i zardzewiał, od owego jednodniowego pokazu zakłamywania siebie i naiwnych w katolickiej i narodowej miłości, od której chce się rzygać, jakby wigilijne przejedzenie nie wystarczało. Doprawdy, chwała Włodzimierzowi Czarzastemu, że zdobył się na powiedzenie tego. Była to zapewne jedyna uczciwa świąteczna deklaracja, której nie zagłuszyły rzewne i bogobojne kolędy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e62bed3f48

Ochotnicy i zmobilizowani

Akowcy i żołnierze Andersa w ludowym Wojsku Polskim

Krzysztof Wasilewski

Kiedy w połowie września 1944 r. oddziały radzieckie i polskie zajęły warszawską Pragę, dołączyła do nich część żołnierzy Armii Krajowej. Stało się to możliwe dzięki odezwie, którą do podkomendnych wystosował ppłk Antoni Żurowski „Andrzej". Przedwojenny oficer, od samego początku okupacji zaangażowany w konspirację, tłumaczył w niej: „Weszliśmy w nowy okres, którego celem jest dalsza walka, aż do zwycięstwa, ze śmiertelnym wrogiem Polski, Niemcami".

Tym nowym okresem było wkroczenie 1. Frontu Białoruskiego na przedmieścia Warszawy. Żurowski ze swoim oddziałem walczył na Pradze przez trzy pierwsze dni sierpnia, po czym – za zgodą Komendy Głównej AK – ponownie przeszedł do podziemia. Szybciej niż dowódcy powstania zorientował się, że bez wsparcia Armii Czerwonej nie da się nie tylko wyzwolić Warszawy, ale także kontynuować walki zbrojnej z Niemcami. Zdaniem Żurowskiego jedynym wyjściem było wstąpienie żołnierzy AK do polskich oddziałów przybyłych ze wschodu. „Dziś, gdy na nasze tereny wkroczyło regularne Wojsko Polskie, uważamy – jako ci, którzy przez pięć lat dawaliśmy dowody swego żołnierskiego wysiłku dla Ojczyzny – za swój obowiązek żołnierski do tego wojska wstąpić, by pod naczelnym dowództwem gen. broni Roli-Żymierskiego i zwierzchnictwem PKWN zadać ostatni cios krzyżackiemu najeźdźcy!", wzywał kolegów z oddziału, kończąc odezwę słowami: „Niech żyje wolna, silna, demokratyczna Polska".

Problemy z oceną odezwy

Bez wątpienia na postawę Żurowskiego i części jego kolegów wpłynęło poświęcenie berlingowców, którzy kilka dni wcześniej próbowali forsować Wisłę. Z 2,5 tys. polskich żołnierzy uratowało się jedynie 400. Jednak z dzisiejszej perspektywy jego odezwa może się wydawać naiwna. Rzeczywiście, kilka miesięcy później Żurowski wycofał się ze swoich słów i po raz kolejny przeszedł do konspiracji. Wkrótce potem został aresztowany przez NKWD i skazany na śmierć. Ostatecznie, dzięki pomocy Mariana Spychalskiego, wyrok zamieniono mu na 10 lat więzienia, a ze wszystkich zarzutów oczyszczono go dopiero w 1958 r. Podobnych tragicznych przypadków było więcej, czy jednak przekreślają one decyzję tych żołnierzy AK, którzy postanowili wstąpić do tworzącego się Wojska Polskiego?

Historyk wojskowości Stanisław Komornicki, który sam, będąc w AK, pozytywnie odpowiedział na odezwę Żurowskiego, pisał w książce „Polacy w szturmie Berlina 1945": „Po walkach na Pradze i na przyczółkach warszawskich jesienią 1944 r. 1. Dywizja Piechoty im. Tadeusza Kościuszki została uzupełniona licznymi ochotnikami – młodzieżą warszawską, uczestnikami powstania, którym udało się przepłynąć Wisłę, ochotnikami z Pragi, żołnierzami Armii Krajowej, z których złożony był na przykład zwiad artyleryjski 1. pal, dowodzony przez ppor. »Antka« – Władysława Korczaka, oraz cały 2. batalion 1. pułku piechoty".

Jak zatem ocenić ich postawę? „Ludowe Wojsko Polskie wymyka się takim prostym klasyfikacjom. Z jednej strony powstało na rozkaz Stalina i było podporządkowane polskim komunistom, realizującym plan podporządkowania przyszłej Polski wpływom sowieckim", powiedział PAP dr Jarosław Pałka, historyk, współautor biografii gen. Michała Żymierskiego. Dodawał jednak, że „należy pamiętać, że służyły w nim dziesiątki tysięcy Polaków, którzy walczyli nie dla Stalina, ale dla Polski, i chcieli wrócić do wolnego i demokratycznie rządzonego kraju. Dla tego celu przelewali krew, lecz ich czyn zbrojny został wykorzystany politycznie. Należy oddzielić dowódców i cele przyświecające Stalinowi przy tworzeniu tego wojska od zwykłych żołnierzy walczących dla Polski i nierozumiejących uwarunkowań politycznych".

Warto w tym miejscu szerzej przywołać wypowiedź dr. Pałki, która w świetle obecnej polityki historycznej może się wydawać kontrowersyjna, a przecież stwierdza jedynie podstawowe fakty: „Musimy pamiętać, że wojsko to wyzwalało niemieckie obozy koncentracyjne i przyniosło wolność dziesiątkom tysięcy polskich Żydów. Nie zgadzam się na mówienie, że były to polskojęzyczne formacje Armii Czerwonej lub kolaboracyjne. Żołnierze walczyli na polskiej ziemi, bili się o Warszawę, potem na Wale Pomorskim, o Kołobrzeg, ale także o granicę na Odrze i Nysie".

Kiedy w połowie września 1944 r. oddziały radzieckie i polskie zajęły warszawską Pragę, dołączyła do nich część żołnierzy Armii Krajowej.

Polskie wojsko

Stygmatyzowanie Wojska Polskiego jako formacji kolaboracyjnej obraża nie tylko żołnierzy rekrutowanych spośród Polaków w ZSRR, którzy przeszli cały szlak bojowy od Lenino po Berlin, ale także członków AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy wstąpili do niego, by służyć ojczyźnie. Dołączyli oni do tysięcy rolników, dawnych właścicieli ziemskich, inteligencji czy robotników – głównie z Kresów Wschodnich – z przekonaniem, że w ten sposób powrócą do Polski. Szeregi nowego wojska zasiliły poza tym rzesze tych, których powołano do służby rozkazem PKWN z 19 sierpnia 1944 r. o „częściowej mobilizacji i rejestracji ludności do służby wojskowej".

eprasa.pl e62bed3f48

Gen. Zygmunt Berling z mieszkańcami Pragi w 1944 r.

Zgodnie z nim mobilizacji podlegały roczniki 1921-1924, dotyczyła ona również oficerów zawodowych do 60. roku życia i oficerów rezerwy lub mianowanych w partyzantce do 50. roku życia.

Wśród oficerów nowego wojska z przedwojenną i konspiracyjną kartą byli generałowie Franciszek Herman, Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Izydor Modelski, Stefan Mossor, Gustaw Paszkiewicz i Józef Kuropieska. Liczono przede wszystkim na ich doświadczenie dowódcze oraz wsparcie w kształceniu nowych kadr. Oddanie i waleczność nowych rekrutów nie mogły bowiem zastąpić przygotowania wojskowego ani doświadczonych dowódców. Byli akowcy stanowili sporą część 2. Armii WP, utworzonej rok później niż 1. Armia, idącej na Drezno. Oficerów przedwojennych, zawodowych i rezerwistów było w niej niespełna 4 tys. Jedna trzecia oficerów nie przekroczyła 25. roku życia, a prawie połowa nie miała średniego wykształcenia.

Trudne wybory

Pod koniec maja 1945 r. z inspiracji Władysława Gomułki wydano rozkaz niezwłocznego zwolnienia z więzień i obozów tych żołnierzy AK, którzy nie brali udziału w walce z władzami komunistycznymi. W czerwcu zwrócono się do Moskwy z prośbą o przekazanie wszystkich Polaków aresztowanych i wywiezionych w głąb ZSRR. Jednocześnie jednak utworzono 30-tysięczny Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego do zwalczania zbrojnego podziemia. A w Moskwie odbył się pokazowy proces 15 przywódców Polski Podziemnej.

Po sformowaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej 28 czerwca 1945 r. ograniczono liczbę radzieckich oficerów w Wojsku Polskim. Na ich miejsce przyjmowano żołnierzy z przedwojennego wojska, AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy zdecydowali się wrócić do kraju. Szacuje się, że do 1947 r. w szeregach Wojska Polskiego znalazło się ich niemal 800. Nie była to liczba znacząca, jednak biorąc pod uwagę fakt, że dowództwo Armii Krajowej zakazało wstępowania w szeregi WP, dowodzi ona współistnienia różnych postaw wśród członków tej formacji.

Skala udziału żołnierzy Armii Krajowej w ludowym Wojsku Polskim jest trudna do oszacowania. Z pewnością nie był to ruch masowy, a za każdą indywidualną decyzją stały inne przesłanki. Trudno tu mówić o sympatiach politycznych. Większość żołnierzy i oficerów chciała po prostu służyć ojczyźnie. Nie był to wybór łatwy. Z jednej bowiem strony organy bezpieczeństwa przeprowadzały czystki w wojsku, z drugiej akowcy, którzy wstąpili do Wojska Polskiego, musieli się liczyć z wrogością niedawnych kolegów.

Dają broń, to trzeba brać

Jednym z akowców, którzy wstąpili do Wojska Polskiego, był Olgierd Kowalski. Urodzony w 1927 r. na Kresach Wschodnich, w wieku 16 lat został żołnierzem 27. Dywizji Wołyńskiej AK. Gdy na tereny wschodniej Polski wkroczył 1. Front Białoruski, Kowalski po pewnym czasie zdecydował się ze swoimi żołnierzami dołączyć do 1. Armii WP. Z jego wspomnień wyłania się obraz stosunków panujących w nowo formowanych oddziałach, gdzie polityka i ideologia ścierały się z chęcią walki z niemieckim okupantem: „Pierwszym etapem był Kamień Koszyrski. Tu czekała na nas ekipa »berlingowców«. Na czele jej stał oficer polityczny. Krytycznie słuchaliśmy jego upolityczniająco-agitujących wypowiedzi. Zrażał już nas sam wygląd »komisarza«. Chętniej rozmawialiśmy z żołnierzami z jego eskorty. Byli to Polacy wywiezieni w głąb Rosji. Szybko znaleźliśmy wspólny język. Chcieli wyrwać się z »raju«. Brali udział w bitwie pod Lenino. Nie ukrywali, że dostali w dupę, że wielu wbiło sztyki *w ziemliu* i poddało się do niewoli. Mówili szczerze. Sam widziałem jesienią 1943 r. w Łucku pracujących na lotnisku kilku jeńców »berlingowców«. Prawdopodobnie przywieziono ich tam ze względów propagandowych".

Nic zatem dziwnego, że Kowalski i żołnierze z jego oddziału nie kwapili się do wstąpienia w szeregi ludowego Wojska Polskiego. Jak wspominał: „Od pierwszych dni trwał nacisk, abyśmy dobrowolnie wstąpili do armii gen. Berlinga. Rozpoczęło się od przyjazdu kilkunastu oficerów polityczno-wychowawczych. Nie kryjąc swoich poglądów, chłopcy nie tylko się bronili, lecz najczęściej atakowali, wytaczając swoje argumenty, mimo iż wiedzieliśmy, że stoimy na straconych pozycjach. Chcieliśmy, by nas przekazano armii Andersa. Składaliśmy przecież przysięgę i obowiązuje nas lojalność do Rządu Londyńskiego. Nie zgadzaliśmy się na zaanektowanie Kresów. Strzelaliśmy ich deportacjami. Na wszystko mieli wykute formułki. W końcu któryś z chłopaków się zeźlił i wykrzyknął:

eprasa.pl e62bed3f48

Żołnierze 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki brali udział w walkach o Wał Pomorski i w operacji berlińskiej.

»Politruków nam przysyłacie, przyślijcie nam księży, każdy chętnie wyspowiadałby się«. I, o dziwo, już na drugi dzień przyjechało do nas kilku księży kapelanów. Początkowo sądziliśmy, że to są przebrani enkawudyści, ale ktoś poznał znajomego księdza i sprawa się wyjaśniła. Wszyscy byli duchownymi".

Kowalski wielokrotnie relacjonuje spotkania z gen. Berlingiem. Młody żołnierz widzi w dowódcy nie komunistę, lecz realistę, który stara się wykorzystać istniejące możliwości dla dobra swoich podkomendnych. „Kiedyś pożaliliśmy się gen. Berlingowi, że wyżywienie jest niewystarczające. Generał przy nas wydał polecenie, by karmić nas, nie zważając na żadne normy", pisał Kowalski. W innym miejscu pamiętnika zanotował: „Kilkakrotnie wizytował nas gen. Berling. (...) Otaczali go żołnierze, zadawali pytania. Byłem świadkiem, kiedy powiedział mniej więcej tak: »Nic nie zwojujecie. Dają broń, to trzeba brać, a Polskę zbudujemy taką, jaką będziecie chcieli«".

Brak zaufania, brak zrozumienia

Podobne spostrzeżenia na temat Wojska Polskiego miał inny akowiec, ppor. Zbigniew Dworak. Jako chirurg brał udział w wielu akcjach, m.in. w likwidacji generała SS Franza Kutschery w lutym 1944 r., a podczas powstania warszawskiego walczył w zgrupowaniu „Radosław". Gdy nadarzyła się taka możliwość, wstąpił do Wojska Polskiego, gdzie spotykał się z różnymi postawami. We wspomnieniach z czasów służby pisał: „Żołnierze z uwagą śledzili przebieg działań na terenie Polski, walki w okolicach Warszawy i na przyczółkach. Codziennie przed wyruszeniem na ćwiczenia z zainteresowaniem słuchali porannych komunikatów wojennych, które komentowano potem w godzinach szkolenia polityczno-wychowawczego. W pogadankach omawiano sprawę nowych granic Polski, władzy ludowej i tzw. rządu londyńskiego".

Żołnierzy AK traktowano w ludowym wojsku z nieufnością, nic zatem dziwnego, że wielu wkrótce zdezerterowało z oddziałów i zaczęło się ukrywać. Jak podkreślał Dworak, „niektórzy oficerowie polityczno-wychowawczy nie odróżniali reakcyjnych kół z dowództwa AK od szeregów żołnierskich i wszystkich akowców traktowali jako element niepewny i wrogi. W pułku zaś znajdowało się wielu byłych członków AK, ludzi uczciwych i lojalnych, którzy wstąpili do wojska, by spełnić obowiązek wobec ojczyzny i walczyć z hitlerowskim najeźdźcą. Brak zaufania, z jakim się spotykali, wywoływał rozgoryczenie i w konsekwencji oddalał od władzy ludowej".

Byli akowcy stanowili sporą część 2. Armii WP, która maszerowała na Drezno.

Jednocześnie długo można by wymieniać osoby, które z AK przeszły do ludowego wojska. Dla niektórych nie był to jedynie wojenny epizod, lecz długoletnia kariera, kontynuowana także po 1945 r. Wśród nich znaleźli się m.in. Zygmunt Górka-Grabowski, podchorąży w 1939 r., żołnierz Kedywu i 27. Dywizji Wołyńskiej AK; Bruno Olbrycht, przed 1939 r. komendant Centrum Wyszkolenia Piechoty, później dowódca Grupy Operacyjnej AK „Śląsk Cieszyński", a następnie dowódca okręgu w ludowym WP w stopniu generała; Zygmunt Bobrowski, zastępca komendanta Obwodu Praga Okręgu Warszawa AK, od marca 1945 r. dowódca 41. pułku piechoty 12. Dywizji Piechoty; Bolesław Wasilewski, dowódca 5. batalionu 77. pułku piechoty AK, następnie absolwent Akademii Sztabu Generalnego.

Prawdziwie ludowe

Wojsko Polskie, określane dziś jako ludowe, co ma wskazywać jego „komunistyczny" charakter, rzeczywiście było ludowe. W jego szeregach znaleźli się bowiem przedstawiciele wszystkich grup społecznych i poglądów politycznych. „Wśród Polaków, którzy zbliżali się wtedy do Berlina, byli weterani kampanii wrześniowej 1939 r. i kampanii francuskiej 1940 r., byli wśród nich żołnierze tułacze z kraju, Polacy ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Związku Radzieckiego, Francji i Belgii, byli ci spod Narwiku, Tobruku, z Libii i spod Lenino, byli partyzanci z Polski i Francji, żołnierze armii podziemnych i tragiczni powstańcy Warszawy", opisywał szlak 1. Armii WP Stanisław Komornicki.

Czystki rozpoczęte niedługo po zakończeniu działań wojennych doprowadziły do wielu aresztowań lub dezercji, co wprost odbiło się na poziomie kadry oficerskiej. Docenienie roli i wkładu w budowę polskiego wojska tych, którzy przeszli do niego z AK lub przedwojennej armii, nastąpiło dopiero po październikowej odwilży 1956 r. Warto jednak pamiętać, że mimo wszystko wielu akowców kontynuowało swoją służbę, nie tylko awansując, ale nawet sprawując funkcje dowódcze. Ich biografie to także część historii Wojska Polskiego.

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia:
Mieczysław Juchniewicz, Stanisław Rzepski, *Piastowskim szlakiem. Z dziejów 29 pułku piechoty*, Warszawa 1966.
Stanisław Komornicki, *Polacy w szturmie Berlina 1945*, Warszawa 1971.
Wspomnienia Olgierda Kowalskiego zaczerpnąłem ze strony internetowej: www.akowcy.de

FOT. BEWPHOTO, EAST NEWS

eprasa.pl e62bed3f48

Francuz, a się nadał

Edward Mikołajczyk

Szukanie po świecie entuzjastów nie tyle polskiej, ile pisowskiej szkoły praworządności jest pewnie zadaniem nadzwyczaj skomplikowanym, skoro w całym ubiegłym roku znalazł się tylko jeden, naprawdę jeden jedyny Francuz, i to bardzo, bardzo niedzisiejszy. Nazywa się Jean-Pierre Norblin de la Gourdaine i ostatnio przebywał w Polsce ponad 200 lat temu. Typowy dla swoich czasów artysta wędrowny. *Gastarbeiter,* specjalność: malarstwo parkowe. Pracował głównie dla Czartoryskich.

Obraz Norblina (uwaga, nie należy mylić Francuza ze znanym warszawskim wytwórcą wyrobów metalowych i platerowych o tym samym nazwisku!) pod tytułem „Wieszanie zdrajców *in effigie*" został w ubiegłym roku przez prokuraturę katowicką powołany na świadka w pewnej w sprawie. I się spisał.

Po dwóch latach wożenia się z opinią publiczną śledztwo umorzono. Całymi miesiącami nic nie przychodziło śledczym do głowy, kiedy wpatrywali się w postacie sześciu odważnych bojowców, wystawionych przez cztery ugrupowania narodowe ziemi śląskiej i wyposażonych w podręczne szubieniczki oraz portrety na sznurkach do powieszenia. Po prostu pustka. Zero skojarzeń.

Dopiero genialna intuicja prokuratora generalnego naprowadziła ich na właściwy trop. Przecież to jest żywy obraz, który gdzieś widziałem! – zakrzyknął. Francuskiego malarza namierzono szybciej niż każdego z członków oddziału egzekucyjnego. Interpretacja wydarzenia jako „jedynie inscenizacji obrazu słynnego malarza" została oficjalnie zapisana w uzasadnieniu. Nie było w tym akcie artystycznym żadnej groźby przemocy. Sama w sobie inscenizacja była przejawem dopuszczalnej krytyki.

Sznurek i szubienice dość rzadko służą uprawianiu krytyki, ale jeżeli śledczy są innego zdania, wypada zmienić własny pogląd. Nie było zatem żadnej groźby w intencjach ani zachowaniach egzekutorów spod pomnika Korfantego w Katowicach. Oni sami zresztą zapowiadali, że chodzi im o wyrażenie sprzeciwu wobec pomówień przede wszystkim „zachodnich demoliberałów i ich mediów" przeciwko Polakom wyrażającym dumę w trakcie marszu niepodległości. Przez co rozumieć należy, że to ci liberałowie i ich media uchwalili w Parlamencie Europejskim w roku 2017 rezolucję wzywającą Polskę do obowiązującej w UE praworządności, w której wymieniono niesławny marsz, nawiasem mówiąc, też dobrą okazję dla dochodzeniówki, żeby przejrzeć piwnice muzealne i znaleźć coś z malarstwa lub fotografii, co narodowcy inscenizują na ulicach 11 listopada w Warszawie.

Sznurek i szubienice dość rzadko służą uprawianiu krytyki, ale jeżeli śledczy są innego zdania, wypada zmienić własny pogląd.

Dlaczego w takim razie w Katowicach nie powieszono „demoliberałów i ich mediów" z Zachodu, tylko przygotowano do egzekucji portrety polskich europarlamentarzystów, którzy głosowali za rezolucją jak olbrzymia większość?! Może śląscy sympatycy i członkowie środowisk narodowych, jak czule nazywa egzekutorów katowicka prokuratura, nie mają aktualnych zdjęć ani adresów, pod które należałoby wysłać indywidualne zaproszenia na egzekucję. Słowem, wiele było niedoróbek organizacyjnych w Katowicach, a przede wszystkim przegapiono wielką szansę odnowienia jakże pięknej, średniowiecznej tradycji wieszania czy w ogóle wykonywania kary in effigie (wyrażenie łacińskie, więc czyta się dosłownie tak, jak jest napisane, bez angielskiej napinki), czyli na wizerunku przestępcy, który umknął albo umarł.

Jean-Pierre Norblin de la Gourdaine, „Wieszanie zdrajców", 1794 r.

Przez dwa lata żyłem w przekonaniu, że w Katowicach 5 listopada 2017 r. dopuszczono do symbolicznej egzekucji. Organizatorzy mieli potrzebne pozwolenia. Policja oświadczyła, że nie było powodów do interwencji. Do równowagi powróciłem dopiero w listopadzie zeszłego roku dzięki oświadczeniu katowickiej prokuratury, która nazwała egzekucję symbolicznym happeningiem i uwolniła uczestników od odpowiedzialności karnej.

Byłem przekonany, że prokuratura ordynarnie zwleka, tymczasem okazało się, że dla szubieniczek i sznurów te dwa lata to był czas niezbędny, aby dojrzały do postaci nowych symboli. Prokuratura zadbała o zapewnienie procesowi dojrzewania odpowiedniej temperatury i spokoju. I jeszcze ten Jean-Pierre! Czy jest jakiś prokurator na świecie, który by tak kochał francuskie malarstwo parkowe?

Z tęsknoty za happeningiem chyba niedługo ogłoszę casting do tegorocznego. Nie wolno przerywać nowej i tak starannie wypielęgnowanej tradycji dochodzeniowej. ■

FOT. WIKIPEDIA.ORG

eprasa.pl e62bed3f48

12 gniewnych tytułów

Co było ważne w minionym roku, ale co wciąż warto przeczytać w nowym

Rafał Pikuła

Nie jest to lista najlepszych książek roku. Nie jest to także podsumowanie gorących premier ani topka sprzedaży znanej sieciówki. To po prostu subiektywne zestawienie 12 ważnych, inspirujących, pobudzających do refleksji i działania pozycji, które mówią coś ważnego o czasie, w którym żyjemy. Książki, które były istotne w roku 2019 i które w 2020 nie stracą na sile. To zarazem zaproszenie do lektury, bo dobra literatura może ocalać – jak pisał klasyk – włókna duszy i chrząstki sumienia. 12 tytułów na 12 miesięcy nowego roku.

1. *Internat,* Serhij Żadan, przeł. Michał Petryk, Czarne, Wołowiec

Ta skromna objętościowo książka więcej mówi o wojnie w Donbasie, ale i o wojnie w ogóle, niż liczne traktaty, rozprawy czy analizy. Ta rzecz o banalności wojennego zła wciąga i przeraża jednocześnie. Bohater Żadana, Pasza, w ciągu kilku dni przeistacza się z prowincjonalnego nauczyciela w walczącego o przetrwanie „wojennego szczura". Przemianie bohatera towarzyszą obrazy pustych domów i przepełnionych dworców, odgłosy strzałów i krzyki rozpaczy, obojętność i nadzieja. Co dla nas istotne, absurdalny dramat, w którym uczestniczy Pasza, rozgrywa się w sąsiednim kraju. Pamiętajmy, że to nie żadna daleka opowieść, zgrabnie napisana fikcja, ale tak bliska „mała apokalipsa".

2. *Nie przywitam się z państwem na ulicy,* Maria Reimann, Czarne, Wołowiec

O niepełnosprawności i niepełnosprawnych wiele napisano, ale dopiero książka Marii Reimann pozwala spojrzeć na problem z tak różnych perspektyw i tak głęboko. Autorka, poza tym, że jest antropolożką kultury, tłumaczką i współtwórczynią Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem Uniwersytetu Warszawskiego, jest także osobą niedowidzącą. Książkę przepełniają jej osobiste doświadczenia. To żaden suchy szkic, analiza czy nawet reportaż – jest osobista, napisana precyzyjnym, wciągającym językiem. Jeżeli miałbym polecić tylko jedną książkę o tym, „jak to jest być niepełnosprawnym w Polsce", byłaby to właśnie ta pozycja.

3. *Płuczki,* Paweł Piotr Reszka, Agora, Warszawa

Płuczki to doły wykopywane w okolicy byłego obozu zagłady w Sobiborze, na bagnach. W tych dołach okoliczni mieszkańcy i przyjezdni przepłukiwali ludzkie kości. O płuczkach, a raczej o ludziach, którzy tam pracowali,

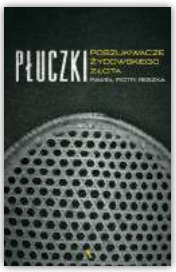

opowiada reportaż Pawła Piotra Reszki. Jest to lektura dojmująca. Nie dlatego, że traktuje o Holokauście i wielkiej, wciąż niewysłowionej tragedii z czasów II wojny światowej. Zadziwia, szokuje i przygnębia obojętność kopaczy, którzy traktowali masowe mogiły jak złotonośne pola. Autor zestawia opowieści uczestników „złotych żniw" z dokumentami, archiwami i komentarzami. Okazuje się, że może być coś bardziej porażającego niż ludobójstwo. Ludzka obojętność wobec tragedii.

4. *Powrót do Reims,* Didier Eribon, przeł. Maryna Ochab, Karakter, Kraków

Autobiograficzny esej Didiera Eribona to cierpka opowieść o wykluczeniu, kształtowaniu tożsamości i kosztach, jakie ponosi, próbując realizować siebie. W tej książce może się przejrzeć wiele osób, które mimo kiepskiego urodzenia, niesprzyjających okoliczności i braku wsparcia ze strony najbliższych spróbowały o siebie zawalczyć. Zarazem jednak esej Eribona to także fundamentalna krytyka francuskiej lewicy, która wyrzuciła na śmietnik hasła klasowe i zastąpiła je wezwaniem do emancypacji mniejszości. Lektura może pomóc zrozumieć świat wstrząsany protestami wykluczonych – od Bogoty przez Paryż po Hongkong – których zdradziła lewica.

5. *Nie zdążę,* Olga Gitkiewicz, Dowody na Istnienie, Warszawa

Reportaże komunikacyjne Olgi Gitkiewicz mówią o współczesnej Polsce, której nie widać na bilbordach. Polsce wykluczonej komunikacyjnie. To Polska mieszkańców wsi i miasteczek, którym zabrano transport publiczny. W tych miejscach problemem nie są korki ani brak miejsc parkingowych, ale codzienny trud dojazdu do pracy, lekarza czy urzędu. Autorka sprzedała samochód, by na własnej skórze doświadczyć męki milionów mieszkańców Polski powiatowej.

6. *Lekcje futbolu,* Paweł Mościcki, Wydawnictwo w Podwórku, Gdańsk

Eseje Pawła Mościckiego to jedna z tych małych książek, które w przystępny sposób opowiadają o sprawach wielkich. „Piłka nożna umie dziś mówić wielkie prawdy, zwłaszcza o tym, co nie ma z nią bezpośredniego związku", zauważa autor i ma rację. Futbol ciągle

eprasa.pl e62bed3f48

ma wielki potencjał kulturowy i może być świetną metaforą do opisania problemów związanych z edukacją, seksualnością, życiem politycznym i medialnym. Jeśli istnieje jeszcze jakiś język zrozumiały niemal w każdym zakątku globu, to jest nim właśnie piłka nożna, i nawet z tego powodu warto zajrzeć do książeczki Mościckiego.

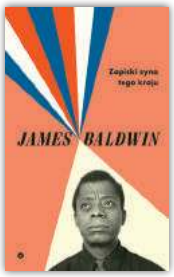

7. *Zapiski syna tego kraju,* James Baldwin, przeł. Mikołaj Denderski, Karakter, Kraków

Wiele z tych esejów trafiło do kanonu literatury XX w. i stało się punktem odniesienia dla kolejnych pokoleń pisarek i pisarzy. Siła i piękno głosu Baldwina wciąż poruszają. Nareszcie polski czytelnik mógł się zapoznać z wyborem szkiców, które chociaż powstawały przez lata i przed laty, nadal każą się zastanowić nad sytuacją świata. Znajdziemy tu szkice poświęcone afroamerykańskiej literaturze i kinematografii oraz przejmujące eseje, w których Baldwin w wyjątkowy sposób łączył zapis osobistego doświadczenia z refleksjami na temat polityki, amerykańskiego i europejskiego społeczeństwa oraz naznaczonych piętnem niewolnictwa i apartheidu relacji między czarnymi i białymi.

8. *Stramer,* Mikołaj Łoziński, Wydawnictwo Literackie, Kraków

Książka, która zdobyła serce czytelników i recenzentów. Na pierwszym poziomie to świetnie napisana powieść o rodzinie Stramerów, z historią Żydów z Tarnowa w tle. Fenomenalny warsztat autora sprawia, że niemal czujemy się, jakbyśmy chodzili po żydowskiej dzielnicy, byli domownikami Stramerów. Na drugim poziomie to uniwersalna opowieść o niekończącej się historii, o wiecznych iluzjach, niespełnieniach i marzeniach. Ludwig Wittgenstein miał powiedzieć, że książka może być bardziej rzeczywista niż rzeczywistość. Tak jest ze „Stramerem".

9. *Praca bez sensu,* David Graeber, przeł. Mikołaj Denderski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa

Na pytanie: „Czy Twoja praca daje światu coś sensownego?" aż 37% Brytyjczyków i 40% Holendrów odpowiada, że za istnieniem ich zajęcia nie przemawia nic. Czy myślisz, że twoja praca ma znaczenie? Jeśli uważasz, że nie, to prawdopodobnie masz rację – i należysz do coraz większego grona osób wykonujących zawody, które nie mają żadnego sensu. Późny kapitalizm nie pozostawia złudzeń: większość prac, jakie wykonujemy, to zajęcia śmieciowe, które nie tylko nie dają nam poczucia spełnienia, ale też często szkodzą środowisku i społeczeństwom. Rozprawa Davida Graebera nie tylko zwraca uwagę na fenomen nic niewartych prac, ale przede wszystkim jest smutną refleksją o tym, jak ukradziono nam pracę, jak odebrano jej godność. Lektura dla każdego.

10. *Nadzieja w mroku. Nieznane opowieści, niebywałe możliwości,* Rebecca Solnit, przeł. Anna Dzierzgowska, Sławomir Królak, Karakter, Kraków

Rebecca Solnit to jeden z najważniejszych umysłów dzisiejszych czasów. Jej najnowszy zbiór – podobnie jak wcześniejszy „Mężczyźni objaśniają mi świat" – znów stawia fundamentalne pytania dotyczące stanu współczesnego świata. Jaką siłę ma jednostka, czy efekt motyla naprawdę istnieje, jakie pokłady szlachetności i odwagi w nas drzemią. Książka daje nadzieję. Jest kroniką zakończonych częściowym lub całkowitym sukcesem przedsięwzięć podejmowanych przez mniejsze i większe grupy ludzi, którzy chcieli zburzyć istniejący porządek i zmienić świat na lepszy – od upadku muru berlińskiego i rewolucji zapatystów, poprzez marsze alterglobalistów, jaśminową rewolucję, aż po niebywałe akty solidarności i pomocy okazywanej w sytuacji klęsk żywiołowych lub nieoczekiwane zwycięstwa ekologów w walce o czystą energię. Książka jest zarówno manifestem, jak i literacką pochodnią w tych mrocznych czasach.

11. *Każdemu jego śmietnik. Szkice o śmieciach i śmietniskach,* praca zbiorowa, Czarne, Wołowiec

Książkowy patchwork, zbiór mniej lub bardziej udanych refleksji znanych autorów – od Krzysztofa Środy, poprzez Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Pawła Dunina-Wąsowicza, po Urszulę Zajączkowską – na temat śmieci. Jeśli książka jako całość ma fragmenty lepsze i gorsze, to jako punkt odniesienia do ważnego, narastającego problemu śmieci jest ważna i warta przeczytania. Trochę patetycznie rzecz ujmując, jeśli umrzemy, to czy jesteśmy księgową w małej firmie na Podlasiu, czy poczytnym autorem ze stolicy, pozostaną po nas śmieci. Parafrazując znane powiedzenie, miarą człowieczeństwa jest nasz stosunek do śmieci. Obyśmy ten egzamin zdali, bo nie będzie po czym sprzątać.

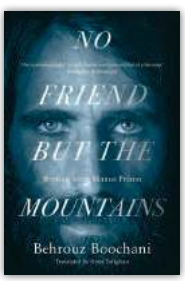

12. *No Friend but the Mountains,* Behrouz Boochani, Picador, Australia

Na koniec książka, która nie jest dostępna po polsku, ale w wersji anglojęzycznej wędruje po świecie. Tak jak jej autor, uchodźca osadzony na wyspie Manus, który próbował znaleźć azyl w Australii. Behrouz Boochani nie poddał się i poprzez aplikację WhatsApp, wysyłając fragmenty w postaci setek wiadomości tekstowych, podyktował książkę. To pamiętnikarski zapis pobytu na wyspie, połączony z komentarzem politycznym. Boochani opisuje horror pobytu w obozie dla uchodźców. Za „No Friend but the Mountains" autor dostał najważniejszą nagrodę literacką w Australii, ale będąc uwięzionym, nie mógł jej odebrać osobiście. Dziś – dzięki rozgłosowi, jaki przyniosła mu książka – cieszy się wolnością w Nowej Zelandii. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e62bed3f48

KURTYNA W GÓRĘ

SZCZĘŚLIWA LISTA

Kiedy mama po raz pierwszy próbowała popełnić samobójstwo, jej siedmioletni syn zaczął tworzyć listę rzeczy, które mogą przynieść radość i być powodem, że nazajutrz chce się wstać z łóżka. Objaw samoobrony przed spotkaniem ze śmiercią. Pokazał listę mamie, ale nigdy o tym nie rozmawiali. Potem wciąż ją uzupełniał, niszczył, uzupełniał, aż urosła do miliona powodów – od lodów waniliowych po… Szczerze mówiąc, nie zapamiętałem, pozostając w niemym podziwie dla Rafała Mohra, który zapamiętał ich bez mała setkę z rozmaitymi przypisanymi im numerkami, za których pomocą wywoływał widzów do odczytania (z wcześniej rozdanych karteczek) potrzebnych w danej chwili zapisów.

Duncan Macmillan, autor „Wszystkiego, co najlepsze", zdobył już polską publiczność „Tchnieniem" (Teatr Narodowy), a teraz potwierdza swój talent monodramem, który w wykonaniu brytyjskiego komika Jonny'ego Donahoe zyskał rozgłos. W Polonii mierzy się z tym monologiem Rafał Mohr, wciągając publiczność do działania. To wymagająca forma, wiadomo, że widzowie bywają oporni, nie zawsze gotowi do współpracy z aktorem albo nadmiernie kreatywni. Mohr ma jednak dar pozyskiwania sympatii widzów, dzięki czemu tworzy się interesujące wspólnictwo widowni i sceny w snuciu tej niełatwej opowieści o zmaganiach z depresją i pokusą samobójstwa. Jak się okazuje, o tym poważnym problemie można mówić dowcipnie, z czułością i bez nadęcia. Podwójny udany debiut w monodramie: wykonawcy i reżysera.

Tomasz Miłkowski

Duncan Macmillan, Jonny Donahoe, „Wszystko, co najlepsze", tłumaczenie i reżyseria Piotr Złotorowicz, Teatr Polonia, scena Fioletowe Pończochy, premiera 14 grudnia 2019

KAŻDY MA DIABŁA ZA SKÓRĄ

Adaptacja „Biesów" Dostojewskiego jest przedstawieniem niełatwym, bo wszystko dzieje się w jednym miejscu i czasie, choć to tylko iluzja. Na scenie mamy dwadzieścioro identycznych drzwi, przez które wkraczają na zmianę różne postacie dramatu i wygłaszają swoje kwestie. Powstaje kakofonia monologów i dialogów, więc z trudem się orientujemy, co było przedtem, a co potem. Jest mowa o Bogu, o rozpuście, okrucieństwie, przemocy, władzy, donosach, spiskach. Dwie osoby szykują się do samobójstwa. A jednak przedstawienie jest w jakiś sposób piękne, bo grane z najwyższym napięciem i furią, w niebanalnej, świetnie zaaranżowanej światłami i animacjami scenografii imitującej dwa rzędy drzwi. Są to jakby wyjścia z piekła, przez które wchodzą i wychodzą postacie zdeformowane przez diabły. Coś dla smakoszy.

Bronisław Tumiłowicz

Fiodor Dostojewski, „Biesy", tłumaczenie Tomasz Zagórski, adaptacja i reżyseria Janusz Opryński, wizualizacje Aleksander Janas, scenografia Jerzy Rudzki, kostiumy Katarzyna Stochalska, Teatr Dramatyczny, Scena na Woli, premiera 13 grudnia 2019

ZASŁUCHAJ SIĘ

Stanisław Moniuszko

Cantatas: Milda/Nijoła

Chór Opery i Filharmonii Podlaskiej, Orkiestra Filharmonii Poznańskiej

DUX

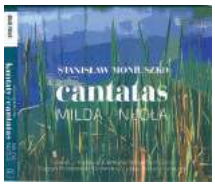

Nazwano je litewskimi perełkami, bo to ani opery, ani pieśni, choć można by je wystawić na scenie. Akcja toczy się tutaj wolno, a bohaterowie ze starych, pogańskich legend litewskich wypowiadają się sporadycznie. Większość tekstu wyśpiewują muzyczni narratorzy. Ale muzyka jest piękna, prawdziwie romantyczna. Libretto stworzył najpłodniejszy pisarz tego czasu, Józef Ignacy Kraszewski, specjalnie na zamówienie kompozytora. Kantat Moniuszki nie wykonuje się często, nagrań zaś nie było wcale. Chwała Łukaszowi Borowiczowi, niestrudzonemu propagatorowi muzyki polskiej, że zrealizował je z najlepszym polskim Chórem Opery i Filharmonii Podlaskiej oraz doskonałą orkiestrą Filharmonii Poznańskiej. Na dwóch płytach mamy „Mildę" i „Nijołę".

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Aleksander R. Michalak

Denar dla Szczurołapa
Wąż z Lasu Cedrowego

Replika, Poznań 2018, 2019

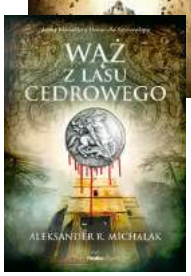

Gabora Horthyego igraszki z diabłem to wymarzony materiał na kino przygodowe – erudyta zabijaka rozwiązuje zagadki historyczno-demonologiczne, podpadając przy tym tajemniczej i bardzo potężnej rodzinie van der Heimów. Malownicza sceneria: Tybinga, Oksford czy Bejrut, cmentarze i ruiny, pościgi i bijatyki, czające się zło... Ale byłyby to filmy w starym stylu, z męskiej perspektywy – z prawdziwą, męską przyjaźnią, a kobietami w wersji ozdóbka (do kochania i/lub sypiania) lub narzędzie mrocznych sił. Jest nawet blondynka, która lezie, gdzie nie powinna, i naraża bohatera. A ten, naznaczony cierpieniem jak jego twarz blizną, deklaruje: ukochana, dla twojego dobra odmówię sobie twojej miłości – ale seksu tak w ogóle to nie, wszak mężczyźni mają swoje potrzeby. Prosty a genialny pomysł, jak może sobie jeszcze pobzykać, i to w aurze męczeństwa. I już ostatnia złośliwostka: wśród starych ksiąg wartych studiowania jest też słownik poprawnej polszczyzny… *Aleksandra Pańko*

eprasa.pl e62bed3f48

NA EKRANACH

KOTY

reż. Tom Hooper, prod. USA, już w kinach

„Koty" mogą usatysfakcjonować wyłącznie widzów, którzy lubią traktować kino jak filharmonię i w czasie seansu zamkną oczy, by oddać się słuchaniu muzyki. Film Toma Hoopera to nic więcej jak zbiór piosenek wyśpiewanych przez gwiazdę estrady Taylor Swift (to ona odświeża kultowe „Beautiful Ghosts") i czołowych idoli Hollywood – Jennifer Hudson (śpiewa megahit „Memory"), Iana McKellena, a nawet Judi Dench, która w 1981 r. miała się wcielić w kluczową postać Grizabelli w „Kotach" na West Endzie, ale 10 dni przed premierą zerwała ścięgno Achillesa. O ile sceniczna adaptacja zapisała się w historii teatru złotymi zgłoskami (nie schodziła z afisza przez 21 lat), o tyle film aspiruje do tytułu najgorszego w dziejach. Historii tu nie uświadczymy, scenariusz ograniczał się chyba do wyliczenia kolejności, w której koty śpiewają, a efekty specjalne to przykład najgorszego zespolenia aktorów z technologią. Ludzkie twarze, do których dolepiono kocie futra i ogony, to widok tak odpychający, że można dostać uczulenia na sierść. Słuchanie tego filmu – koi, oglądanie – boli.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

JAN HRYNKOWSKI
Opowieść artysty

Bohaterem nowej wystawy w krakowskim Muzeum Narodowym jest Jan Hrynkowski (1891-1971), malarz, grafik, scenograf i animator życia artystycznego, ale ekspozycja ta stanowi także próbę spojrzenia jego oczyma na wybrane zagadnienia naszego życia artystycznego w pierwszej połowie XX w. Wszystko dzięki archiwum artysty obejmującemu dokumenty, zdjęcia i teksty poświęcone dziejom awangardowych twórców. Pracom Jana Hrynkowskiego towarzyszy sztuka jego nauczycieli i kolegów – najwybitniejszych artystów XX w.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, GMACH GŁÓWNY, DO 20 MARCA

WŁADYSŁAW HASIOR
Prekursor polskiego pop-artu

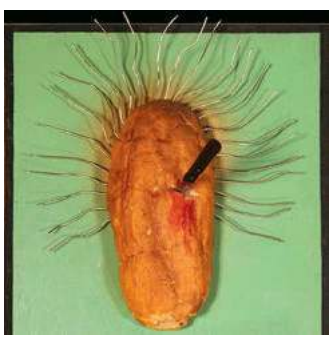

„Gdy analizuje się dorobek Władysława Hasiora, uderza jego wszechstronność. Artysta jest znany publiczności przede wszystkim jako twórca asamblaży, które sam traktował jako trening wyobraźni swojej i odbiorców. Przestrzeń była dla niego inspiracją w tworzeniu, zdarzało mu się z nią igrać jak w niemym, kontrowersyjnie dedykowanym pomniku na przełęczy Snozka. Rzeźby Hasiora nigdy nie były statycznymi monumentami. Angażowały nie tylko wzrok, ale także słuch, a przede wszystkim emocje".

WARSZAWA, GALERIA OPERA W TEATRZE WIELKIM – OPERZE NARODOWEJ, DO 8 MARCA

SERIAL

NOWY PAPIEŻ

Pamiętacie „Młodego papieża?". Akcja „Nowego papieża" rozpoczyna się tuż po wydarzeniach z ostatniego odcinka pierwszej serii, kiedy Lenny Belardo (Jude Law), czyli Pius XIII, zapada w śpiączkę. Po niespodziewanym i tajemniczym zwrocie akcji sekretarzowi stanu Voiellowi (Silvio Orlando) udaje się osadzić na Tronie Piotrowym sir Johna Brannoxa (John Malkovich) – angielskiego arystokratę, który przyjmuje imię Jana Pawła III. To wybór idealny, ale nowy papież ma tajemnice i pewną słabość. Kościół boryka się z atakami ze strony oponentów i skandalami i jak zwykle nic w Watykanie nie jest takie, na jakie wygląda. Pomysłodawcą i reżyserem wszystkich odcinków serialu jest Paolo Sorrentino, a gościnnie występują Sharon Stone i Marilyn Manson.

HBO GO OD 10 STYCZNIA,
HBO OD 14 STYCZNIA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI,

eprasa.pl e62bed3f48

Zlikwidować Rohingów

Bestialstwo żołnierzy i cywilów w Birmie wykraczało poza i tak straszne doświadczenia mieszkańców rohińskich miejscowości

Marek Rabij

Blizny pooparzeniowe na dłoniach utrudniają Momtaz Begum przygotowanie posiłków dla siebie i córki. Balukhali, grudzień 2018 r.

Co się wydarzyło 30 sierpnia 2017 r. w Tula Toli? Oficjalne zapewnienia władz birmańskich o operacji militarnej przeciwko partyzantom ARSA można z góry uznać za niewiarygodne. Separatystką z pewnością nie była przecież ani siedmioletnia Roziya, córka Momtaz Begum, ani liczący niespełna miesiąc synek Roshidy Begum (Begum to nie nazwisko, co sugerowałoby pokrewieństwo, lecz popularny żeński przydomek. Często stosowane są też przydomki Khatum i Akter). Wcześniejsze wizyty wojska we wsi i poranna mobilizacja sołtysa, który nakłaniał sąsiadów do pozostania w domach, każą jednak założyć, że masakra nie była także spontanicznym wybrykiem uzbrojonych degeneratów. Dla moich rozmówców oczywiste było jeszcze jedno: bestialstwo, jakim w Tula Toli wykazali się żołnierze i wspierający ich cywile, wykraczało poza i tak straszne doświadczenia mieszkańców większości rohińskich miejscowości. (…)

Im głębiej wgryzałem się w wydarzenia tamtego dnia, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że zbrodnia w Tula Toli była swoistym pokazem możliwości. Wieś miała zginąć po to, żeby żaden muzułmanin w Arakanie nie czuł się odtąd bezpiecznie.

Rozmówców, z którymi mógłbym skonfrontować moje podejrzenia, na szczęście nie brakowało. Miałem w pamięci słowa tłumacza o Rohingach, którzy w obozach próbują odbudować dawne społeczności i osiedlają się obok odnalezionych sąsiadów. Natrafiwszy na jednego byłego mieszkańca Tula Toli, natychmiast sprawdzałem okoliczne domostwa. (…)

Na szczycie wzgórza, u stóp którego mieszkała Momtaz z Roziyą, spotkałem w ten sposób Khaledę z wiecznie nieobecnym mężem („poszedł do lasu po drewno", słyszeliśmy podczas każdej z czterech wizyt) i dziesiątką dzieci. Jeśli nie liczyć dziadków, zbyt starych, by uciekać, cała rodzina wyszła nietknięta z masakry w Tula Toli właśnie za sprawą matki, która wysłuchawszy o poranku mętnych wyjaśnień sołtysa, natychmiast zebrała dzieci i uciekła w pobliskie góry.

– Wojskowi lub pogranicznicy wiele razy przychodzili do wsi bez ostrzeżenia i robili, co chcieli. Palili lub rabowali domy, zabijali albo zabierali nam zwierzęta. Bili ludzi. Czasem nawet mordowali. A teraz mieliby się tu fatygować jedynie po to, żeby zapewnić nas, że nic nam nie grozi? – tłumaczyła, gestykulując wolną ręką, podczas gdy drugą przytrzymywała najmłodsze dziecko. – Nie, to mi się od razu wydało podejrzane.

Mozolnie gromadziliśmy kolejne informacje, odsiewając plotki od faktów. Tłumacz doradzał ostrożność, wręcz nieufność. Nazwa Tula Toli, jak mówi, pojawia się także w relacjach Rohingów, którzy tam nie mieszkali. Ludzie opowiadają sobie te okropności i każdy dodaje do nich coś od siebie. (…)

36-letnia Noor Lasima, do której trafiamy w obozie Kutupalong, ma tylko lewe oko. Prawe wypłynęło od uderzenia zbłąkanej kuli, która zostawiła też szramę na skroni kobiety, zaznaczając przy okazji kierunek lotu. Noor cierpi od tamtej pory na ostre napady migreny. Na szczęście zachowała zdolność krytycznej obserwacji rzeczywistości.

– Wiele rodzin dotarło do Bangladeszu w całości. Niektóre straciły dwóch, trzech członków, najczęściej mężczyzn. Tymczasem moja liczyła 28 osób, ale przeżyło nas jedynie ośmioro, w tym tylko jedno dziecko. Mężczyźni zginęli co do ostatniego. I prawie każdy z Tula Toli opowie ci podobną historię.

W relacjach Rohingów coraz częściej pojawia się także nazwa Sauprang Fara. Wieś, w której – jak mówią ocaleni z Tula Toli – mundurowi

Pojedyncze mordy, podpalenia, grabieże i gwałty są nadal na porządku dziennym. Rohingom zakazano uprawy pól i odebrano większość żywego inwentarza.

eprasa.pl e62bed3f48

także posunęli się do wyjątkowego bestialstwa. Wielu uciekinierów nie zna szczegółów, słyszeli jedynie, że miejscowość „została upokorzona" lub „zhańbiona". Kilka miesięcy później, podczas mojej kolejnej wizyty w obozach, jedna z mieszkanek tej wsi z detalami opowie, co się tam wydarzyło.

Senuwara Begum ma 18 lat (…). 18-letnie matki nie należą w społeczności Rohingów do rzadkości. Zdarzają się nawet młodsze i zazwyczaj niezgorzej wywiązują się ze swoich obowiązków. Senuwara sprawia wrażenie kobiety, która nie tylko uniosła ciężar wczesnego macierzyństwa, ale wręcz realizuje się w tej trudnej roli. (…)

– Było tuż po czwartej nad ranem – rozpoczyna. – Obudziły mnie strzały i krzyki dobiegające jednocześnie z kilku stron wsi. To nie mogli być złodzieje. Żołnierze nie pierwszy raz atakowali Sauprang Fara. Puścili nas z dymem w 2012 r. i trzy lata później, znów podczas akcji przeciwko tajemniczym arakańskim separatystom, których nikt u nas nigdy nie widział. Ale tym razem było inaczej. Otoczywszy miejscowość, żołnierze zaczęli wyciągać mieszkańców z domów i oddzielać mężczyzn od kobiet.

Spędzili nas wszystkie w jedno miejsce na skraju wsi, skąd niedaleko było do lasu. Już świtało i w porannym słońcu zaczęli wybierać młode dziewczyny, a starszym kobietom kazali uklęknąć z rękami założonymi na karku. Następnie podzielili nas na kilka mniejszych grup. Z tej, w której się znalazłam, odseparowali jakieś 40. Otoczyli kordonem i rozkazali iść w stronę lasu. Próbowałam się uspokoić, bo strach zaczynał udzielać się dziecku, ale to było ponad moje siły. Nie wiedziałam, gdzie jest mój ojciec i co się dzieje z mężem. Zaczęłam płakać. I wtedy – dopiero w tym momencie głos Senuwary zaczyna zdradzać oznaki emocji – żołnierze wyrwali mi córkę. Nie zdążyłam nawet zaprotestować. Dziecko po prostu zniknęło mi z oczu pośród ich hełmów, a nas pognali dalej.

W lesie kobiety podzielono na kilkuosobowe grupy.

– Mnie i jeszcze chyba trzy dziewczyny zaprowadzili na małą polankę – ciągnie Senuwara. – Przywarłyśmy do siebie, lecz w momencie, kiedy chciałyśmy się chwycić za ręce, dwóch żołnierzy złapało mnie za nadgarstki i rozłożyło na trawie. Trzeci wlazł na mnie i zaczął rozbierać. Zesztywniałam z przerażenia. Chciałam wołać pomocy, ale z gardła wydobyło mi się tylko ciche *Ya'Allah* (o Boże!).

Wówczas ten, który był już we mnie, warknął: Stul pysk. Ja tu jestem teraz bogiem.

Było ich potem jeszcze czterech. Prawdopodobnie, bo po kolejnym gwałcie Senuwara Begum utraciła kontakt z rzeczywistością.

– Czułam się, jakbym miała wysoką gorączkę. Słyszałam, widziałam i czułam, ale jednocześnie wszystko docierało do mnie w bardzo ograniczonym stopniu. Jak przez mgłę pamiętam gwałcicieli, zostały mi też w głowie jakieś strzępy zapachu, pojedyncze zdania. W końcu straciłam przytomność. (…)

Podczas ucieczki do Bangladeszu wielu Rohingów ucierpiało od min przeciwpiechotnych, których wojsko używa przeciwko partyzantom. Kutupalong, grudzień 2018 r.

Musiało minąć kilka godzin, bo popołudniowe słońce już nie stało wysoko na niebie. Drzewa rzucały coraz dłuższe cienie. Zrobiło się też nieco chłodniej i być może to zimno sprawiło, że Senuwara wróciła do przytomności. (…) Z trudem podniosła się z ziemi i kiedy poprawiała ubranie, zobaczyła, że kilkanaście metrów dalej w trawie leży półnagie ciało.

– To była dziewczyna na oko z pięć lat starsza ode mnie. Uda i podbrzusze miała umazane zakrzepłą brązową krwią. Schyliłam się, żeby przynajmniej zakryć jej łono i wtedy dostrzegłam ślady zębów na jej piersiach i szyi. Prawie zwymiotowałam.

Z 40 kobiet uprowadzonych z Sauprang Fara każda została zgwałcona co najmniej raz. Ludzie ze wsi, którzy pod wieczór wrócili do częściowo spalonej miejscowości, o świcie następnego dnia poszli do lasu po zwłoki, by pochować je zgodnie z wymogami islamu, czyli jak najszybciej. Pomiędzy drzewami znaleźli siedem martwych dziewcząt. Najmłodsza za kilka tygodni miała skończyć 13 lat. Trzy ciała nosiły ślady ugryzień, które bez cienia wątpliwości zostawiły ludzkie zęby.

– Błąkałam się po tym strasznie cichym lesie jeszcze kilka godzin – mówi Senuwara. – Wydawało mi się, że nie mam prawa żyć dalej, bo ktoś tak zbrukany nie powinien już nigdy mieszkać wśród ludzi, dotykać dzieci, przyrządzać jedzenia bliskim. Porwałam nawet ubranie i próbowałam się powiesić, ale byłam na to za słaba. Poza tym wciąż kołatały się we mnie strzępy nadziei, że moja córeczka żyje. Po kilku godzinach to uczucie zwyciężyło.

Pod wieczór odważyłam się wrócić do wsi. W jednym z ocalałych domów ukrywały się starsze kobiety. Zabrały mnie, opatrzyły i dały pić. Trzęsłam się od płaczu całą noc. Ale nad ranem wydarzył się cud: jedna z tych kobiet wróciła do chaty z moją córeczką! (…)

Już w Bangladeszu, sześć dni później, lekarze europejskiej organizacji humanitarnej zdiagnozowali u Senuwary ostry stan zapalny dróg rodnych. W tym miejscu i w tym czasie dla ginekologów oznaczało to jedno: podejrzenie gwałtu. Niektóre zgwałcone mówiły lekarzom, co je spotkało, inne nie potrafiły wyrzucić

eprasa.pl e62bed3f48

z siebie tej trudnej prawdy, zwłaszcza gdy badał je mężczyzna. Nauczeni doświadczeniem lekarze wszystkim kobietom z urazami pochwy proponowali zatem pigułkę wczesnoporonną, nie oglądając się na potencjalne konsekwencje ze strony rządu bangladeskiego, który z pobudek ideologicznych nie toleruje aborcji.

– Lekarka powiedziała, że mogę być w ciąży. Spytała też, czy zdaję sobie sprawę, że psychicznie nie wydobrzeję tak szybko jak fizycznie i że może mi być przez to trudno przyjąć dziecko z gwałtu. Nie rozumiem tego do dzisiaj. A czemu winne jest dziecko? Odmówiłam zażycia pigułki, a 11 miesięcy temu urodziłam piękną córkę. (…)

•

Po spotkaniu z Senuwarą byłem już właściwie pewny, że za pytaniem o to, co miało miejsce 30 sierpnia 2017 r. w Tula Toli, musi pójść następne – także o to, co naprawdę wydarzyło się wczesną jesienią tego roku w północnym Arakanie zamieszkanym w większości przez muzułmanów. Sauprang Para była tylko jedną z kilkunastu miejscowości, w których gwałty na miejscowych kobietach wyglądały na element z góry zaplanowanego scenariusza. Naoczni świadkowie cytowali rozmowy między żołnierzami i strażnikami pogranicza, którzy przekazywali sobie rozkazy „upodlenia" muzułmańskich kobiet. 47-letnia Noor Begum ze wsi Sou Dyi Taung koło Buthidaungu w obozie Kutupalong ze spokojem godnym zawodowego reportera relacjonowała wydarzenia, których świadkiem była we wrześniu 2017 r.

– To byli ludzie z BGP, straży granicznej, ok. 150. Przyjechali do wsi mniej więcej koło południa, ze cztery dni po święcie ofiarowania. Byli spokojni, żadnego strzelania ani wrzasków. Kazali tylko zebrać się wszystkim mieszkańcom na placu koło madrasy (szkoły koranicznej), którą zdemolowali kilka miesięcy wcześniej. Wzięli na bok naszego sołtysa i coś mu długo tłumaczyli. Kiedy do nas wrócił, był blady jak ściana. Wyjaśnił, że wraz ze starszyzną wsi ma wskazać ok. 30 młodych dziewcząt, które mundurowi zabiorą jako zakładniczki na wypadek, gdyby komuś we wsi przyszło do głowy wspierać ARSA. Jak się nie zgodzimy, dziewczyny wybiorą i tak sami, ale wtedy całą miejscowość puszczą z dymem.

Ostatecznie, jak mówi Noor, wybrano 25 urodziwych kobiet w wieku od 16 do 27 lat. Pogranicznicy zapakowali je na samochody.

– Stałam obok, gdy zaganiali je do ciężarówek – ciągnęła kobieta – i wyraźnie słyszałam, jak dowódca mówił tym, którzy je zabierali, że jak już się z nimi uwiną, mają je przywieźć z powrotem do wsi, bo reszta mieszkańców musi zrozumieć, że żarty się skończyły. Dwie inne osoby, które podobnie jak ja rozumieją birmański, usłyszały to samo, więc mowy nie ma o nieporozumieniu. A dziewczęta faktycznie wróciły jakieś trzy godziny później. Tylko 17. Z większością ciężko się było porozumieć, bo albo trzęsły się jak trzcinki na wietrze, albo miały nieobecny wzrok. Ale cztery powiedziały nam, co się stało. Zawieźli je do jakiejś bazy wojskowej. Tam żołnierze rozebrali wszystkie do naga i puścili pomiędzy barakami, jak zwierzynę. Żołnierze urządzili sobie na nie polowanie. Większość dziewcząt została wielokrotnie zgwałcona. Kilka kobiet zaciekle się broniło. One nie wróciły.

Rohinki, które zdołały dotrzeć do Bangladeszu, masowo raportowały pracownikom zagranicznych organizacji humanitarnych o aktach gwałtu (Z danych International State Crime Initiative, międzyuczelnianej kooperatywy prawniczej zrzeszającej m.in. Uniwersytet Harvarda i Queen Mary University of London, wynika, że 70% Rohinek, z którymi wysłannicy ISCI odbyli rozmowy w listopadzie 2017 r. w obozach w Bangladeszu, bądź bezpośrednio doświadczyło gwałtu, bądź było ich świadkami). (…)

Z relacji kobiet i mężczyzn, którzy przeżyli exodus, a następnie dotarli do Kutupalong, Balukhali, Teng Khali czy Nayapara, wyłaniał się zatem obraz działań, dla których adekwatnym określeniem jest ludobójstwo. ONZ i społeczność międzynarodowa twardo trzymały się jednak stanowiska, że jesienią 2017 r. na pograniczu Birmy i Bangladeszu doszło do czystek etnicznych. Nie ulegało wątpliwości, że setki tysięcy Rohingów w krótkim czasie zmuszono do opuszczenia małych ojczyzn, a wraz z ludźmi zniknęły całe miejscowości, siatka powiązań społecznych, zwyczaje i wierzenia. Również zagraniczne media, relacjonując wydarzenia z jesieni 2017 r., powtarzały zaczerpniętą nie wiadomo skąd informację o 100 tys. zabitych, rzekomo niezbędnych do formalnego uznania zbrodni za ludobójstwo. Tak jak Rohingowie w Birmie przez lata na siłę próbowali wtłaczać kolejne podpalenia „dwóch czy trzech domów" w ramy coraz dziwniejszej normalności, tak teraz społeczność międzynarodowa mydliła sobie oczy, próbując przekonać samą siebie, że na pograniczu bangladesko-birmańskim nie doszło do ludobójstwa.

Bilans ofiar śmiertelnych rósł tymczasem z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc. Pod koniec lutego 2018 r., gdy po raz pierwszy pojawiłem się w obozach, rohińska starszyzna kolportowała wśród wizytujących obozy cudzoziemców memorandum, w którym szacowała ofiary na ok. 10,6 tys. zabitych. Pół roku później liczba ta wzrosła już do 22-25 tys., i to z zastrzeżeniem, że nadal są to szacunki raczej zaniżone. Dowodem śmierci były zazwyczaj zeznania naocznych świadków, ewentualnie zgłoszenie długotrwałego braku kontaktu z zaginionym członkiem rodziny. Sami Rohingowie przyznawali jednak, że taka metoda obliczeń jest obarczona olbrzymim marginesem błędu. Aby zgłosić zaginięcie pozostałych, przy życiu musiał przecież pozostać przynajmniej jeden członek rodziny.

Pewnego potwornie upalnego marcowego popołudnia umówiłem się na rozmowę z *mahji*, czyli sołtysem jednego z tysięcy obozowych okręgów, którego zadaniem była piecza nad około setką rodzin i reprezentowanie ich przed władzami obozowymi. (…) Zapytałem go wprost, co myśli o liczbie 10,6 tys. zabitych.

– Policz sam – odpowiedział Sali Bakir po chwili zastanowienia. – Wiemy, że wojsko spaliło całkowicie ok. 350 miejscowości. Możemy założyć, że w każdej z nich mieszkało średnio po 2,5 tys. osób, co razem daje

Wojskowi lub pogranicznicy wiele razy przychodzili do wsi bez ostrzeżenia i robili, co chcieli. Palili lub rabowali domy, bili ludzi, czasem mordowali.

eprasa.pl e62bed3f48

18-letnia Senuwara Begum z córeczką będącą owocem gwałtu, jakiego dopuścili się birmańscy żołnierze. Kutupalong, grudzień 2018 r.

jakieś 900 tys. ludzi. W moim okręgu, podobnie zresztą jak w innych, ludzie szacują, że do Bangladeszu nie zdołał dotrzeć co piąty mieszkaniec, ale załóżmy ostrożnie, że przesadzają i że śmiertelność była dwukrotnie mniejsza. Ostatecznie wychodzi jednak jakieś 90 tys. zabitych. A przecież wiemy też, że w wielu małych osadach przy życiu nie została nawet jedna osoba. (…)

– Dlaczego w takim razie wasza starszyzna publikuje zaniżone dane? – drążyłem.

Sali podrapał się po szpakowatej brodzie.

– Może dlatego – odpowiedział znów po namyśle – że nadal liczą na jakieś porozumienie z rządem Birmy, które pozwoliłoby nam bezpiecznie wrócić do domów? Może myślą, że im mniejsza będzie odpowiedzialność władz za zbrodnie, tym łatwiej takie porozumienie wypracować?

Nie można wykluczyć, że architektom mordu rzeczywiście nie zależało na eksterminacji wszystkich Rohingów. Operacje pacyfikacyjne, które co kilka lat wojsko przeprowadzało w Arakanie, miały jednak na celu wyrwanie rohińskiej wspólnoty z ziemi, którą zamieszkiwała od stuleci. *Rohinga koum* (Lud Rohinga – tak mówią o sobie sami Rohingowie pytani o to, czy uważają się za naród czy jedynie grupę etniczną) mieli jednak zniknąć stamtąd nie tylko w aspekcie czysto fizycznym. To samo miało spotkać ich tożsamość zbudowaną na historii, kulturze, języku, religii, wspólnotowych rytuałach oraz resztkach instytucjonalnej autonomii. Nielicznych, którzy jakimś cudem przetrwają prześladowania i nie zdecydują się na emigrację, terror zmusić miał do przyjęcia nowej tożsamości, dzięki czemu może w końcu „zasłużyliby" na status zasymilowanych z nowym monoetnicznym społeczeństwem.

2 września 2017 r. gen. Min Aung Hlaing, głównodowodzący armii birmańskiej, pisał z dumą na Facebooku: „Otwarcie deklarujemy, że w naszym kraju nie ma absolutnie żadnej rasy Rohingów".

Aby zrozumieć, dlaczego generał tak spieszył się z tą deklaracją w momencie, gdy jego podwładni nadal palili rohińskie wsie i strzelali do ich mieszkańców, trzeba cofnąć się w czasie o blisko 40 lat. Dopiero z tej perspektywy można dostrzec, jak wiele wspólnych elementów łączy znikanie Rohingów z Arakanu z losem niemieckich, a potem europejskich Żydów w latach 30. i 40. XX w. Jak mało – poza skalą mordów – różni je od wydarzeń z wiosny i lata 1994 r., które kosztowały życie niemal milion rwandyjskich Tutsi. Wreszcie – jak liczne podobieństwa można odnaleźć w losie Tula Toli i Srebrenicy.

Daniel Fereistein, dyrektor Centrum Studiów nad Ludobójstwem z Buenos Aires, uznawany za jednego z najlepszych badaczy tej tematyki, zauważa, że praktycznie każde ludobójstwo zaczyna się od stygmatyzacji i dehumanizacji ofiar w oczach reszty społeczeństwa. Następnie przeradza się w prześladowania administracyjne, zastraszanie i akty terroru, a kończy masowymi mordami i rytualnym wymazywaniem pamięci o prześladowanych z oficjalnej historii. Prowadzi go to do konkluzji, że utożsamienie ludobójstwa wyłącznie z fizyczną eksterminacją niesłusznie wyrzuca poza nawias tej definicji długofalową politykę, której skutkiem są „głębokie zmiany struktury społecznej i demograficznej" wymuszone terrorem i strachem.

W Arakanie, gdzie muzułmanie według ich własnej tradycji mieli pojawić się już w VIII w. naszej ery, zdaniem międzynarodowych organizacji humanitarnych przebywa obecnie najwyżej 10% dawnej populacji Rohingów, czyli od 100 do 140 tys. osób. Pozostali ponieśli śmierć, zbiegli za granicę lub zaginęli podczas tej ucieczki. W upalnym zwrotnikowym klimacie, zwłaszcza pod koniec okresu monsunowych deszczów, dżungla błyskawicznie poradziła sobie ze zwłokami.

Dla tych, którzy mimo wszystko zdecydowali się pozostać, koniec wielkich operacji militarnych nie oznaczał jednak powrotu do czegoś, co mogliby nazwać normalnością. Władze Birmy niemal całkowicie odizolowały ich od reszty społeczeństwa, uniemożliwiając korzystanie z instytucji publicznych i zakazując poruszania się po okolicy, nie mówiąc o podróżowaniu po całym kraju. Dostęp do opieki medycznej stał się praktycznie niemożliwy.

Pojedyncze mordy, podpalenia, grabieże i gwałty są nadal na porządku dziennym. Rohingom zakazano uprawy pól i odebrano większość żywego inwentarza, który trafił w ręce arakańskich sąsiadów. Presja ekonomiczna ma dokończyć to, co zaczęły pociski. A jednak dla wielkiej międzynarodowej polityki sytuacja w Arakanie nadal zasługuje najwyżej na miano niepokojącej. Ludobójstwo nie zaczęłoby się przecież od czegoś tak banalnego jak problemy z dokumentami.

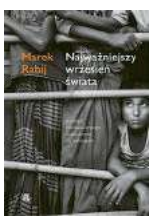

Fragmenty książki Marka Rabija *Najważniejszy wrzesień świata*, W.A.B., Warszawa 2019

FOT. MATEUSZ GASIŃSKI

eprasa.pl e62bed3f48

Brązowe krowy dają czekoladowe mleko

Kilka zaskakujących rzeczy, w które wierzymy

Tomasz Borejza

Przeczytałem niedawno fascynującą informację. W Stanach Zjednoczonych przeprowadzono badania opinii społecznej, w których pytano m.in. o to, skąd się bierze mleko czekoladowe. Ponad 7% pytanych odpowiedziało, że pochodzi ono od brązowych krów. Próba była reprezentatywna, więc wynik przeniesiono na całą populację kraju i skrupulatnie wyliczono, że 16,4 mln Amerykanów, a więc tylu, ilu mieszkańców ma np. stan Pensylwania, wierzy, że kiedy się doi krowy o takim umaszczeniu, z ich wymion leci nie tylko mleko, ale też czekolada i cukier. Do tego 40% pytanych nie wiedziało, skąd się bierze takie mleko.

Tej części ankietowanych nie można jednak winić za ignorancję, bo lepiej się przyznać do niewiedzy, której w amerykańskich badaniach sprawdzających orientację w tym, co jemy, jest więcej. Ustalono chciażby, że 20% obywateli tego kraju nie ma pojęcia, z czego się robi ich danie narodowe, czyli hamburgera. Co warte podkreślenia, odpowiedzi w tych badaniach nie udzielały dzieci, którym można by było wybaczyć więcej, wypytywani byli wyłącznie ludzie dorośli.

Choć wiedza dzieci też pozostawia sporo do życzenia, bo np. kiedy w Wielkiej Brytanii zapytamy uczniów szkół podstawowych o to, z czego się robi paluszki rybne, spora grupa odpowie, że z kurczaka. Czytałem również kiedyś, że w jednej z amerykańskich szkół poproszono dzieci, by narysowały rybę, i spora część narysowała kwadrat, który do złudzenia przypominał panierowanego mintaja z supermarketu. Była to bowiem jedyna ryba, jaką dzieciaki znały.

20% obywateli USA nie ma pojęcia, z czego się robi ich danie narodowe, czyli hamburgera.

Komu kibicuje Pan Bóg

Odchodząc od tematyki żywnościowej, także możemy znaleźć piękne kwiaty w ogrodzie niewiedzy. Okazuje się np., że 26% mieszkańców USA wierzy, że o wyniku decydującego o mistrzostwie kraju w futbolu amerykańskim meczu Super Bowl decyduje sam Bóg. Spora część fanów wiąże jego decyzje z tym, czy modli się do niego o zwycięstwo. Co, jak wskazują komentatorzy, nie jest zbyt rozsądne, bo modlą się zwykle obie strony i nie bardzo wiadomo, której Bóg ma słuchać uważniej. Grzeczniejszej?

Pewien sens ma jednak inne przekonanie związane ze sportem i wiarą, któremu hołduje 56% mieszkańców USA. Takie, że Bóg nagradza wierzących sportowców lepszym zdrowiem i sukcesami. O ile oczywiście przyjmiemy założenie, że chodzi o wiarę, która wyraża się w respektowaniu kilku podstawowych zasad katechizmu. Na przykład tej, by wieczory spędzać raczej w domu z rodziną niż na cudzołóstwie oraz nieumiarkowaniu w jedzeniu i piciu. To bowiem rzeczywiście może wpływać na wyniki sportowe.

Z wiedźmą na sabat

W innych badaniach, które przeprowadził Gallup z okazji Halloween, pytano mieszkańców USA o wiarę w duchy i wiedźmy. Okazało się, że 38% wierzy w istnienie duchów, w tym prawie 20% zadeklarowało, że na własne oczy widziało co najmniej jednego ducha. Z kolei 22% pytanych wierzyło, że po świecie chodzą wiedźmy. I to nie wiedźmy z baśni o Jasiu i Małgosi lub animowanych filmów dla dzieci, ale takie, które mieszkają po sąsiedzku, szykują mikstury, rzucają uroki, a raz w roku wskakują na miotłę i lecą na sabat. Już same te liczby mogą budzić pewne zdziwienie. Naprawdę zaskakujące jest jednak to, jak zmieniały się w czasie. Otóż jeszcze w 1978 r. zadano Amerykanom to samo pytanie. Wówczas zaledwie 11% wierzyło w istnienie duchów i wiedźm. Od tamtego czasu przybywa ludzi, którzy tracą wiarę w rozsądek, a zaczynają wierzyć w horoskopy i astrologię. Cóż, do przekonania o tym, że świat zmierza w kierunku większego

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e62bed3f48

oświecenia i rozwoju, należy podchodzić ze zdrowym dystansem.

Tym bardziej że nie chodzi tylko o Amerykanów. U nas wiarę w duchy deklaruje nawet połowa ankietowanych w podobnych badaniach, a w horoskop z gazety wierzy około jednej czwartej Polaków. Około 40% pytanych deklaruje wiarę w cuda, prorocze sny i inne zjawiska ze świata ezoteryki. Ale przecież nie trzeba nawet badań. Wystarczy spojrzeć na majątek, którego dorobił się Jerzy Zięba, sprzedając po 2,5 tys. zł za sztukę „strukturyzatory wody", które miały leczyć wszystkie możliwe przypadłości. A z jego recept korzystali nawet ludzie wykazujący bystrość w innych obszarach funkcjonowania w świecie. Osobiście znam kilku takich i zawsze się temu dziwię.

Z kogo się śmiejemy

Przekonanie, że to Słońce krąży wokół Ziemi, może powstać bardzo łatwo. Każdego dnia obserwujemy, jak pojawia się ono na wschodzie, przemierza nieboskłon i znika na zachodzie. Logiczny wniosek płynie z tego taki, że to ono krąży wokół nas, a nie my wokół niego. Głupi żart? Nie dla ok. 70 mln Amerykanów. Kiedy w 2014 r. w ramach badania kompetencji naukowych zapytano ich, czy to Słońce krąży wokół Ziemi, „tak" odpowiedziało 26% respondentów. Połowa nie wiedziała, że człowiek ewoluował z czasem, a całkiem spora liczba pytanych uważała, że jądro Ziemi jest zimne. To tłumaczy, skąd się biorą w USA „płaskoziemcy" i dlaczego zorganizowali wyprawę na koniec świata.

Intrygujący jest również stan wiedzy geograficznej obywateli najbogatszego państwa świata. 6% mieszkańców Stanów Zjednoczonych nie potrafi wskazać na mapie USA. Dwie trzecie młodych Amerykanów uważa, że w ich kraju mieszka od 750 mln do 2 mld ludzi, angielski zaś to najpopularniejszy język na świecie. Z kolei Iraku nie potrafili wskazać na mapie nawet wtedy, kiedy amerykańskie wojsko zrzucało na ten kraj bomby.

Łatwo się śmiać z niewiedzy Amerykanów. Ale można też zapytać, z kogo się śmiejemy. Wygląda na to, że z siebie samych. Kiedy Europejczykom nabijającym się z amerykańskiej słabości w geografii dano mapę USA i kazano opisać stany, radzili sobie tak samo źle jak jankesi z Europą. A w Polsce, niekiedy nazywanej najbardziej amerykańskim z europejskich krajów, połowa ludzi uważa, że geny mają tylko te pomidory, które są genetycznie modyfikowane, takie zwyczajne, niemodyfikowane, ich zdaniem genów nie mają. Pozostaje mieć nadzieję, że w tej grupie pytanych nie było czytelników PRZEGLĄDU. ■

Spora grupa uczniów w Wielkiej Brytanii uważa, że paluszki rybne wytwarzane są z mięsa kurczaka.

eprasa.pl e62bed3f48

Kto widział płomykówkę złotawą?

Nikt nie wie, gdzie gniazduje, jak się odżywia ani jakie siedlisko preferuje. Mogła być uważana za wymarłą

Noah Strycker

Po kilku miesiącach od rozpoczęcia mojego Wielkiego Roku Joseph Yenmoro, który pracuje w ośrodku dla płetwonurków na wyspie Nowa Brytania w Papui-Nowej Gwinei, zabrał grupę japońskich turystów na wycieczkę, której celem była obserwacja świetlików. Joseph jest przewodnikiem nurkowym, ale po ponad dziesięciu latach zapewniania rozrywki gościom odwiedzającym Papuę-Nową Gwineę uświadomił sobie istnienie zwierząt żyjących również nad powierzchnią wody, w tym ptaków. Ma szeroką twarz, zębaty uśmiech i okrągłe kości policzkowe i jest obecnie najbardziej doświadczonym ptasiarzem mieszkającym na Nowej Brytanii. Tego wieczoru, kiedy Joseph jechał przez plantację palmy olejowej, zauważył coś ciekawego przelatującego nad drogą.

W tym samym miejscu kilka razy po zmroku widywał coś o niewyraźnym kształcie i zawsze zakładał, że był to ślepowron rdzawy, pospolity nocny gatunek. Tym razem jednak to coś wylądowało na słupku ogrodzeniowym i Joseph uzmysłowił sobie, że to wcale nie jest ślepowron. To była sowa.

– O rany – powiedział do japońskich turystów. – To płomykówka złotawa!

Grupa wydawała się niewzruszona, nawet gdy z podekscytowaniem wyjaśnił, że ta sowa jest jednym z najsłabiej poznanych gatunków ptaków na świecie – nie widziano go żywego od ok. 30 lat. Właściwie płomykówka złotawa była widziana przez ornitologów tylko trzy razy: pojedyncze obserwacje miały miejsce w 1967, 1985 i 1987 r. Nowa Brytania, wyspa mniej więcej wielkości Tajwanu, jest właściwie niezbadana przez ptasiarzy, a ci nieliczni, którzy ją odwiedzają, zwykle powracają w te same miejsca. Nikt nie wiedział, gdzie szukać płomykówki złotawej, więc ptak pozostawał poza zasięgiem światowego zainteresowania.

Sowa ta z wyglądu podobna jest do płomykówki zwyczajnej – ma spłaszczoną twarz, jasne upierzenie z czarnymi plamkami pokrywającymi złotożółty tułów, nie ma pęczków piór przypominających uszy. Jest gatunkiem endemicznym dla Nowej Brytanii, wyspy w Archipelagu Bismarcka leżącej na północny wschód od Nowej Gwinei. Nikt nie wie, gdzie gniazduje, co je, jak się odżywia, jaki jest status jej populacji ani nawet jakie siedlisko preferuje. Mogła być uważana za wymarłą, tyle że w 2013 r. Joseph znalazł jednego martwego osobnika na terenie ośrodka nurkowego Walindi, gdzie pracuje. Od tamtego czasu miał nadzieję, że wypatrzy żywego ptaka, a teraz jeden wpatrywał się prosto w niego czarnymi, wodnistymi oczami.

„Czy ktoś ma aparat?" – zapytał turystów, ale nikt nie miał – chcieli tylko zobaczyć świetliki. Po chwili sowa odleciała, a zniechęcony Joseph kontynuował wycieczkę.

Następnego wieczoru powrócił z kierownikiem ośrodka i ponownie zlokalizował ptaka przy użyciu latarki; tym razem nagrał krótki film wideo – pierwsze w historii nagranie tego gatunku sowy – które zamieścili na YouTubie. Wiadomość o odkryciu wyciekła i kilka tygodni później grupa obserwatorów ptaków sfotografowała sowę z pomocą Josepha na wycieczce z Rockjumperem. Za każdym razem znajdowano ją w tej samej okolicy, patrolującą plantację palmy olejowej.

Płomykówka złotawa z wyglądu przypomina płomykówkę zwyczajną.

To było ostatnie miejsce, w którym można było spodziewać się znaleźć tak wyjątkowo rzadkiego ptaka: mniej niż półtora kilometra od popularnego ośrodka, w silnie zdegradowanym siedlisku. Plantacje palmy olejowej, powszechnie uważane za jedną z najgorszych plag ekologicznych na świecie, winne są w ostatnich latach masowemu niszczeniu lasów tropikalnych, szczególnie w Afryce i Azji. Na Nowej Brytanii plantacje te zastąpiły ogromne obszary dżungli: tylko w latach 1990-2000 jedna czwarta nizinnego lasu na wyspie została wycięta, by mogło powstać miejsce dla bardzo dochodowych upraw, które obecnie są jednym z głównych produktów eksportowych Papui-Nowej Gwinei. Jeśli te trendy utrzymają się, to do 2060 roku większość lasów na Nowej Brytanii zniknie.

Olej palmowy, wyciskany z orzechów rosnących na pękatych drzewach, jest stosowany w połowie wszystkich produktów dostępnych w supermarketach, w tym w: szmince, mydle, czekoladzie, makaronie błyskawicznym, chlebie, detergentach i lodach i jest określany mnóstwem nazw, takich jak olej roślinny, tłuszcz roślinny, gliceryna i *Elaeis guineensis* (nazwa naukowa rośliny). Nawet dzisiaj prawdopodobnie jadłeś olej palmowy, prałeś w nim ubrania i wcierałeś go w skórę i zęby. Ta substancja jest wszechobecna – jest

eprasa.pl e62bed3f48

nawet składnikiem biopaliw – ale prawie niewidoczna. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, jak dużo oleju palmowego konsumuje, a jeszcze mniej wie, skąd się on bierze. W ostatnim dziesięcioleciu globalny popyt na niego podwoił się i według międzynarodowej organizacji WWF (World Wildlife Fund) należy się spodziewać, że „kosztem lasu tropikalnego" podwoi się ponownie do 2050 r.

Zaskakujące było to, że ze wszystkich możliwych miejsc ta rzadka sowa wybrała plantację palmy olejowej, która jest prawie tak przyjazna dla środowiska jak wybetonowany parking. Zanim przybyłem do Papui-Nowej Gwinei, naoglądałem się tych plantacji gdzie indziej, zwłaszcza w Azji Południowo-Wschodniej, i nie wyglądało na to, żeby stanowiły one siedlisko dla roślin i zwierząt. Szukałem już ptaków w dość dziwnych miejscach, skoro więc znalezienie płomykówki złotawej wymagało wejścia na plantację palmy olejowej, to nie miałem z tym problemu. Wygospodarowałem trochę więcej czasu na poszukiwania.

Najpierw jednak miałem inne sprawy do załatwienia. Moją wizytę na Nowej Brytanii uwzględniłem w planach po namyśle, dodając ją do dłuższego pobytu na głównej wyspie Nowej Gwinei, który zakończył pełen wydarzeń miesiąc skakania z wyspy na wyspę w całym regionie. Po opuszczeniu Filipin spędziłem tydzień w Tajlandii z młodym ptasiarzem Panuwatem „Parem" Sasiratem, który zaprosił kilkoro przyjaciół na krótką podróż po swoim ojczystym kraju. Pod Bangkokiem, na terenie zakładu odparowującego słoną wodę, znaleźliśmy zagrożonego wyginięciem biegusa łyżkodziobego, małego ptaka siewkowego z łopatkowatym dziobem – kolejny wyjątkowo rzadki ptak w siedlisku stworzonym przez człowieka. Zanim wpadłem na Półwysep Malajski do Malezji, gdzie życzliwy ptasiarz Cheong Weng Chun zabrał mnie na kilka dni w tamtejsze góry, szybko odwiedziłem Sri Lankę, która posiada komplet gatunków endemicznych. Stamtąd wybrałem się na Borneo, by w głębi dżungli przez tydzień oglądać salangany sundajskie i orangutany i w jeden dzień udało mi się zaliczyć wszystkie trzy rzadkie „whiteheady" (lokalne trio rzadkich gatunków): nosoczuba czarnogardłego (ang. *Whitehead's Broadbill*), sędzioła czarnobrodego (ang. *Whitehead's Trogon*) i pajęcznika brązowego (ang. *Whitehead's Spiderhunter*). W Indonezji, na wyspie Sulawesi, słynącej z setki endemicznych gatunków ptaków, młody mężczyzna Monal Capellone pokazał mi dziwacznego nogala hełmiastego – naziemnego ptaka przypominającego nieco kurę, który sam nie wysiaduje jaj, lecz zakopuje je w gorącym piasku w pobliżu ujść wulkanów linearnych. Na koniec, po południowej przerwie w podróży na Bali, spędzonej z miejscowym ptasiarzem Pakiem Yudim, wylądowałem na wybrzeżu Papui-Nowej Gwinei.

Kiedy ptasiarze myślą o Nowej Gwinei, wyobrażają sobie zwykle cudowronki (tzw. ptaki rajskie): ok. 40 gatunków kunsztownie ubarwionych i posiadających bogate ornamenty ptaków, których zasięg ogranicza się do niedostępnych dżungli Nowej Gwinei i okolicznych wysp. Sir David Attenborough, po nakręceniu swojego słynnego filmu dokumentalnego „Attenborough in Paradise" (dosł. Attenborough w raju), stwierdził zachwycony, że „ptaki rajskie są najbardziej romantycznymi i czarującymi ptakami na świecie". Alfred Russel Wallace, XIX-wieczny przyrodnik, który opublikował teorię doboru naturalnego wspólnie z Karolem Darwinem, nazwał je „najbardziej niezwykłymi i najpiękniejszymi z opierzonych mieszkańców Ziemi". Moim priorytetem były tu cudowronki.

Właściwie płomykówka złotawa była widziana przez ornitologów tylko trzy razy: pojedyncze obserwacje miały miejsce w 1967, 1985 i 1987 r.

Z Port Moresby, z tętniącej życiem i niebezpiecznej stolicy kraju, poleciałem awionetką do osady Tari – na którą składają się kilka budynków i żwirowy pas startowy – w surowym, górzystym wnętrzu Nowej Gwinei. Zorganizowałem pobyt w Ambua Lodge, przyjaznym dla środowiska obiekcie w pięknym lesie mglistym na wysokości 2133 m, gdzie można spotkać cudowronki dosłownie na każdym kroku.

Pierwszą zobaczyłem kilka minut po wejściu do okrągłej, krytej strzechą chatki: ozdobnik lirogłowy, który niedawno znalazł się na liście „dziesięciu najseksowniejszych ptasich samców" BBC, usiadł na drzewie tuż obok, był przecudny. Taniec godowy tego gatunku jest osobliwy, samiec podczas jego wykonywania nie wygląda na ptaka. Kiedy zjawia się samica ozdobnika lirogłowego, samiec przykuca, puszy połyskujące zielono pióra na piersi, unosi „pelerynę" czarnych piór na grzbiecie i zadziera dziób do góry, tak że jego ciało przyjmuje opalizujący, abstrakcyjny kształt – przypominając bardziej latający spodek niż zwierzę. Szybko dyga w górę i w dół, przestępuje z nogi na nogę i chwyta dziobem ogon, obracając się za każdym razem, gdy samica się poruszy, aby zobaczyła go w pełnej krasie. Jeśli się jej spodoba, przystępują od razu do kopulacji, po czym samica oddala się, by samodzielnie zbudować gniazdo.

Znalezienie mojej ulubionej cudowronki wymagało jednak trochę więcej

Biegus łyżkodzioby.

eprasa.pl e62bed3f48

wysiłku. Następnego dnia rano, po przejściu kilku kilometrów pod górę błotnistą ścieżką, natrafiłem na małego ptaka o nazwie wstęgogłów, który żyje tylko w górach środkowej Nowej Gwinei. Gatunek ten kompensuje sobie niewielkie rozmiary parą smukłych, czarno-białych piór, rosnących tuż za oczami, które są prawie dwa razy dłuższe od jego ciała. Ptak potrafi poruszać tymi piórami, każdym z osobna, podobnie jak jest to możliwe w dwuramiennej teleskopowej antenie pokojowej i wyglądają one tak dziwacznie, że gdy przywieziono pierwsze okazy do Europy, naukowcy sądzili, że są one sfingowane. Usłyszałem wstęgogłowa, zanim go zobaczyłem – było to szorstkie, brzęczące buczenie o narastającej głośności, trwające kilka sekund. W końcu dostrzegłem ptaka siedzącego na czubku wysokiego pnia, wymachującego piórami, tak jakby to kolorowy owad latał w powietrzu, dygając ciałem dla lepszego efektu.

Cudowronki spełniły moje oczekiwania pokładane w Papui-Nowej Gwinei: dzikie i dziwaczne, zagubione w dziewiczym lesie, po którym wciąż wędrują plemiona niemające kontaktu z cywilizacją. Elementy zewnętrznej cywilizacji – żwirowy pas startowy w Tari, kwatery w Ambua i żwirowa droga przemierzana przez ciężarówki do przewozu drewna i paliwa – wydawały się być trochę w sprzeczności z prostym, rustykalnym otoczeniem. Chłonąc ptaki i ich środowisko, zatrzymałem się w tych górach na kilka dni, a potem wróciłem awionetką do Port Moresby. Minął pierwszy tydzień grudnia i moje miesięczne przeskakiwanie z wyspy na wyspę dobiegło końca; nastawiłem się teraz na Australię i końcówkę roku.

Przed finałowym wypadem do Australii chciałem jednak dopaść płomykówkę złotawą. Kiedy indziej miałbym szansę spojrzeć w oczy tak rzadkiemu ptakowi? Była o żabi skok – i tak złapałem samolot na Nową Brytanię.

Przeniesienie się z niedostępnych wyżyn Nowej Gwinei na niziny Nowej Brytanii wyglądało jak porównanie zdjęć sprzed i po strasznej katastrofie. Gdy mój samolot zszedł niżej nad wybrzeżem Nowej Brytanii, zamiast dżungli ujrzałem kilometry ciemnozielonych, równomiernie rozmieszczonych drzew, biegnących niczym linie siatki wzdłuż nadbrzeżnej równiny: plantacje palmy olejowej. Z góry przypominały plantacje bananów, nad którymi przelatywałem wcześniej, na początku tego roku, w Amerykach Południowej i Środkowej, z tym że na skalę bardziej zapierającą dech w piersiach. New Britain Palm Oil Limited, główna korporacja na tej wyspie, posiada 91 863,5 ha gruntów uprawnych – ponad 918 km kw., co stanowi obszar prawie dwukrotnie większy od Singapuru – co, przy 150 roślinach na hektar, dawało ponad 13 mln palm olejowych. Cały ten obszar był kiedyś porośnięty lasem deszczowym.

Joseph, facet od sowy, spotkał się ze mną w ośrodku Walindi, gęstym skupisku chatek kempingowych, otoczonym z trzech stron palmami olejowymi, a z pozostałej strony – oceanem. Wkrótce odkryłem, że co

eprasa.pl e62bed3f48

Sędzioł czarnobrody.

drugi z tutejszych gości poważnie interesował się nurkowaniem z akwalungiem. Obszar pomiędzy Indonezją a Papuą-Nową Gwineą jest częścią tzw. Trójkąta Koralowego, najbardziej zróżnicowanego systemu raf koralowych na świecie, co sprawia, że nurkowanie w Walindi przypomina trochę obserwowanie ptaków w Amazonii. Przyjazd na ptaki w to miejsce miał wszelkie cechy poszukiwania diamentów w kopalni miedzi, ale mnie to nie przeszkadzało. Nic dziwnego, że płomykówka złotawa była tak długo przeoczana – wszyscy na tej wyspie byli zaabsorbowani olejem palmowym i koralowcami.

Liczba gatunków ptaków na Nowej Brytanii jest stosunkowo mała, szczególnie na wylesionych obszarach przybrzeżnych, ale wysoki odsetek spośród nich to endemity. Wyspa, która leży nad strefą subdukcji niewielkiej płyty tektonicznej Morza Salomona, jest jedną z najbardziej aktywnych obszarów działalności wulkanicznej na świecie; jeden z jej prowincjonalnych ośrodków administracyjnych, Rabaul, został unicestwiony zaledwie w 1994 roku, kiedy trzy metry popiołu pogrzebały to miasto. Ponieważ Nowa Brytania nigdy nie była połączona z większą od niej wyspą Nowa Gwinea, zamieszkujące ją ptaki miały dostatecznie dużo czasu i były w wystarczającym stopniu odizolowane, by moc wyewoluować w nowe gatunki, takie jak: łowczyk białogrzbiety, sowica cynamonowa, wodnik różowonogi, drozdoń melanezyjski, filemon jasnoszyi i krogulec trójbarwny.

Joseph i ja szukaliśmy za dnia niektórych z tych endemitów. Zabrał mnie na przyległą plantację palmy olejowej, gdzie jeździliśmy jedną z ciężarówek należących do ośrodka nurkowego, powoli wzdłuż rzędów drzew, patrolując je. Plantacja miała w sobie więcej życia, niż się spodziewałem: w zarośniętych chwastami miejscach czaiły się bączki czarne, bagiewniki białobrewe i miedzianki białoczelne, podczas gdy pomiędzy drzewami paradował ogromny karbodzioby. Na rurach obok rowów irygacyjnych siedziały zimorodki zwyczajne, a z niewidocznych gałęzi w koronach drzew skrzeczały barwnice zwyczajne. Musiałem przyznać, że to miejsce było pełne życia.

Ze wszystkich możliwych miejsc ta rzadka sowa wybrała plantację palmy olejowej, tak przyjazną dla środowiska jak wybetonowany parking.

Kiedy czekaliśmy, aż zapadnie zmierzch, Joseph wyjaśnił mi, jak funkcjonuje taka plantacja. Na palmach olejowych rosną kiście orzechów wielkości piłki do koszykówki, które ekipy robotników odcinają dwunastometrowymi piłami. Olej jest wyciskany na miejscu, a następnie przewożony do specjalnych rafinerii. Drzewa sadzi się ponownie z zachowaniem dwudziestoletniej rotacji – nie dlatego że stają się zbyt stare, ale dlatego że rosną zbyt wysoko, by można było łatwo zbierać owoce. Widzieliśmy cały ten proces: orzechy ścinano, wrzucano na platformy dużych ciągników i zabierano do przechowalni.

Wszystko to szło bardzo sprawnie, a efektywność jest głównym argumentem przemawiającym za stosowaniem oleju palmowego: w porównaniu z podobnymi roślinami uprawnymi (takimi jak soja i rzepak) drzewa palmowe mogą dostarczać dziesięć razy więcej oleju z hektara.

O zmierzchu pojechaliśmy w miejsce oddalone ok. 1,5 km od ośrodka, w którym Joseph odkrył płomykówkę złotawą. Od tamtego czasu widział ją kilka razy, więc robiłem sobie wielkie nadzieje. W ciemności włóczyliśmy się powoli po plantacji, omiatając potężnym reflektorem drzewa z zarysem wiszących kiści orzechów.

Krajobraz różnił się od moich wyobrażeń Papui-Nowej Gwinei.

Każdy kojarzy ten kraj z dziką, nieokiełznaną przyrodą – czy to z górskimi dżunglami, dziewiczymi przybrzeżnymi rafami koralowymi, czy tętniącymi życiem rdzennym i kulturami – bez palm olejowych w zasięgu wzroku. To wszystko tam jest, ale egzotyka to nie wszystko.

– Tam! – krzyknął Joseph, wskazując ręką w tym samym kierunku, co światło swojego reflektora. – Widziałeś ją? Sowa właśnie poleciała na następne drzewo.

Szukaliśmy jej przez niecałe pół godziny. Powoli podkradliśmy się, wstrzymując oddech. Wyłapałem błysk oczu, a Joseph oświetlił drzewo latarką.

– Tak – powiedziałem cicho. – Mam ją.

Od czasu, kiedy się urodziłem, do tego roku nikt nie widział żywej płomykówki złotawej. Teraz sowa spoglądała na nas, kręcąc głową z zaciekawieniem. To był mój 5605. gatunek w tym roku. Czas, który ostatnio tak szybko mijał, teraz spowolnił; mogło to być dziesięć sekund lub dziesięć minut. Zrobiłem kilka zdjęć. Następnie, jakby przypomniawszy sobie o wcześniejszych sprawach, sowa odwróciła się, rozpostarła skrzydła i cicho poleciała ku następnemu rzędowi drzew, znikając pośród palm jak duch.

Fragmenty książki Noah Stryckera *Ptaki nie znają granic*, przekład Michał Radziszewski, Muza SA, Warszawa 2019

FOT. ADOBE STOK (2), BEW PHOTO

eprasa.pl e62bed3f48

Indonezyjscy kanibale

Włoski fotograf Gianluca Chiodini odwiedził Dani, rdzenną ludność z doliny Baliem w Papui w Indonezji, odkrytą zaledwie 80 lat temu.

Dani są plemieniem górskim, uważanym dawniej za kanibali. Mają wiele charakterystycznych tradycji, m.in. codziennie okadzają zmumifikowane ciała przodków, zwłaszcza wodzów, aby utrzymywać je „w dobrej formie".

Najważniejszą osobą w wiosce jest wódz. Jako najbogatszy może sobie pozwolić na wiele żon – Dani bowiem są poligamiczni.

Dawniej, gdy kobieta traciła bliską osobę, na znak żałoby obcinała sobie palec kamiennym toporem.

Typowym elementem stroju mężczyzn jest *koteka*, czyli osłona na penisa. Im większa, tym bardziej atrakcyjna dla kobiet.

eprasa.pl e62bed3f48

FOT. MEDIA DRUM IMAGES/GIANLUCA CHIODINI

eprasa.pl e62bed3f48

DLACZEGO PREZYDENT ATAKUJE SĘDZIÓW

Od kilku miesięcy obserwuję zdumiewającą wprost intensywność, z jaką pan prezydent ocenia polskie sądy i sędziów, zwłaszcza Sądu Najwyższego. Formułowane pod adresem sędziów zarzuty stają się coraz ostrzejsze: „komunistyczne złogi", „kasta", „grupy kolesiowskie" itp. Sędziowie mianowani przez Radę Państwa PRL, a więc „państwa komunistycznego", nie powinni – zdaniem prezydenta Dudy – pełnić tak wysokich funkcji. Dla ścisłości podam, że sędziowie mianowani przez Radę Państwa stanowią tylko 7% ogółu czynnych sędziów. Przypominam, że PRL była uznawana przez większość państw ówczesnego świata, była członkiem Organizacji Narodów Zjednoczonych, a oficerowie i żołnierze wojska tego państwa uczestniczyli w misjach pokojowych pod flagą ONZ.

Kwestionowanie prawnych i moralnych podstaw do pełnienia funkcji sędziowskich przez sędziów mianowanych przez Radę Państwa należałoby – zgodnie z powyższą logiką – odnieść także do wielu innych profesji. Chcę wskazać tylko jeden przykład, który dotyczy kadry profesorskiej. Liczna grupa profesorów reprezentujących wszystkie dziedziny nauki, w tym nauki społeczne (m.in. prawne, ekonomiczne), pełniła swoje funkcje zarówno w ostatniej dekadzie PRL, jak i w III RP. Część jest także czynna obecnie. Należę do tej grupy. Powstaje zatem zasadnicze pytanie: czy mają oni prawne i moralne podstawy wypełniania swoich obowiązków – promowania absolwentów wszystkich szczebli nauki – gdyż tytuł profesora przyznała im Rada Państwa. Według mnie kwestia ta dotyczy bezpośrednio pana prezydenta, który pracę doktorską przygotował i obronił pod naukowym kierunkiem profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, powołanych prawdopodobnie przez Radę Państwa.

Warto jeszcze wskazać dwa inne fakty. Jako profesorowie mieliśmy obowiązek (chyba w 2007 r.) składać deklaracje, że nie współpracowaliśmy ze służbami bezpieczeństwa PRL. Lustracja obejmowała szeroki zakres osób pełniących różne funkcje. Jak wytłumaczyć ten fakt w konfrontacji z doświadczeniami II Rzeczypospolitej? W pierwszych latach II RP podstawowy trzon kadry dowódczej wojska polskiego stanowili generałowie i oficerowie, którzy stopnie wojskowe uzyskali w trzech armiach zaborczych – rosyjskiej, niemieckiej i austriackiej. W odrodzonej ojczyźnie znaleźli odpowiednie miejsce i żaden organ nie dokonywał ich lustracji. Nie zostali pozbawieni stopni wojskowych, a wprost przeciwnie – swoje doświadczenia wojskowe przenieśli do odrodzonego wojska polskiego, zajmując często kluczowe funkcje dowódcze.

Nowa polityka historyczna, tak intensywnie uprawiana przez IPN (który według opinii większości wybitnych polskich historyków powinien być dawno zlikwidowany), degraduje zasługi polskich formacji wojskowych walczących na wszystkich frontach II wojny światowej – na Zachodzie, a zwłaszcza na Wschodzie, a także armii podziemnych w kraju (AK, BCh, AL). Na piedestał zostali wyniesieni „wyklęci". Nie neguję zasług niektórych z nich w okresie okupacji hitlerowskiej, ale trzeba także widzieć „bandyckie zasługi". Czy mogą oni stanowić fundament moralny, na którym oparta jest wolna Polska? Jako 10-letni chłopiec doświadczyłem w latach 1946-1948 ich bandyckiej działalności na Podlasiu, co swego czasu przedstawiłem na łamach PRZEGLĄDU.

Czesław Skowronek, Warszawa

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Na Nowy Rok

Koniec roku to czas podsumowań. Przywatnych, chowanych dla siebie, i tych, które dotyczą wszelkich możliwych dziedzin życia. Analizy zajmują się skalą małego i problemami globalnymi. Badacze zajrzałyą w każdą szczelinę naszego życia. Świat mógłby nie był tak gruntownie przebadany, i opisany. Nasze poglądy, oceny, a nawet marzenia i plany zostaną sklasyfikowane i pokazane na kolorowych wykresach. Wydawać by się wiąc mogło, że skoro wszystko jest znane, to brakuje miejsca na niespodzianki.

Życie na szczęście pracuy tej przewidywalności. Jest w naturze człowieka gen, do którego badaczom nie udało się dotrzeć. Może z czasem?

Chcę z Polakami mie pojęłoo łatwo. Bo tu nas, tyle ocen. W każdej sprawie. Francuzi słyną z wielu gatunków pysznego sera i perfelii w relacjach z obcymi, a my z bigosu i różnicy zdań. Nawet w sprawie

Nagrody Nobla nie potrafimy wspólnie się nałcesać.

A szkoda. Bo od dawna rdzi z Polski nie wyskacał się taką mądrością i klasą jak Olga Tokarczuk. Jej mowa noblistowska to głębioka w treści i bitpkiśtlowa w formie analiza stanu,

Na Nowy 2020 Rok
naszym Czytelnikom i Przyjaciołom
życzymy dobrego zdrowia
i mądrego czytu.
Bo Polski normalnej i sprawiedliwej
nie dostaniemy w prezencie.
Zespół PRZEGLĄDU

NA NOWY ROK

Redaktor naczelny PRZEGLĄDU – za Olgą Tokarczuk – życzy nam spontanicznej i bezinteresownej czułości. Z tą czułością to jakaś bardzo dziwna historia. Rozumiem, że skoro noblistka o niej powiedziała, to aż się chce powtórzyć, ale co to właściwie ma znaczyć? Na pewno nie to, co w słowniku, a tym bardziej nie to, co w języku potocznym. Mnie czułość się podoba, gdy dotyczy np. tego, jak matka traktuje małe dziecko, dziecko – starego ojca lub matkę, a czasem też, jak się traktują kochankowie. Gdy słowo ma dotyczyć całego świata, jest albo infantylne, albo nonsensowne – jak to w literaturze, gdy chodzi tylko o to, żeby zrobić wrażenie w taki lub inny sposób. Przypuszczam, że Olga Tokarczuk wzięła to wprost z buddyjskiego *compassion*, ale miała problem z tłumaczeniem – temu akurat się nie dziwię, bo dobrego tłumaczenia nie ma – i wybrnęła z tego, moim zdaniem, niefortunnie. To tylko domysł i w dodatku raczej życzliwy, bo buddyjskie *compassion* jest mi bliskie, ale czułość pasuje tylko do bardzo szczególnych sytuacji. Co nie znaczy, że komuś innemu nie może się podobać. Kiedyś uważano, że o literaturze można dyskutować, dzisiaj już tylko trzeba deklarować poparcie albo wprost przeciwnie. Marne czasy.

Andrzej Dominiczak

•

Mnie ta czułość akurat się podoba. Rozumiem ją jako wrażliwość, empatię, uważność, dobre serce dla innych: ludzi, zwierząt, przyrody, świata. Taka pojemna metafora. Co do dziwaczenia... Moim zdaniem pisarstwo noblistki jest dziwaczne. I faktem jest, że jak nie wyrażasz zachwytu nad twórczością Tokarczuk, stajesz się „pisowskim trollem", nieukiem bądź jeszcze gorszym sortem.

Anna Keszko

•

Nie wydaje mi się, żeby z tą czułością była jakaś dziwna historia. Nie wydaje mi się także, żeby było to dziwaczenie. A tym bardziej niewyszukane. Czułość to czułość. Nie wszyscy to rozumieją. Pisarstwo Olgi Tokarczuk jest mi bliskie, a nawet bardzo, chociaż zaskoczyło mnie innością. Przeczytałam tylko „Biegunów", a teraz zabieram się do „Ksiąg Jakubowych" i wszystkiego innego. Na początku lektury „Biegunów" zadziwił mnie ten ciąg myśli i zdawało mi się, że nie dam rady czytać dalej. A potem – już w pracy – nie mogłam się doczekać chwili, kiedy znowu będę czytać tę książkę.

Ewa Gojawiczyńska

MALBORK – JEDEN DZIEŃ TO ZA MAŁO

„Mądrość zbudowała sobie dom" – cytat przywołany w artykule Heleny Leman (PRZEGLĄD nr 1/2020) nie jest autorstwa kronikarza Piotra z Dusburga. To cytat z Biblii, z Przypowieści Salomonowych, rozdz. 9,1.

REPORTAŻ

Malbork – jeden dzień to mało

Jak wiele miast turystycznych
Malbork zmaga się z sezonowością

Helena Leman

Niedzielny grudniowy poranek nie zachęca do wyjścia. Wichur przeszywa do szpiku kości. Mimo to na zamku w Malborku, który od 1309 r. stał się stolicą państwa krzyżackiego, odbyło się już kilka wycieczek podnoszenia. Ten unikatowy system drewnianych przesłaniał, przecieraną i łatuchów mamy w pełni zachowany. Ostatnim punktem oporu była wieża cudaczna obrony, w kresowym zamku krzyżackim. Ten system sosłon drewnianym łącznikiem, który na wypadek zagrożenia można było

S. Gołębiowski

eprasa.pl e62bed3f48

Uczył Marcin Marcina

Mamy z Rosją potyczkę na słowa w ramach polityki historycznej. Potyczkę, która jest już przegrana, przynajmniej w perspektywie najbliższych tygodni. Jej zwieńczeniem będą uroczystości wyzwolenia obozu Auschwitz. Wielkie! Niestety, główne uroczystości nie odbędą się, jak do tej pory, na terenie byłego obozu. Tym razem odbędą się w Izraelu, z udziałem prezydenta Putina, premiera Netanjahu i innych ważnych gości. Co tam będzie mówione, możemy tylko się domyślać. A uroczystości w Auschwitz, te polskie, będą tylko lokalnym dodatkiem.

PiS przez lata opowiadało, że polityka historyczna będzie jego specjalnością, że kładzie na nią szczególny akcent. Właśnie widzimy, jak ją robi.

Przy okazji słów prezydenta Putina o ambasadorze Lipskim odezwał się wiceminister Marcin Przydacz, który barwnie opowiadał dziennikarzom, jak do Ministerstwa Spraw Zagranicznych został wezwany ambasador Rosji w Polsce Siergiej Andriejew. Wiceminister mówił, że spotkanie w MSZ „przebiegało w normalnej procedurze dyplomatycznej". I że „zgodnie z praktyką dyplomatyczną ambasador przedstawił swoje stanowisko, jednocześnie zobowiązał się do przedstawienia polskiego stanowiska do swojego ministerstwa spraw zagranicznych w Moskwie". Wiceminister Przydacz podzielił się też z dziennikarzami własną refleksją: „Dobrą praktyką dyplomatyczną jest, ażeby strona przyjmująca nasz apel czy nasze stanowisko, w krótkiej perspektywie czasu odpowiedziała swoimi twierdzeniami. Niestety, doświadczenie akurat z Federacją Rosyjską pokazuje, że nie zawsze do tej dobrej praktyki świata cywilizowanego, zachodniego, tutaj udaje się doprowadzić".

Uff… Humorystycznie brzmi, gdy na „praktykę dyplomatyczną", „doświadczenie dyplomatyczne" i tym podobne rzeczy powołuje się człowiek 34-letni, który w MSZ pracuje od sześciu miesięcy. I tyle ma kontaktów z dyplomacją. Ponadto wiceminister ze szczegółami opowiadał o wizycie ambasadora Andriejewa w gmachu przy al. Szucha, tymczasem okazało się, że z ambasadorem rozmawiał szef Departamentu Wschodniego Jan Hofmokl, a wiceminister w nich nie uczestniczył. Trochę szkoda, bo mógłby zobaczyć, jak wygląda zagraniczny dyplomata.

Przydacz nie wykorzystał okazji, więc podpowiadamy mu, co stracił. Siergiej Andriejew jest ambasadorem w Polsce od sierpnia 2014 r., czyli pełni tę funkcję dziesięć razy dłużej, niż Przydacz pracuje w MSZ. Ambasador ma 61 lat, jest absolwentem MGIMO, a w dyplomatycznej karierze był m.in. radcą-ministrem w Portugalii, ambasadorem w Angoli i Norwegii, dwukrotnie dyrektorem Sekretariatu Generalnego w rosyjskim MSZ i członkiem Kolegium MSZ Rosji.

Każdy, kto choć trochę interesuje się dyplomacją, musiał niejeden raz usłyszeć, jak niezwykle skuteczna i profesjonalna jest dyplomacja rosyjska i jak Polska jest na tym tle nieporadna.

Spójrzmy więc na ludzi, ich kariery, doświadczenie, wiedzę, a odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się dzieje, mamy jak na dłoni.

Attaché

Relaks przy herbacie w Kuwejcie. Tego typu odpoczynek jest tam popularny w sezonie zimowo-wiosennym.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e62bed3f48

JOLKA

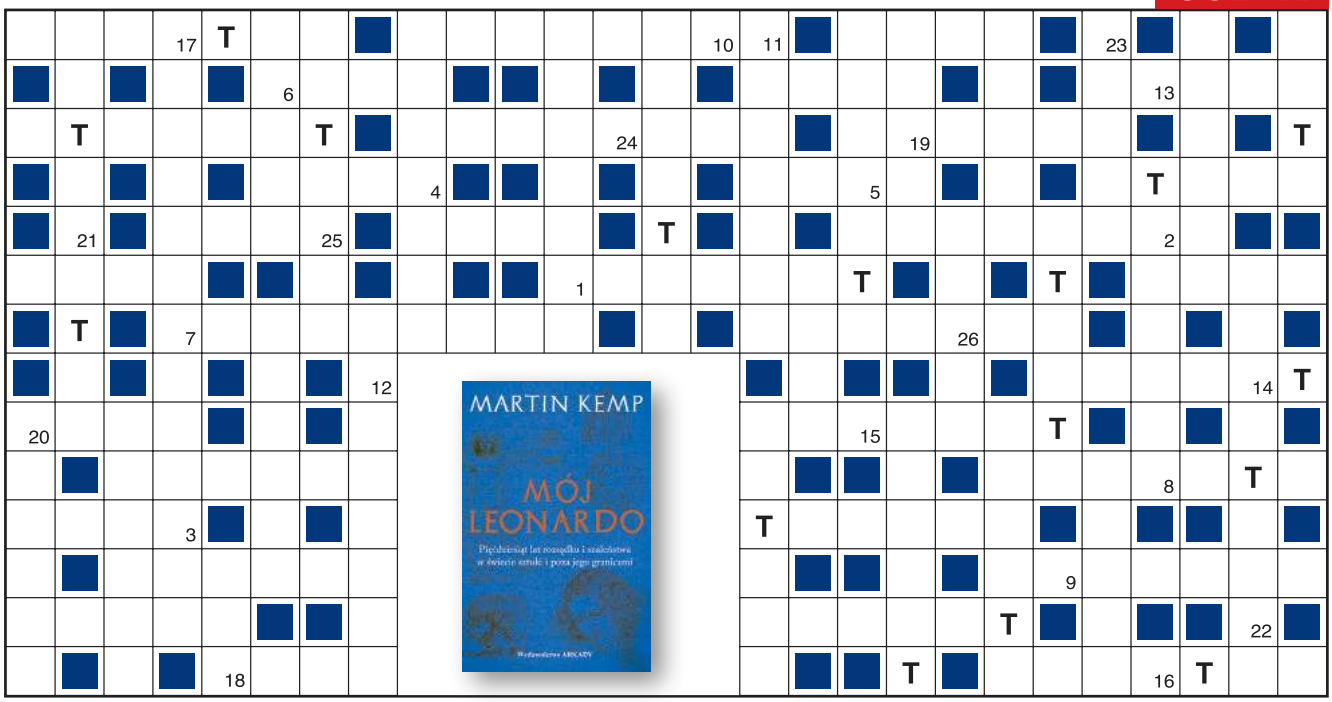

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- np. Clarice Starling z „Milczenia owiec”
- dodany do katalizatorów przyśpiesza reakcję
- …Centauri – na nocnym niebie
- siłacz
- zdobycie wyższej pozycji społecznej, zawodowej
- pasek reklamowy w wersji spolszczonej
- bogaty chłop niemiecki
- w nich podawana przekątna ekranu
- dzierżak
- funkcji, zatrudnienia, zwolnienia lekarskiego
- pobolewanie zęba
- cejlońska odmiana stupy
- …Barrymore, aktorka
- bolesna – zwana dławicą piersiową
- biblijny raj
- Wiktor… II, pierwszy król zjednoczonych Włoch
- Abu Zabi, Dubaj lub Szardża
- tytułowa bohaterka Jane Austen
- rozważał, jak osiągnąć pełne szczęście
- krótka pelerynka do sukni
- lantanowiec nazwany od naszego kontynentu
- oliwna jest symbolem pokoju
- ludność wiejska, pospólstwo
- bierki, bilard lub bingo
- przypisywanie cech doskonalszych od rzeczywistych
- w cerkwi albo na monitorze
- opiewa gniew Achillesa i śmierć Hektora
- np. bananów z Ekwadoru
- biała, zwana głuchą pokrzywą
- papież, święty, następca Zefiryna
- i w Rzymie, i w Waszyngtonie
- przegrał w szachy z Deep Blue
- stolica z tytułu filmu Joanny Kos-Krauze
- potrzebne hokeistom i snookerzystom
- wyłapywanie byków w tekstach
- but aktora starogreckiego
- brytyjska gra zbliżona do palanta i bejsbolu
- czołówka dla grotołaza
- ojciec Goneryli, Regany i Kordelii
- popiół z miałem węglowym do wysypywania dróg
- dawny podatek gruntowy
- już on zapada, nigdzie drogi ni kurhanu
- kolor żółtobrunatny
- miasto z jeziorem Ukiel
- i pracownik kotłowni, i nałogowiec
- Dulska, Twardowska lub Walewska
- dementowane przez rzecznika prasowego
- hinduska księżniczka
- nowo wcielony do wojska
- szeroka, kloszowa suknia z XVIII w.
- bez śniegu nie pojadą
- odpoczynek po obiedzie
- komedia Zapolskiej, z Witusiem i Muszką
- miasto kojarzone z pasami kontuszowymi
- mają wskazać preferencje wyborcze
- troszkę presji i wymuszania półżartem
- Shirley, dziecięca gwiazda
- twórca mitologii Śródziemia
- kto sobie od nich odejmuje, ten się wyrzeka
- tam północne prowincje Niderlandów zawarły unię w 1579 r.
- żołnierz na rozpoznaniu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-942”. Do rozlosowania książki „Mój Leonardo” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 stycznia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-939” z 22 grudnia: *Mądry sam kształtuje swój los.* Nagrody otrzymują: Eliza Kamionowska z Białegostoku, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego.

eprasa.pl e62bed3f48

PENETRACJE

FORUM za RGRU

OLGA TOKARCZUK, PISARKA

Kiedy trafiłam na historię charyzmatycznego żydowskiego heretyka Jakuba Franka, ze zdziwieniem odkryłam, że jest całkowicie nieznana. Stało się tak w procesie „intensywnego czyszczenia pamięci" z co najmniej trzech przyczyn. Po pierwsze, ortodoksyjni Żydzi nie chcieli wspominać o Franku, bo z ich punktu widzenia był zdrajcą. Po drugie, w tej historii swój udział miał Kościół katolicki, który osądził Franka i zamknął go w Częstochowie. Po trzecie, potomkowie zwolenników Franka, którzy zasymilowali się w polskim społeczeństwie, w atmosferze podejrzliwości i antysemityzmu nie chcieli powracać do żydowskich korzeni. Książka jest o okresie w historii Europy, który bardzo przypomina naszą współczesność, o czasie zmiany paradygmatu. Poza tym ta książka mówi o problemie otwartości wobec obcych.

Pismo.

PROF. JERZY HAUSNER, EKONOMISTA, BYŁY WICEPREMIER

Inflacja jest podatkiem nakładanym przez nieudolną władzę na najuboższych. Oni nie mają jak się zabezpieczyć przed wzrostem cen. Dlatego jeśli nie zadbamy o równowagę makroekonomiczną i nie powstrzymamy osłabienia wzrostu gospodarczego, ubóstwo znowu będzie wzrastało. Już w tej chwili inflacja wynosi ponad 3%. Żywność szybko drożeje, a ona jest ważnym elementem budżetu najbiedniejszych rodzin. Teraz gospodarkę trzeba pobudzać nie wydatkami socjalnymi i konsumpcją, tylko inwestycjami. Na razie mnożą się stojące przed nami zagrożenia, a politycy pogubili się w wyborczym chocholim tańcu.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ, PREZES PSL

Czy po tych zmianach, już chyba dziewięciu nowelizacjach ustawy o Sądzie Najwyższym, jest większe poczucie sprawiedliwości w Polsce? Czy łatwiej o wyrok, czy łatwiej o sprawiedliwość? Monteskiusz pisał, że najokrutniejsza tyrania to ta, która spełnia się w cieniu praw i pod sztandarem niby to sprawiedliwości. PiS chce doprowadzić do tego, żebyśmy mieli niby-sędziów w niby-sądach, działających w imię niby-prawa i niby-sprawiedliwości. PiS musi zawsze mieć jakiegoś wroga. Hasło „partia rządzi, partia sądzi" właśnie się realizuje.

Leo, samiec lwa morskiego z parku rozrywki w Jokohamie, zapisuje po chińsku słowo szczur z okazji przygotowań do nadejścia Roku Szczura.

FOT. YOSHIO TSUNODA/AFLO/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. EWA ŁĘTOWSKA O ZNACZENIU SĘDZIÓW
Nad szeryfem powinien być sędzia. I to taki, który nie boi się sprawdzić decyzji szeryfa.

WILHELM SASNAL O AMBICJACH
Potrafią uwodzić i napędzać, ale bywają kajdankami. Przez to, że czujesz ciągły dupościsk, nie jesteś w stanie pracować swobodnie.

ANNA DYMNA O GRZE W REKLAMACH
Wielcy twórcy włożyli we mnie wiele wysiłku i nie byliby zadowoleni, gdybym reklamowała pastę do zębów czy płyn do mycia podłóg.

ROMAN POLAŃSKI O OSKARŻENIACH
Przez połowę swojego życia czuję się linczowany, ale takiej histerii jeszcze nie było.

ARTUR BALAZS O MARIANIE BANASIU
W tej sprawie jest jakieś drugie dno. Ma ono coś wspólnego ze służbami specjalnymi.

MAREK BARAŃSKI O BEACIE MAZUREK
Dama kojarzona, nie wiedzieć czemu, przez plotkarską Warszawkę z pierwszym przystojniachą sejmowym Ryszardem Terleckim, jest kobietą nowoczesną, bezpruderyjną, rozwiedzioną katoliczką.

PIOTR BECZAŁA O ROLI JONTKA WE WSPÓŁCZESNEJ „HALCE"
Akcja rozgrywa się w latach 70., w hotelu Kasprowy w Zakopanem, a Jontek pracuje jako kelner w hotelowej restauracji.

JUSTYNA KOWALCZYK O BIEGACH NARCIARSKICH KOBIET
Przypominają mi epokę romantyzmu. Dużo emocji, mało planowego działania.

MAGDALENA RÓŻCZKA O ROLACH
Nigdy nie zagrałam naiwnej nastolatki. Chybabym nie umiała, bo nigdy tak się nie czułam.

KATARZYNA BONDA O WĘCHU
Kiedy wybieram perfumy, w składzie muszą być róża, jaśmin i ambra.

JANUSZ CHABIOR O IDEALE KOBIET
Nieco zimny drań z nutą romantyzmu. Taki czuły barbarzyńca. Jak ja.

eprasa.pl e62bed3f48

Artyści Bruce Boyd i Tharien Smith tworzą fascynujące dzieła sztuki z zamrażanych w lodowych blokach kompozycji kwiatowych.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

A pies trącał tę ekologię

Coś nas tknęło i zafundowaliśmy sobie odcinek „Komisarza Alexa". Oczu nie mogliśmy oderwać. Na początek wilczur obszczekuje ekspedientkę pakującą mięso w folię. Ta zakłopotana tłumaczy się, że powinna mieć gdzieś papier. Potem Alex szczeka na patologa za picie z plastikowego kubka i na miejscu zbrodni znajduje mu szklany. Podczas przesłuchania rzuca się na adwokata, bo ten ma kawę w jednorazówce. Na koniec pies pojawia się jeszcze z proekologicznym plakatem w zębach. Bezrozumnie zafascynowani tym rekordowym zdziecinnieniem twórców serialu (przedawkowali żelki Haribo?) rzuciliśmy się oglądać następny odcinek, ale tu już był banał. Tyle że pan przemądrego psa pojawił się na miejscu przestępstwa... z charakterystycznym białym kubeczkiem. Alex, bierz go!

Koniec świata na końcu świata

Upały o apokaliptycznej skali, które dotykają Australię, prowadzą do urzeczywistniania się wizji z filmu „Mad Max". Susza sprawiła, że na niektórych terenach zaczęli grasować złodzieje wody. Na przykład z gospodarstwa w Nowej Południowej Walii skradziono jej ok. 300 tys. litrów. Wcześniej 25 tys. litrów życiodajnej cieczy padło łupem złodziei w małym miasteczku Murwillumbah. Ciekawe, co jeszcze musi się stać, żeby niektórzy przyjęli do wiadomości globalną katastrofę klimatyczną.

Bo w święta się czyta, nie klika

Według szwedzkiego Instytutu Badania Handlu (HUI) za świąteczny prezent 2019 r. należy uznać pudełko z przegródkami na smartfony dla całej rodziny. – Szwedzi coraz częściej zastanawiają się nad wpływem telefonów komórkowych na społeczeństwo. Naszym zdaniem dobrym pomysłem jest pudełko, do którego można odłożyć telefon, by poczytać książkę, zdrzemnąć się lub porozmawiać z rodziną – tłumaczy wybór prezentu roku szef HUI Jonas Arnberg. Co cieszy, badania firmy PriceRunner pokazały, że Szwedzi najczęściej chcieli zobaczyć pod choinką książki. – To również może wskazywać, że ludzie w święta pragną odpocząć od świata cyfrowego – skomentował Nicklas Storakers, szef PriceRunner.

007 zgłoś się!

Międzynarodowa grupa budowlana Balfour Beatty straciła wielomilionowy kontrakt na renowację siedziby brytyjskiej służby wywiadu zagranicznego. Stało się to po wyjściu na jaw zaginięcia przechowywanych w kwaterze MI6 ponad stu tajnych planów dotyczących układu budynku oraz zastosowanych w nim systemów alarmowych. Jeśli wierzyć filmom o najsłynniejszym agencie Jej Królewskiej Mości, prawdopodobnymi sprawcami są łysy mężczyzna i jego biały kot.

W „skarpetach" po trofea

Rośnie rynek produktów dla wyczynowych graczy komputerowych. Do specjalnych klawiatur, myszek czy foteli dołączyły buty czy raczej przypominające skarpetki „pierwsze aktywne obuwie dla graczy". Zdaniem producenta, którym jest firma Puma, nowinka zaprojektowana „do użytku w pomieszczeniach i w terenie" zapewnia m.in. komfort i odpowiednią przyczepność, dzięki czemu zawodnicy mogą dostosowywać się do różnych trybów gry i grać jeszcze lepiej. Cena, jeśli za punkt odniesienia przyjąć wysokość nagród w prestiżowych e-turniejach, niewygórowana: 105 dol.

Czekoladowy marksizm kulturowy

Naukowcy z dwóch szwajcarskich uczelni, Politechniki Federalnej w Zurychu oraz FHNW, stworzyli pierwszą czekoladę mieniącą się kolorami tęczy. Jest to możliwe w wyniku odpowiedniej modyfikacji jej powierzchni, dzięki której załamuje ona światło w sposób podobny do skóry kameleona. Co istotne, efektowny łakoć zawiera wyłącznie naturalne składniki. Badacze planują już komercjalizację odkrycia (niewykluczone, że za pośrednictwem własnej firmy). Obawiamy się jednak, że abp Jędraszewski nie dopuści tęczowej czekolady na polski rynek.

Do odważnych raj należy!

„Zgłoś się, jeśli jesteś zainteresowany nowym życiem w grupie interesujących ludzi", napisał w ogłoszeniu 70-letni niemiecki milioner Karl Reipen. Biznesmen, który dorobił się na sprzedaży mrożonej kawy, szuka dziesięciu miłych osób, które mają nie więcej niż 70 lat i marzą o spokojnej egzystencji na łonie natury. Oferuje im życie na jego koszt na 220-hektarowej farmie w Nowej Zelandii. Wśród przewidzianych rozrywek (obowiązków?) znajdują

eprasa.pl e62bed3f48

się m.in. jazda konna, kajakowanie, łowienie ryb oraz wspólne wędrówki. Brzmi wspaniale, a jednocześnie jak początek horroru – tym bardziej że rajska farma znajduje się na totalnym odludziu.

Śnieżkom mówimy: nie

W Wausau w stanie Wisconsin trwają przymiarki do nowelizacji lokalnego prawa z 1962 r., zakazującego bitew na śnieżki. Rzecz w tym, że jednym przepisem zabroniono rzucania różnymi przedmiotami mogącymi powodować poważne szkody; poza kulkami ze śniegu mowa w nim m.in. o kamieniach. Przewodnicząca rady miasta Lisa Rasmussen przyznała, że „może warto sprawdzić, czy tę listę można zmienić", gdyż praktycznie martwy zakaz rzucania śnieżkami stanowi dla lokalnej społeczności PR-owe obciążenie.

Pomysł, że pracownik nie siada

Do brytyjskiego urzędu patentowego trafił wniosek o objęcie ochroną projektu toalet pochylonych do przodu pod kątem 13 st. Jak twierdzi pomysłodawca, Mahabir Gill, są one na tyle niewygodne, że da się na nich wysiedzieć maksymalnie siedem minut. Gill liczy, że jego produkt zainteresuje pracodawców, którzy obawiają się, że ich personel zbyt dużo czasu spędza „na tronie", np. przeglądając na smartfonach media społecznościowe. Idea wzbudziła żywe reakcje. Zdaniem krytyków jest ona doskonałym przykładem pogardy współczesnego kapitalizmu dla pracowników. Wśród zwolenników wynalazku znalazł się natomiast Raymond Martin, szef Brytyjskiego Stowarzyszenia Toaletowego, walczącego o wyższe standardy w publicznych szaletach. – Są takie miejsca, w których wprowadzenie limitu czasu przebywania byłoby użyteczne – skomentował.

Patrz, komu ufasz

Trójka influencerów zgodziła się promować napój wspomagający chudnięcie, zawierający… cyjanowodór. Na szczęście zabójczy produkt nie istnieje, a propozycja współpracy reklamowej z marką Cyanora była jedynie prowokacją niejakiego Blindboya, autora programu emitowanego przez stację BBC Three. Nagrani ukrytą kamerą Lauren Goodger, Mike Hassini i Zara Holland bez zastanowienia zgodzili się na rekomendowanie napoju swoim fanom, nawet go nie próbując. Goodger dodała, że nigdy nie próbowała choćby odchudzającej kawy Skinny Coffee, mimo że na Instagramie twierdzi, że ją uwielbia. – O ile wiem, wszystko to wygląda dość naturalnie – skomentował skład produktu Hassini.

FOT. EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl e62bed3f48

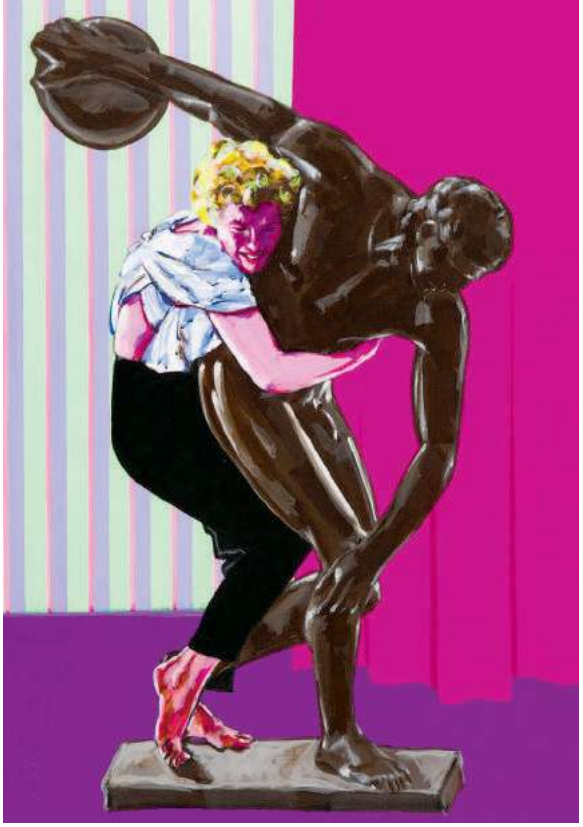

Andrzej STROKA – When I fall in love

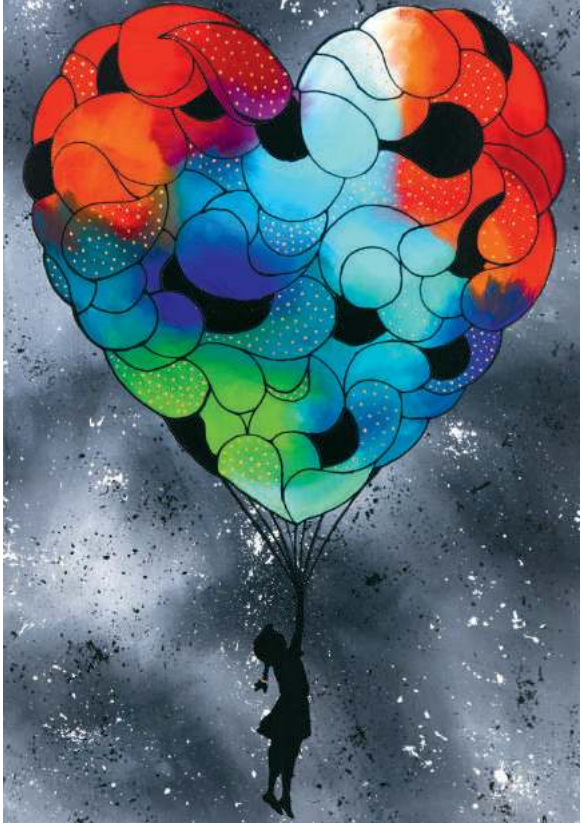

Monika MROWIEC – Podróże dziewczynki z balonikiem

Małgorzata KOSIEC – Repetition

Dom Aukcyjny DESA UNICUM

Aukcja charytatywna
dla Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy
12 stycznia, godz. 17

ul. Piękna 1A, Warszawa
wystawa przedaukcyjna
8-12 stycznia

wielka orkiestra świątecznej pomocy

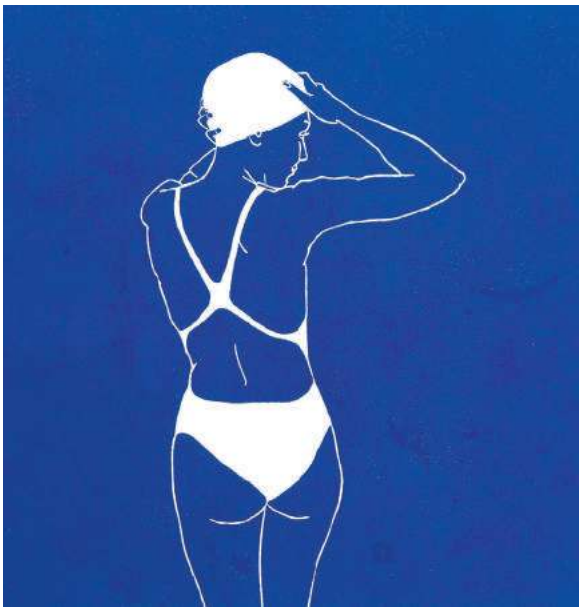

Agnieszka BORKOWSKA – A swimmer II

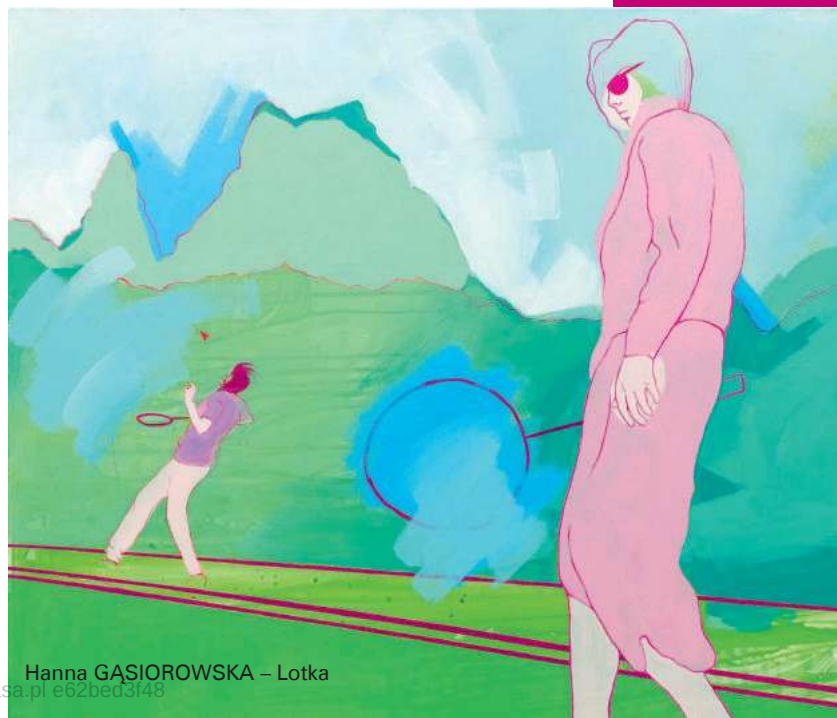

Hanna GĄSIOROWSKA – Lotka

eprasa.pl e62bed3f48

STODOLA more than live music | KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

JULIA MARCELL

29 lutego | Klub Stodoła | Warszawa

MAREK DYJAK

15 marca | Klub Stodoła | Warszawa

NATALIA NYKIEL

25 marca | Klub Stodoła | Warszawa

MARIA PESZEK

27 marca | Klub Stodoła | Warszawa

KARAŚ/ROGUCKI

8 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa

KRÓL

16 kwietnia | Klub Stodoła | Warszawa

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL
ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

Jerzy Mączyński

Jerry & The Pelican System

18 STYCZNIA 2020 GODZ.19:00

TEATR ŚLĄSKI - DUŻA SCENA
UL. RYNEK 10
KATOWICE

www.facebook.com/jerzymaczynskimusic

BILETY JUŻ OD 25 ZŁ DO NABYCIA NA:
www.teatrslaski.art.pl
www.jerzymaczynski.com

Going. eBilet.pl